

John Boyne

ZOSTAŃ, A POTEM WALCZ

Autor
bestsellerowej
powieści
CHŁOPIEC
W PASIASTEJ
PIŻAMIE


Replika



ZOSTAŃ,



A POTEM



WALCZ



ZOSTAŃ, A POTEM WALCZ

Tłumaczył
Jacek Spólny

Tytuł oryginału
Stay Where You Are and Then Leave

Copyright © John Boyne, 2013
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Replika, 2018
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
Joanna Pawłowska

Korekta
Marzena Demska

Skład i łamanie
Dariusz Nowacki

Projekt okładki
Mikołaj Piotrowicz

ISBN: 978-83-7674-793-4

Wydawnictwo Replika
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo
tel./faks 061 868 25 37
replika@replika.eu
www.replika.eu

Spis treści

1. Wypraw mnie w drogę z uśmiechem
2. Gdybyś był jedynym szkopem w okopach
3. Podtrzymujcie w domach ogniska
4. Twój król i kraj cię potrzebują
5. Kiedy się skończy ta zawszona wojna
6. Dla mnie i mojej dziewczyny
7. Serwus, kim jest twoja przyjaciółka?
8. Czyżbyśmy byli przybici?
9. Jak to na wojence ładnie!
10. Cii, to z wizgiem leci pocisk
11. Spakuj zmartwienia do starej torby
12. Ja chcę do domu
13. Jest taki długi, długi, kręty szlak
14. Weź mnie z powrotem do starej, dobrej Anglii

Dla rodziców

1

Wypraw mnie w drogę z uśmiechem

Co wieczór przed snem Alfie Summerfield próbował przypomnieć sobie, jak wyglądało życie przed wojną. Z każdym dniem wspomnienia stawały się coraz mniej wyraźne.

Walki zaczęły się 28 lipca 1914 roku. Inni mogli mieć kłopoty z zapamiętaniem tej daty, ale Alfie nigdy jej nie zapomni, bo był to dzień jego urodzin. Skończył wtedy pięć lat i rodzice wydali z tej okazji przyjęcie, ale zjawilo się niewiele osób: Babcia Summerfield, która siedziała w kącie, wypłakując oczy w chusteczkę i powtarzając: „Już po nas”, aż mama Alfiego zapowiedziała, że jak nie może się opanować, będzie musiała sobie pójść; Stary Bill Hemperton, Australijczyk z domu obok, który miał ze sto lat i bawił się swoją sztuczną szczęką, wsuwając ją i wysuwając za pomocą języka; najlepsza przyjaciółka Alfiego, Kalena Janácek, która mieszkała trzy domy dalej pod numerem szóstym, i jej ojciec, który prowadził sklep ze słodyczami na rogu i miał najbardziej lśniące buty w Londynie. Alfie zaprosił większość kolegów z Damley Road, lecz do południa ich matki jedna po drugiej pukały do drzwi Summerfieldów i oznajmiały, że mały Taki czy Owaki nie może przyjść.

— To nie jest dobry dzień na zabawy, prawda? — spytała pani Smythe spod numeru dziewiątego, matka Henry’ego Smythe’a, który w szkole siedział w ławce przed Alfiem i wydawał z siebie co najmniej dziesięć obrzydliwych smrodów dziennie. — Najlepiej wszystko odwołać, moja droga.

— Niczego nie zamierzam odwoływać — stwierdziła matka Alfiego, Margie, bezradnie unosząc ręce po wizycie piątego rodzica. — Uważam, że

właśnie dzisiaj powinniśmy się jak najlepiej bawić. I co ja zrobię z całą tą wyżerką, jak nikt się nie pokaże?

Alfie wszedł za nią do kuchni i spojrzał na stół, gdzie w schludnym rzędzie ustawiono kanapki z peklowaną wołowiną, duszone flaki, marynowane jajka, ozorki na zimno i węgorza w galarecie, przykryte ściereczkami, żeby się nie starzały.

— Ja mogę to zjeść — odezwał się Alfie, który lubił się do czegoś przydać.

— Ha! — zawołała Margie. — Co do tego nie ma wątpliwości. Jesteś beczką bez dna, Alfie Summerfieldzie. Nie wiem, gdzie ty to wszystko mieścisz. Naprawdę nie wiem.

Kiedy tata Alfiego, Georgie, wrócił po południu z pracy, miał przejętą minę. Nie poszedł jak zwykle umyć się na podwórku za domem, mimo że pachniał trochę mlekiem, a trochę koniem. Zamiast tego czytał w stołowym gazetę, po czym złożył ją na pół, schował pod jeden z jaśków na wersalce i przeszedł do kuchni.

— Cześć, Margie — powiedział, dając żonie całusa w policzek.

— Cześć, Georgie.

— Cześć, Alfie — przywitał się, mierzwiąc włosy chłopca.

— Cześć, tato.

— Wszystkiego najlepszego, synu. Ile ty masz w ogóle lat, dwadzieścia siedem?

— *Pięć* — oświadczył Alfie, który nie miał pojęcia, jak można mieć dwadzieścia siedem lat, ale czuł się bardzo dorosły ze świadomością, że wreszcie ma pięć.

— Aha, pięć — powtórzył Georgie, drapiąc się po brodzie. — Zdawało mi się, że jesteś z nami o wiele dłużej.

— Uciekajcie, no już, już! — zawołała Margie, machając rękami, żeby wracali do stołowego. Mama Alfiego zawsze powtarzała, że nic nie denerwuje jej tak, jak jej dwaj mężczyźni kręcący się pod nogami, gdy ona stara się coś ugotować. Więc Georgie i Alfie jej posłuchali i grali na stole przy oknie w Węże i drabiny, czekając na początek przyjęcia.

— Tato — odezwał się Alfie.

— Tak, synu?

— Jak czuł się dzisiaj Pan Asquith?

— Dużo lepiej.

— Czy weterynarz go zbadał?

— Tak. Wygląda na to, że mu przeszło.

Pan Asquith był koniem Georgiego, a raczej koniem mleczarni. To on codziennie rano ciągnął wóz Georgiego, gdy ten rozwoził mleko. Alfie wymyślił mu przydomek, kiedy rok temu zwierzę przydzielono Georgiemu; tak często słyszał to nazwisko przez radio, że musiało należeć do kogoś bardzo ważnego, dlatego uznał, że idealnie pasuje do konia.

— Poklepałeś go ode mnie, tato?

— Tak, synu — odparł Georgie.

Alfie uśmiechnął się. Uwielbiał Pana Asquitha. Z całego serca.

— Tato — odezwał się chwilę później Alfie.

— Tak, synu?

— Czy mogę jutro przyjść i z tobą pracować?

Georgie pokręcił głową.

— Przykro mi, Alfie. Jesteś ciągle za mały na wóz z mlekiem. To bardziej niebezpieczne, niż ci się zdaje.

— Ale mówiłeś, że będę mógł, gdy będę starszy.

— Tak jest, gdy będziesz starszy.

— Ale jestem już starszy — upierał się Alfie. — Mógłbym pomagać wszystkim sąsiadom, kiedy przychodzą po mleko z bańkami.

— Nie mogę sobie na to pozwolić, Alfie.

— No, to mógłbym dotrzymywać towarzystwa Panu Asquithowi, gdy sam będziesz nalewał mleko.

— Przykro mi, synu, ale jesteś ciągle za mały.

Alfie westchnął. Najbardziej na całym świecie chciał jeździć codziennie rano z tatą i rozwozić mleko, i karmić Pana Asquitha bryłkami cukru w przerwach pomiędzy ulicami, mimo że oznaczało to wstawanie w środku nocy. Na myśl o wyjeździe na ulice i oglądaniu miasta, gdy wszyscy jeszcze spali, po plecach przebiegał mu dreszcz. A bycie prawą ręką taty... Czy mogło być coś lepszego? Pytał o pozwolenie co najmniej tysiąc razy, ale za każdym razem słyszał tę samą odpowiedź: „Nie, Alfie, jesteś jeszcze za mały”.

— Pamiętasz, jak miałeś pięć lat? — zapytał Alfie.

— Tak, synu. Właśnie wtedy zmarł mój ojciec. To był ciężki rok.

— Jak zmarł?

— W kopalni.

Alfie zastanowił się nad tym. Znał tylko jedną osobę, która zmarła. Matkę Kaleny, panią Janácek, która zachorowała na gruźlicę. Alfie umiał

napisać to słowo. *G-r-u-ż-l-i-c-a*.

— Co stało się potem? — spytał.

— Kiedy?

— Kiedy umarł twój tata.

Georgie namyślał się przez chwilę i wzruszył ramionami.

— No, przenieśliśmy się do Londynu. Twoja babcia uznała, że nie mamy już czego szukać w Newcastle. Że jak przyjedziemy tutaj, będziemy mogli zacząć wszystko od nowa. Powiedziała, że odtąd będę głową rodziny. — Wyrzucił piątkę i szóstkę, przeszedł na niebieskie pole 37 i przesunął się węzłem aż na białe 19. — Ja to mam szczęście.

— Dzisiaj możesz położyć się później spać? — zapytał Alfie, a tata kiwnął głową.

— Tak, specjalnie dla ciebie. W dzień urodzin nie będę się kładł aż do dziewiątej. Co ty na to?

Alfie uśmiechnął się; Georgie nigdy nie kładł się później niż o siódmej, bo wcześniej zaczynał dniówkę.

— Bez spania jestem do niczego — powtarzał, czym rozśmieszał Margie, po czym zwracał się do Alfiego: — Mama zgodziła się wyjść za mnie tylko dla urody, ale jak się nie wyśpię, będę miał ciemne kręgi pod oczami i twarz białą jak duch i mama ucieknie z listonoszem.

— Uciekłam z mleczarzem, i na co mi przyszło? — droczyła się Margie, ale nie na serio, bo potem spoglądali na siebie i uśmiechali się, a czasem mama ziewała i oznajmiała, że też ma ochotę położyć się wcześniej, i szli na górę, co oznaczało, że Alfie też musiał iść do łóżka, co w jego oczach dowodziło jednego: że ziewanie jest zaraźliwe.

Alfie starał się nie przejmować kiepską frekwencją na przyjęciu. Wiedział, że coś się dzieje na świecie, coś, o czym rozmawiali wszyscy dorośli, ale zdawało się to nudne i w ogóle go nie interesowało. Mówiło się o tym od miesięcy; dorośli bez przerwy zapowiadali, że zaraz zdarzy się coś wielkiego, coś, czego skutki odczują wszyscy. Czasami Georgie mówił Margie, że zacznie się lada dzień i że trzeba się na to przygotować, a kiedy się denerwowała, uspokajał, że nie ma powodów do zmartwienia, że z czasem wszystko ułoży się jak najlepiej, Europa jest zbyt cywilizowana, żeby zaczynać awanturę, na której wygraną nikt nie może mieć szans.

Na początku przyjęcia wszyscy starali się zachować wesołość i udawać, że ten dzień nie różni się niczym od innych. Bawili się w Gorącego kartofla: wszyscy siadali w kółku i podawali gorącego ziemniaka osobie obok, i ten,

kto go upuścił, wypadął z gry (wygrała Kalena.) Stary Bill Hemperton urządził w stołowym cymbergaju, w którym Alfie wygrał trzy ćwierćpensówki. Babcia Summerfield rozdała wszystkim po spinaczu i postawiła na ziemi pustą butelkę po mleku. Wygrywał ten, kto wrzuci spinacz do butelki z największej wysokości (Margie pobiła w tym wszystkich na głowę). Ale dorośli niebawem przestali zajmować się dziećmi i z ponurymi minami zbijali się w gromadki po kątach, a Alfie i Kalena podsłuchiwali ich rozmowy i usiłowali zrozumieć, o co chodzi.

— Lepiej zgłoś się teraz na ochotnika, zanim przyjdzie wezwanie — radził Stary Bill Hemperton. — Łatwiej wytrzymasz, zapamiętajcie sobie moje słowa.

— Bądź już cicho — burknęła Babcia Summerfield, która mieszkała naprzeciwko Starego Billa pod numerem jedenastym i nigdy go nie znosiła, bo co dzień rano puszczał muzykę z gramofonu i nie zamykał okien. Była niską, krągłą kobietą, która zawsze chodziła w siateczce na włosach i z podwiniętymi rękawami, jak gdyby zabierała się do roboty. — Georgie nigdzie się nie zgłasza.

— Może nie będę miał wyboru, mam — powiedział Georgie, kręcąc głową.

— Cicho sza, tylko nie przy Alfiem — upomniała go Margie, szarpiąc za rękę.

— Chcę tylko powiedzieć, że to może potrwać lata. Może wyjdę na tym lepiej, jak zgłoszę się na ochotnika.

— Nie, skończy się przed świętami — oświadczył pan Janácek, którego buty z czarnej skóry lśniły tak mocno, że prawie wszyscy zwrócili na to uwagę. — Wszyscy tak mówią.

— Cicho sza, tylko nie przy Alfiem! — powtórzyła Margie, podnosząc głos.

— Już po nas, zupełnie po nas! — Załkała babcia Summerfield, wyjmując z kieszeni ogromną chusteczkę i wydmuchując nos tak donośnie, że Alfie wybuchnął śmiechem. Za to Margie wcale to nie rozśmieszyło; rozplakała się i wybiegła z pokoju, a Georgie popędził za nią.

Od tamtego dnia minęły ponad cztery lata, lecz Alfie wciąż o nim rozmyślał. Miał dziewięć lat i przez wszystkie te lata nie obchodził urodzin. Ale przed snem starał się ułożyć sobie w głowie wszystko, co pamiętał z życia swojej rodziny przed zmianami, bo jeśli zapamięta ich takimi, jacy

byli, zawsze jest szansa, że kiedyś na powrót staną się tacy sami.

Georgie i Margie byli bardzo starzy, gdy się pobrali — tyle wiedział. Tata miał prawie dwadzieścia jeden lat, mama była tylko rok młodsza. Alfiemu nie mieściło się w głowie, jak można mieć dwadzieścia jeden lat. Zdawało mu się, że z trudem się słyszy i widzi się raczej niewyraźnie. Że nie można wstać z zepsutego fotela przed kominkiem bez jęczenia i powtarzania: „No, pora się już położyć”. Domyślał się, że najbardziej na całym świecie liczy się filiżanka ciepłej herbaty, para wygodnych kapci i ciepły sweter. Czasami, gdy się nad tym zastanawiał, wiedział, że kiedyś też będzie miał dwadzieścia jeden lat, ale następowało to w tak odległej przyszłości, że nie sposób było sobie tego wyobrazić. Pewnego razu wziął kartkę i długopis, zapisał liczby i uświadomił sobie, że będzie miał tyle lat w 1930 roku. 1930! Przed nim całe wieki. No, może nie wieki, ale w każdym razie Alfie tak sobie o tym myślał.

Piąte urodziny wiązały się zarówno z wesołymi, jak i smutnymi wspomnieniami. Wesołymi, bo dostał dobre prezenty: zestaw osiemnastu kredek w różnych kolorach i blok rysunkowy od rodziców; używany egzemplarz *Przypadków Robinsona Kruzo*e od pana Janácka, który powiedział, że na razie lektura będzie dla niego prawdopodobnie za trudna, ale że kiedyś zdoła ją przeczytać; torebkę landrynek od Kaleny. To nic, że część prezentów była nudna: para skarpet od Babci Summerfield i mapa Australii od Starego Billa Hempertona, który powiedział, że może któregoś dnia zechce pojechać na antypody, a jeśli taki dzień nadejdzie, ta mapa z pewnością mu się przyda.

— Widzisz to? — zapytał Stary Bill, pokazując punkt blisko górnego brzegu mapy, gdzie zieleń krawędzi przechodziła w brąz części centralnej. — Stamtąd pochodzę. Z miasteczka o nazwie Mareeba. Najpiękniejsze miasteczko w całej Australii. Mrowiska wielkie jak domy. Jeśli kiedyś tam trafisz, Alfie, powiedz, że przysłała cię Stary Bill Hemperton, a potraktują cię jak swojaka. Mam tam znajomości.

— Jakie? — zapytał, ale Stary Bill tylko puścił oko i pokręcił głową.

Alfie nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć, ale i tak przypiął mapę do ściany swojego pokoju, nosił skarpety od Babci Summerfield, zużył większość kredek i cały blok, próbował czytać *Przypadki Robinsona Kruzo*e, ale szło mu jak po grudzie (choć odłożył książkę na półkę, żeby wrócić do niej, gdy będzie większy), i podzielił się landrynkami z Kaleną.

To były dobre wspomnienia.

Smutne zostały, bo właśnie wtedy wszystko się zmieniło. O zachodzie słońca wszyscy mężczyźni z Damley Road zebrali się z podwiniętymi rękawami koszul, szarpiąc za szelki, i rozmawiali o sprawach takich jak „obowiązek” i „odpowiedzialność”, zaciągając się papierosami, zaciskając końcówki i odkładając je do kieszeni kamizelek na później. Georgie pokłócił się z najlepszym i najstarszym kolegą, Joem Patience, który mieszkał pod numerem szesnastym, o coś, co nazywali plusami i minusami całej sytuacji. Przyjaźnili się, odkąd Georgie i Babcia Summerfield wprowadzili się na Damley Road — Babcia Summerfield mawiała, że Joe praktycznie wychował się u niej w kuchni — i nigdy przedtem nie powiedzieli sobie złego słowa. Owego dnia Charlie Slipton, gazeciarz spod numeru dwadzieścia jeden, który kiedyś zupełnie bez powodu rzucił kamieniem w głowę Alfiego, sześć razy przechodził ulicę z coraz nowszymi wydaniem gazety i wszystkie sprzedał, nie musząc się nawet starać. Pod koniec dnia mama Alfiego siedziała na zepsutym fotelu przed kominkiem i zanosila się płaczem, jak gdyby przyszedł koniec świata.

— Daj spokój, Margie — mówił Georgie, stojąc za nią i masując jej kark.
— Przecież nie ma powodu do płaczu. Pamiętasz, co mówią wszyscy: że skończy się przed świętami? Wrócę i zdążę pomóc przy nadziewaniu gęsi.

— I ty w to wierzysz? — Margie popatrzyła na niego oczami zaczerwienionymi od płaczu. — Wierzysz w to, co mówią ludzie?

— A co mi pozostało? Trzeba mieć nadzieję, że wszystko skończy się dobrze.

— Obiecuj mi, Georgie Summerfieldzie, obiecuj, że nie zgłosisz się na ochotnika.

Tata Alfiego odezwał się po długiej chwili ciszy.

— Słyszałaś, co powiedział Stary Bill, kochanie. Może łatwiej wytrzymam, jeśli...

— A co ze mną? I Alfiem? Nam też będzie łatwiej wytrzymać? Obiecuj mi, Georgie!

— Dobrze, kochanie. Po prostu poczekamy i zobaczymy, dobrze? Być może ci wszyscy politycy zbudzą się jutro rano i zmienią zdanie. Nie ma sensu zamartwiać się na zapas.

Alfie miał nie podsłuchiwać rozmawiających ze sobą rodziców — przez coś takiego nawarzył już sobie kilka razy piwa — ale wieczorem dnia, gdy skończył pięć lat, siedział na schodach w miejscu, gdzie nie mogli go widzieć, i słuchał ze wzrokiem wbitym w swoje stopy. Nie miał zamiaru

przesiadawać tam tak długo — zszedł tylko po szklankę wody i kawałek ozorka pozostały po urodzinach, który wpadł mu w oko — ale rozmowa przybrała tak poważny ton, że zwyczajne pójście do siebie mogło nie być najlepszym pomysłem. Szeroko i głośno ziewnął — dzień był przecież bardzo długi, jak zwykle w urodziny — i zamknął na chwilę oczy, położył głowę na stopniu za plecami i zanim się zorientował, śniło mu się, że ktoś podnosi go i niesie do jakiegoś ciepłego, przytulnego miejsca, a po chwili znowu otworzył oczy i ujrzał, że leży we własnym małym łóżku, a słońce wlewa się do środka przez cienkie zasłonki — te w bladożółte kwiatki, które zdaniem Alfiego nadawały się do pokoju dziewczyny, a nie chłopca.

Nazajutrz rano po piątym urodzinach Alfie zastał matkę na dole ubraną na dzień prania, z włosami związanymi w kok, gotującą wodę we wszystkich garnkach na kuchence i wyglądającą na tak samo nieszczęśliwą, jak wczoraj wieczorem, i to nie tak normalnie nieszczęśliwą, jak w każdy dzień prania, które zwykle trwało od siódmej rano do siódmej wieczorem. Uniosła wzrok, ale przez chwilę jak gdyby go nie poznawała, by w końcu ponuro się uśmiechnąć.

— Alfie — powiedziała. — Pomyślałam, że dam ci pospać dłużej. Miałeś wczoraj wielkie święto. Znieś swoją pościel, dobrze? Dziękuję.

— Gdzie tata? — spytał Alfie.

— Wszedł.

— Gdzie?

— No, nie wiem — odparła, nie będąc w stanie popatrzeć mu w oczy. — Przecież wiesz, że twój tata nigdy o niczym mi nie mówi.

Co było jawną nieprawdą, bo co dzień po południu, po powrocie z mleczarni, Georgie relacjonował Margie przebieg swojego dnia w najdrobniejszych szczegółach. Siedzieli roześmiani, a on tłumaczył, jak to Bonzo Daly wystawił na podwórko pół tuzina baniek bez pokrywek, dobrały się do nich ptaki i zapaskudziły mleko. Albo jak Petey Staples pyskował szefowi i dowiedział się, że jak się będzie stawiał, to może poszukać innej pracy, gdzie będą chcieli znosić jego fochy. Albo Pan Asquith zrobił kupę, jakiej świat nie widział, przed domem pod numerem czwartym, gdzie mieszkała pani Fairfax, bezpośrednia potomkini (jak twierdziła) ostatniego króla z dynastii Plantagenetów, przeznaczona do losu lepszego niż mieszkanie na Damley Road. Co jak co, ale o ojcu Alfie wiedział, że mówi matce wszystko.

Godzinę później siedział w stołowym, rysując w nowym bloku, podczas gdy Margie robiła sobie przerwę od prania, a Babcia Summerfield, która wpadła, jak to ujmowała, na ploteczki — choć tak naprawdę przynosiła Margie swoją pościel do uprania — trzymała gazetę przy twarzy i zmrużonymi oczami wpatrywała się w druk, narzekając, że robi się coraz mniejszy.

— Nie widzę, Margie — mówiła. — Czy oni chcą, żebyśmy wszyscy oślepli? O to im chodzi?

— Czy tata zabierze mnie jutro do rozwożenia mleka? — spytał Alfie.

— A pytałeś?

— Tak, ale odpowiedział, że dopiero, jak będę starszy.

— No, to wszystko jasne — stwierdziła Margie.

— Ale jutro będę starszy, niż byłem wczoraj — przekonywał Alfie.

Margie nie zdążyła odpowiedzieć, bo drzwi otworzyły się i, ku zdumieniu Alfiego, do środka wkroczył żołnierz. Wysoki i dobrze zbudowany, takiej samej postury jak tata Alfiego, ale rozglądał się po pokoju ze zmieszaniem. Alfie nie mógł nie być pod wrażeniem munduru: kurtka w kolorze khaki z pięcioma mosiężnymi guzikami na środku, dwie koalicyjki, spodnie o nogawkach wpuszczonych w getry i duże, czarne buty z cholewami. Ale po co jakiś żołnierz wchodzi do ich salonu? — dziwił się. Nawet nie zapukał do drzwi. Wtedy żołnierz zdjął czapkę i włożył ją pod pachę i Alfie uświadomił sobie, że to nie jest po prostu pierwszy lepszy żołnierz ani w ogóle żaden nieznajomy.

Był to Georgie Summerfield.

Jego tata.

W tej chwili Margie upuściła na ziemię druty i robótkę, zasłoniła usta obiema rękami i trzymała je tak przez kilka minut, po czym wybiegła z pokoju na górę, a Georgie patrzył na syna i matkę i wzruszał ramionami.

— Musiałem — oznajmił w końcu. — Chyba to rozumiesz, mamó? Musiałem.

— Już po nas — stwierdziła Babcia Summerfield, odkładając gazetę i odwracając się od syna w stronę okna, za którym inni młodzi mężczyźni wchodzili do swoich domów w takich samych mundurach, jaki nosił Georgie. — Zupełnie po nas.

I to już wszystkie wspomnienia Alfiego z czasu, kiedy skończył pięć lat.

2

Gdybyś był jedynym szkopem w okopach

Janácków nie było już prawie dwa lata, gdy Alfie ukradł pudełko do czyszczenia butów.

Odkąd pamiętał, mieszkali trzy domy od Summerfieldów, a Kalena, sześć tygodni od niego starsza, od małego była jego najlepszą koleżanką. Zawsze gdy Alfie bywał u niej wieczorem, pan Janáček siedział przy kuchennym stole z rozłożoną zawartością pudełka i pucował buty na następny dzień.

— Uważam, że człowiek zawsze powinien pokazywać się światu z elegancją i wdziękiem — powtarzał Alfiemu. — Tym się różnimy od zwierząt.

Wszyscy mieszkańcy Damley Road przyjaźnili się ze sobą, przynajmniej przed rozpoczęciem wojny. Po każdej stronie ulicy stał szereg dwunastu domów oddzielonych cienkimi ścianami, przez które słychać było stłumione rozmowy sąsiadów. Przed jednymi domami stały skrzynki na kwiaty, przed innymi nie, ale wszyscy starali się o utrzymanie porządku. Alfie i Kalena mieszkali po stronie z numerami parzystymi; Babcia Summerfield mieszkała naprzeciwko, razem z nieparzystymi, co według Margie pasowało do niej jak ulał. Z pokoju stołowego w każdym domu na ulicę wychodziło jedno okno, do tego były jeszcze dwa na piętrze. Każde drzwi pomalowano na ten sam kolor: żółty. Alfie pamiętał dzień, w którym Joe Patience, obdzektor spod numeru szesnastego, pomalował swoje drzwi na czerwono i wszystkie kobiety wyszły na ulicę, żeby go obserwować, kręcić głowami i pomrukiwać z oburzeniem. Joe miał poglądy polityczne — wszyscy o tym wiedzieli. Stary Bill mawiał, że „chodzi własnymi ścieżkami”, cokolwiek by to miało znaczyć. Strajkował więcej, niż

pracował, i bez przerwy rozdawał ulotki o prawach robotników. Mówił, że kobiety powinny mieć prawo głosu, z czym nawet nie wszystkie kobiety się zgadzały (Babcia Summerfield mówiła, że wolałaby mieć dwie lewe ręce). Był też właścicielem pięknego, starego klarnetu i czasem siadał przed domem i na nim grał; w takich chwilach Helena Morris spod numeru osiemnastego stawała w progu ze spojrzeniem zwróconym w jego stronę, dopóki matka nie wychodziła i nie kazała jej przestać robić z siebie pośmiewiska.

Alfie lubił Joego Patience i bawiło go, że ma nazwisko całkowicie sprzeczne z charakterem[1], bo nieustannie unosił się z jakiegoś powodu. Gdy pomalował drzwi na czerwono, trzech mężczyźni, pan Welton spod numeru piątego, pan Jones spod dziewiętnastego i Georgie Summerfield, tata Alfiego, poszli się z nim rozmówić. Georgie nie chciał pójść, ale dwaj pozostali się uparli, bo był najstarszym kolegą Joego.

— Tak nie można, Joe — zaczął pan Jones, a wszystkie kobiety wyszły na ulicę i udawały, że myją okna.

— Czemu?

— Weź się tylko rozejrzyj. Nie pasuje do reszty.

— Czerwony to kolor ludzi pracy! A my wszyscy jesteśmy ludźmi pracy, prawda?

— Na Damley Road mamy żółte drzwi — oznajmił pan Welton.

— Kto powiedział, że musi tak być?

— Po prostu tak było zawsze. Nie chcesz chyba odrzucić tradycji?

— To jakim cudem ma coś się zmienić na lepsze? — zapytał Joe, unosząc głos, mimo że tamci trzej stali tuż przed nim. — Na litość boską, to tylko drzwi! Czy to ważne, jakiego są koloru?

— Może Joe ma rację — odezwał się Georgie, starając się uspokoić atmosferę. — W końcu to nie jest takie ważne, no nie? Byle farba się nie łuszczyła i nie psuła wyglądu ulicy.

— Powinienem był się domyśleć, że staniesz po jego stronie — powiedział drwiącym głosem pan Jones, mimo że to właśnie on wpadł na pomysł zabrania Georgiego. — Starzy kumple trzymają się razem, nie?

— Tak — potwierdził Georgie, wzruszając ramionami, jak gdyby było to coś najzwyklejszego na świecie. — Starzy kumple trzymają się razem. Co w tym złego?

W sumie pan Welton i pan Jones nie mogli nic poradzić na czerwone drzwi, które zostały takie do lata następnego roku, kiedy Joe postanowił

znowu je zmienić i przemalował na zielono na znak poparcia dla Irlandczyków — którzy zdaniem Joego ze wszystkich sił starali się zerwać kajdany nałożone przez imperialnych tyranów. Tata Alfiego tylko się śmiał, mówiąc, że jak tamten chce wyrzucać pieniądze na farbę, on nie chce mieć z tym nic wspólnego. Babcia Summerfield orzekła, że gdyby żyła matka Joego, bardzo by się wstydziła.

— No, nie wiem — wtrąciła się Margie. — To niezależna dusza, nic więcej. Nawet mi się to w nim podoba.

— Poczciwy człowiek z tego Joego — przytaknął Georgie.

— Chodzi własnymi ścieżkami — powtórzył Stary Bill Hemperton.

— Mimo wszystko jest śliczny — oznajmiła Margie. — Helena Morris się w nim zadurzyła.

— Wstydziłaby się — nie ustępowała Babcia Summerfield.

Poza tym ludzie z Damley Road bardzo się lubili. Byli sąsiadami i przyjaciółmi. A Kalena i jej ojciec należeli do wzorowych członków tej społeczności.

Pan Janáček prowadził sklep ze słodyczami na końcu ulicy. Oczywiście sprzedawał tam nie tylko słodycze, lecz także gazety, sznurek, notesy, ołówki, kartki urodzinowe, jabłka, proce, piłki, sznurówki, pastę do butów, mydło karbolowe, herbatę, śrubokręty, portmonetki, łyżki do butów i żarówki — ale z punktu widzenia Alfiego najważniejsze były słodycze, dlatego nazywał go sklepem ze słodyczami. Za ladą stały rzędy wysokich pojemników z przezroczystego szkła, w które upchnięto landrynki, jabłkowe i gruszkowe dropsy, miętusy, lizaki i karmelki, i kiedy tylko Alfie miał do wydania parę pensów, wędrował prosto do pana Janáčka, który pozwalał mu stać i wybierać, jak długo chciał.

— Czasami, Alfie — mówił, nachylając się nad ladą i zdejmując okulary do wyczyszczenia — wydaje mi się, że decydowanie, na co wydasz swoje pensy, sprawia ci większą radość, niż samo zjedanie słodyczy.

Pan Janáček mówił dziwnie, bo nie był Anglikiem. Pochodził z Pragi, ale przyjechał do Londynu dziesięć lat temu i akcent już mu pozostał. „Co” zmieniało się w „czo”, „słodycze” w „szłodycze”. Kalena tak nie mówiła, bo urodziła się w domu pod numerem szóstym i nigdy w życiu nie wyjeżdżała z Londynu.

— Nie znam nikogo, kto miałby tyle szczęścia co ty — oznajmił jej pewnego dnia Alfie, gdy siedzieli na brzegu chodnika, ssąc cukierki

z lukrecją i patrząc, jak węglarz wnosi węgiel do pani Scutworth pod numerem piętnastym. Ręce i twarz miał zupełnie czarne od sadzy, ale najwyraźniej chwilę wcześniej podwinął rękawy, bo jego przedramiona pozostały blade.

— A czemu? — zapytała Kalena, starannie obierając banana.

— Bo twój tata prowadzi sklep ze słodyczami — odpalił, jak gdyby było to coś najnormalniejszego pod słońcem. — Na całym świecie nie ma lepszej pracy. No, chyba że jeżdżenie wozem na mleko.

Kalena pokręciła głową.

— Jest mnóstwo lepszych prac. Gdy będę duża, nie będę prowadzić sklepu ze słodyczami.

— To co będziesz robić? — zapytał Alfie, marszcząc czoło.

— Zostanę premierem — oświadczyła Kalena.

Alfie nie wiedział, jak na to zareagować, ale zrobiło to na nim duże wrażenie. Gdy przy podwieczorku opowiedział o tym rodzicom, oboje wybuchnęli śmiechem.

— Kalena Janácek? Premierem? — powtórzył Georgie, kręcąc głową. — Już nic mnie nie zdziwi. Podaj marchewkę, kochanie.

— Może raczej żoną premiera — zauważyła Margie, sięgając po naczynie.

— No, ja bym na nią zagłosował — Alfie stanął w obronie przyjaciółki. Nie podobało mu się, że tak bardzo ich to śmieszy.

— Byłbyś jedyny — stwierdził Georgie. — Nawet nie mogłaby zagłosować sama na siebie, więc nie mam pojęcia, jak wyobraża sobie dostanie się na samą górę. Nieco gumowate te marchewki, prawda?

— Dlaczego nie może na siebie zagłosować? — spytał Alfie.

— Kobiety nie mogą głosować, Alfie — wyjaśniła Margie, odcinając jeszcze plasterki wołowiny i kładąc mu na talerz z dodatkowym ziemniakiem (w tamtych czasach jadali jeszcze na obiad takie rzeczy jak pieczeń wołowa i kartofle. Przed wybuchem wojny).

— Czemu?

— Tak było zawsze.

— Ale dlaczego?

— Bo tak — odpaliła Margie. — Teraz jedz, Alfie, i przestań ciągle pytać. A marchewka jest dobra, Georgie Summerfieldzie, tak że niczego mi przypadkiem nie zostaw. Nie po to pół dnia gotuję, żeby potem sprzątać po was resztki.

Zdaniem Alfiego takie odpowiedzi niczego nie tłumaczyły, ale podobały mu się ambicje Kaleny. Wieczorem w łóżku zastanawiał się nad wszystkim, co będzie mógł robić, kiedy dorośnie. Mógłby być maszynistą. Albo policjantem. Nauczycielem lub strażakiem. Mógłby rozwozić z tatą mleko lub zostać kontrolerem biletów jak pan Welton. Mógłby odkrywać nieznaną ziemię jak Ernest Shackleton, o którym ciągle pisali w gazetach. Były to niezłe prace — ale wtedy wpadł na pomysł i z podniecenia mało nie wyskoczył z łóżka.

Nazajutrz po południu wkroczył do sklepu pana Janácka i czekał, aż pan Candlemas spod numeru trzynastego odliczy garść monet za tytoń, po czym usiadł na wysokim taborecie przy ladzie i uniósł wzrok na słoje z cukierkami.

— Cześć, Alfie — zagadnął pan Janácek.

— Dzień dobry, panie Janácek.

— To czego sobie dzisiaj życzysz? — *To czego szobie dżyszaj szyczysz?*

Alfie pokręcił głową.

— Niczego, dziękuję. Kieszonkowe dostanę dopiero w poniedziałek. Chciałem pana tylko o coś zapytać.

Pan Janácek kiwnął głową i podszedł do chłopca, wzruszając ramionami.

— Pytaj, o co chcesz. — *O czo chcesz.*

— No, lat panu nie ubywa, prawda, panie Janácek? — Było to wyrażenie, które usłyszał z ust Starego Billa Hempertona. Kiedy proszono go o pomoc przy czymś na ulicy, mówił, że nie może, że to robota dla młodych, a jemu lat nie ubywa.

Pan Janácek się zaśmiał.

— Ile twoim zdaniem mam lat, Alfie?

Alfie się zastanowił. Wiedział z doświadczenia — po szczególnie nieprzyjemnej rozmowie z panią Tamorin spod numeru dwudziestego — że zawsze lepiej podać wiek niższy, niż się naprawdę sądzi.

— Sześćdziesiąt? — rzucił w nadziei, że się nie pomylił (tak naprawdę uważał, że pan Janácek ma lat siedemdziesiąt pięć). Pan Janácek roześmiał się i potrząsnął głową.

— Blisko — powiedział. — Dwadzieścia dziewięć. Jestem zaledwie kilka lat starszy od twojego ojca.

Alfie nie wierzył ani jednemu jego słowu, ale pominął to milczeniem.

— W każdym razie kiedyś będzie pan za stary na prowadzenie sklepu, prawda?

— Chyba tak. Choć mam nadzieję, że nie nastąpi to zbyt szybko.

— Bo rozmawiałem z Kaleną — ciągnął Alfie — i ona powiedziała, że nie będzie tutaj pracować, gdy dorośnie, bo ma zamiar zostać premierem. A ja pomyślałem sobie, że wtedy prawdopodobnie będzie panu potrzebny ktoś do pomocy, prawda? Kiedy nie będzie pan już tak zwinny, jak dawniej, i nie będzie mógł osiągnąć rzeczy na najwyższej półce.

Pan Janáček namyślił się.

— Być może — przyznał. — Ale dlaczego o to pytasz, Alfie? Chcesz złożyć podanie o tę pracę?

Alfie się zastanowił. Nie miał pewności, czy chce się tak do końca zobowiązywać.

— Po prostu proszę mieć mnie w pamięci, nic więcej. Jestem pracowity, uczciwy i uwielbiam słodczy.

— Ale przecież nie sprzedajemy tylko słodczy. Wszystko inne też będziesz musiał polubić.

— Wątpię, żebym mógł się zainteresować sznurkiem czy świecami — powiedział Alfie — ale się postaram. Tymczasem mógłbym zastępować pana w dzień, kiedy robi pan sobie wolne.

Pan Janáček uniósł brew.

— To znaczy w który? — spytał zdziwiony. — Pracuję bez ustanku. W ogóle nie odpoczywam!

— Ale zawsze zamyka pan sklep w piątek wieczorem i otwiera z powrotem dopiero w niedzielę rano.

— No, to nie jest żaden dzień wolny — oznajmił pan Janáček. — To jest szabat. Żydowski dzień odpoczynku. W piątek wieczorem odprawiamy błogosławieństwa: Kalena zapala świece, zmawiamy modlitwy. Nie pracujemy, ale mamy co robić. W ten dzień nie mogę otworzyć sklepu. Ale twoja propozycja jest szlachetna, Alfie, i możesz mieć pewność, że będę o tobie pamiętał, gdy przyjdzie czas, aby przestać pracować.

Alfie uśmiechnął się. To mu wystarczało. Spojrzał za plecy pana Janáčka na flagę przypiętą do ściany przy kasie. Była skomplikowana, z czerwonym paskiem u góry, białym w środku, czerwonym i zielonym kwadratem poniżej. Dwie korony wieńczyły dwa herby.

— Co to? — zapytał Alfie.

Pan Janáček obejrzał się, żeby spojrzeć, na co patrzy chłopiec.

— To flaga.

— To nie jest flaga Anglii.

— Nie, to flaga mojej ojczyzny. Tam się urodziłem i wychowałem. Praga to bardzo piękne miasto — dodał, gładząc się po brodzie, zapatrzony w cytrynowe landrynki. — Może nawet najpiękniejsze na świecie. Miasto Mozarta i Dvoráka. Gdzie pierwszy raz wykonano *Figara* i *Don Giovanniego*. A kto nie szedł Mostem Karola nad Wełtawą, gdy słońce zachodzi ponad zamkiem, ten nie zna życia, mój przyjacielu. Na pewno kiedyś tam pojedziesz.

Alfie zmarszczył czoło. Nie zrozumiał prawie nic z tego, co powiedział pan Janácek.

— Jak Praga jest tak cudowna, to dlaczego przeniósł się pan do Londynu?

Na twarzy pana Janácka zagościł szeroki uśmiech. Alfie jeszcze nigdy nie widział go takiego szczęśliwego.

— Z najlepszego powodu na świecie — wyjaśnił. — Z miłości.

Wtedy Alfie zeskoczył z taboretu, pożegnał się i wyszedł. Te sprawy go nie interesowały. O miłości rozmawiali dorośli i czytały dziewczęta — chociaż Kalena nigdy o niej nie wspomniała; mówiła, że nie może tracić czasu na miłość, bo to przeszkodzi jej w zostaniu premierem — jego to już kompletnie nie obchodziło. Widział, że pani Janácek jest bardzo ładna, przynajmniej jak na starą kobietę, ale nie mieściło mu się w głowie, żeby mógł się w niej kiedykolwiek zakochać.

Pani Janácek zmarła w 1913 roku, rok przed wojną. Bardzo zachorowała i mocno schudła i niedługo potem nie była w stanie wyjść z domu. Margie odwiedzała ją co dzień i Alfie podsłuchiwał, jak opowiada Georgiemu, że „biedaczka usycha”. Niebawem zmarła i pan Janácek z Kaleną zostali sami. Alfie próbował rozmawiać z koleżanką o tym, co się stało, ale oznajmiła, że nie ma ochoty o tym mówić, na razie jeszcze nie, więc zamiast tego codziennie bawił się z nią na dworze, nawet kiedy nie chciało jej się wyjść. Opowiedział jej wszystkie najgorsze kawały, jakie znał, z których jeden rozśmieszył ją tak bardzo, trzy miesiące po śmierci matki, że potem wszystko wróciło jakby do normy.

Alfie nie widział Janácków od wiosny 1915 roku. Gazety bez przerwy pisały o wojnie i wielu mężczyzn z Damley Road, z tatą Alfiego, Georgiem, włącznie albo odbywało przeszkolenia wojskowe, albo już walczyło w Belgii lub północnej Francji. Niektórzy byli za młodzi, lecz powtarzali, że zgłoszą się do wojska, gdy tylko skończą osiemnaście lat. Inni spuszcza

głowy i trzymali języki za zębami, ponieważ nie chcieli nigdzie jechać.

Nawet Leonard Hopkins spod numeru drugiego, który pracował jako pucybut na King's Cross i prawie nigdy nie chodził do szkoły, wydając każdy zarobiony grosz na dziewczęta i tonik do włosów, zgłosił się do wojska, a miał przecież dopiero szesnaście lat.

— O nic nie pytali, tak słyszałam. — Babcia Summerfield zwierzała się Margie, gdy Alfie jadł pewnego dnia podwieczorek. — Bo tym sierżantom od rekrutacji jest wszystko jedno. Wezmą każde jagnię na rzeź. Leonard nawet się jeszcze nie goli. Jak dla mnie to hańba.

Dalej był Joe Patience, obdżektor spod numeru szesnastego — rzecz jasna nie był jeszcze obdżektorem — który mówił, że wszystko to bzdura: chodziło tylko o ziemię i pieniądze, o danie więcej bogaczom i trzymanie biedaków w dyscyplinie, on nie dba, co kto mówi albo robi, bo nigdy nie weźmie do ręki karabinu ani nie założy munduru, i nigdy nie chciał zwiedzać Francji, więc nie będzie żałował, jeśli tam nie pojedzie.

Dużo ludzi złościło się na Joego Patience, ale jeszcze wtedy, w roku 1915, tylko na niego krzyczeli, gdy zaczynał mówić o polityce. Dopiero później doszło do rzeczy gorszych.

W lutym, w dniu, kiedy Alfie dostał list od ojca, który opowiadał mu o ćwiczeniach w koszarach w Aldershot, Margie zawołała go do kuchni, gdzie odliczała drobne z portmonetki. Wtedy jeszcze siedziała większość czasu w domu, od rana do nocy robiąc na drutach, tak jak większość kobiet z Damley Road, i posyłając swetry i skarpety żołnierzom na czymś, co nazywała „frontem”.

— Leć do pana Janácka, Alfie. Weź parę jabłek, torebkę mąki i dzisiejszą gazetę. Ważne, żeby było najnowsze wydanie. Zostanie ci pens na coś słodkiego.

Alfie wesoło złapał pieniądze i pobiegł ulicą do sklepu, przed którym stał w bezruchu pan Janácek, trochę się trzęsąc, z bladą twarzą. Szyby w oknach zostały wybite, wszędzie na ulicy leżało szkło, na drzwiach wejściowych ktoś wymalował trzy słowa: „Nie chcemy szpiegów!”.

— Kto to jest szpieg? — spytał, marszcząc się, Alfie. — I co się stało z oknami? A ma pan dropsy jabłkowe?

Pan Janácek, zawsze tak miły, wpił w niego wzrok i w ogóle się nie uśmiechał. Buty miał jak zawsze lśniące.

— Czego chcesz, Alfie? — zapytał głosem drżącym z wściekłości i lęku.

— Parę jabłek, torebkę mąki i dzisiejszą gazetę. Koniecznie najnowsze

wydanie.

— Lepiej idź do sklepu na rogu Damley Park. Dzisiaj mój będzie raczej zamknięty. Jak widzisz, mam wybite szyby w oknach.

— Kto to zrobił? — zapytał Alfie, czując miękkie zgrzyt szkła pod butami.

— Mówię ci, idź na Damley Park — powtórzył pan Janáček nieco głośniejszym głosem. — Teraz nie mam na to czasu.

Alfie westchnął i się odwrócił. Nie lubił chodzić do sklepu pani Bessworth, znanej z wykradania dzieci, zapiekania ich w cieście i zjadania na podwieczorek (kolega Alfiego znał kogoś, kogo kuzyn miał sąsiada, któremu się to przytrafiło, więc była to z pewnością prawda).

Szyby w oknach wybito nie po raz ostatni, ale pan Janáček zawsze w ciągu dnia albo dwóch wstawiał nowe. Pewnego dnia wieczorem, gdy Kalena grała w klasy na wyrysowanych na chodniku kwadratach, a Alfie siedział na krawężniku i ją obserwował, pojawił się wojskowy furgon i stanął przed numerem szóstym. Gdy pan Janáček otworzył drzwi, kazali mu ze sobą jechać, bo w przeciwnym razie będzie miał kłopoty.

— Ale ja nie zrobiłem nic złego! — zaoponował.

— Jesteś Niemcem! — zawołała pani Milchin spod numeru siódmego, której dwaj najstarsi synowie zginęli już pod Ypres, a najmłodszy, Johnny, miał lada dzień skończyć osiemnaście lat (nikt nie widział go od tygodni; wieść niosła, że pani Milchin posłała go do szwagierki na Hebrydy Zewnętrzne).

— To nieprawda! — protestował pan Janáček. — Jestem z Pragi. Wie pani o tym! Nawet nigdy nie byłem w Niemczech!

Kalena podbiegła do ojca, który objął ją ramionami.

— Nie zabierzcie nas! — zawołał. (*Nie zabieszecze nasz*).

— Niech pan przestanie — powiedział jeden z wojskowych. — Będzie lepiej, jak pójdzie pan spokojnie.

— Dobrze, zabierzcie go! To szpieg! — krzyczała pani Milchin.

Na ulicę wyszła już Margie, z przerażeniem przyglądając się zajściu.

— Zostawcie go — zawołała, podbiegając i stając pomiędzy żołnierzami i Janáckami. — Powiedział wam, że nie jest Niemcem, zresztą mieszka tutaj od lat. Kalena urodziła się na tej ulicy. Nie są dla nikogo groźni.

— Niech się pani odsunie — nakazał żołnierz, dając znać jednemu z kolegów, żeby otworzył drzwi na tyle furgonu.

— Jesteś zdrajczynią, Margie Summerfield! — krzyknęła pani Milchin. — Podlizywać się nieprzyjacielowi! Powinnaś się wstydzić!

— Ale on nic nie zrobił! Mój mąż jest w wojsku — dodała, jak gdyby mogło to w czymś pomóc.

— Niech się pani odsunie — powtórzył wojskowy — bo panią też zatrzymamy.

Wtedy doszło do szarpaniny. Janácków załadowano do furgonu dopiero po prawie dwudziestu minutach. Nie wolno im było wejść do domu ani niczego zabrać. Pan Janáček prosił o pozwolenie zabrania zdjęcia żony, ale dowiedział się, że mogą wziąć tylko ubrania, w których stoją, i nic więcej. Kalena podbiegła do mamy Alfiego i zarzuciła jej ręce na szyję. Jeden z żołnierzy musiał odciągać ją siłą, a dziewczynka łkała i wrzeszczała. Alfie widział jeszcze, jak pan Janáček cicho zanosi się płaczem na tyle furgonu, a Kalena siedzi wpatrzona w okno na tyle i macha do niego. Zachowywała się bardzo dzielnie — Alfie nabrał wtedy przekonania, że na pewno zostanie kiedyś premierem i wtedy dopilnuje, żeby nic podobnego nie miało już nigdy miejsca.

Wieczorem Margie wytłumaczyła mu, co się stało.

— Nazywają ich „osobami na specjalnych prawach”. Każdego Niemca. Rosjanina. Każdego z Cesarstwa Austro-Węgierskiego, o ile dobrze pamiętam. Właśnie stamtąd pochodzą Janáckowie. Może tak jest lepiej.

— Ale to niesprawiedliwe — oponował Alfie.

— To prawda, ale przez czas wojny będą ich trzymać w bezpiecznym miejscu. Parę miesięcy na wyspie Man to w sumie nic strasznego. Pomyśl o tym, jak niszczone im sklep. Na pewno z czasem wandaliby zajęliby się samym panem Janáckiem.

Od tamtej pory dom pod numerem szóstym stał pusty. Nikt w nim nie zamieszkał, nikt nie zachodził. Aż pewnego dnia, gdy Margie siedziała w stołowym, zliczając monety w portmonetce i zastanawiając się, czy w tym tygodniu zapłaci czynsz, węglarzowi czy sklepikarzowi — na wszystko nie było jej stać, prawdopodobnie nie starczyłoby nawet na dwie opłaty — Alfie wpadł na pomysł.

Wybiegł drzwiami od tyłu i opłotkami dotarł do numeru szóstego. Przeskoczył murek do ogrodu za domem Janácków i wybił okno w kuchni kamieniem znalezionym w pobliżu drzwi. Wsunął rękę do środka i podniósł haczyk. Wszedł i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu jedyne ratunku przed głodem i bezdomnością.

Znalazł go w rogu pokoju stołowego. Stał na podłodze koło fotela bujanego.

Pudełko do czyszczenia butów pana Janácka.
Alfie zabrał ze sobą tylko to.

[1] Ang. *patience* — cierpliwość.

3

Podtrzymujcie w domach ogniska

Mówili, że skończy się do świąt, ale minęły już cztery Boże Narodzenia i zbliżało się piąte, a nic nie zapowiadało, żeby wojna miała dobiegać końca.

Alfie miał dziewięć lat i sześć dni w tygodniu mama budziła go, wychodząc rano do pracy. Ciągle nie przyzwyczał się do widoku jej stojącej w bladym świetle w białym mundurze Królewskiej Pielęgniarki, ciasno opinającym szyję i talię, w plisowanym czepku na głowie, spod którego wymykały się blond kosmyki.

— Alfie — mówiła, a twarz miała bladą i zmęczoną z niewyspania. — Alfie, zbudź się. Jest szósta.

Jęknął i przekreślił się na drugi bok, naciągając na głowę szorstki koc, choć oznaczało to, że z drugiego końca będą wystawać stopy, i próbował zasnąć z powrotem. Prosił Margie o nowy koc, dłuższy i cięższy, ale odpowiedziała, że ich nie stać, że czasy są zbyt trudne, żeby myśleć o niekoniecznych wydatkach. Alfiemu śniło się właśnie, że płynął do północnej Afryki, ale statek rozbił sztorm. Zdołał dopłynąć do bezludnej wyspy, gdzie żywił się kokosami i rybami i przeżywał mnóstwo przygód. Śniło mu się to zawsze po lekturze *Przypadków Robinsona Kruzo*, którego czytał właśnie czwarty raz i był już w połowie. Wieczorem skończył w chwili, gdy Robinson i Piętaszek obserwowali ludożerców w kanoe, dobijających do wyspy z trzema jeńcami gotowymi do przyrządzenia. Miała zacząć się wielka batalia: to była jedna z jego ulubionych części.

— Alfie, nie mam czasu — prosiła Margie. — Obudź się. Nie mogę wyjść z domu, dopóki nie wstaniesz.

W jej głosie nie było ani cienia litości; w ciągu czterech ostatnich lat, jak zauważył Alfie, stała się między innymi niezwykle surowa. W ogóle już się z nim nie bawiła — wiecznie zbyt zmęczona. Nie czytała mu do snu; nie mogła, bo musiała wrócić do szpitala na nocną zmianę, zaczynając się o ósmej. Bez przerwy mówiła o pieniądzach, a raczej ich braku. I krzyczała na niego bez powodu, a potem wyglądała tak, jakby miała ochotę wybuchnąć płaczem przez to, że straciła nad sobą panowanie.

— Alfie, proszę cię. — Odsunęła pościel, tak że poczuł zimno. — Musisz wstać. Nie możesz chociaż tego dla mnie zrobić?

Wiedział, że nie ma szans, więc z powrotem przewrócił się na plecy, otworzył oczy, strasznie szeroko ziewnął, przeciągnął się i zaczął powoli gramolić się z łóżka. Dopiero gdy obie stopy znalazły się na podłodze, Margie wyprostowała się i kiwnęła głową, zadowolona.

— Wreszcie — stwierdziła. — Naprawdę nie wiem, Alfie, dlaczego musimy co dzień odgrywać tę scenę. Masz już dziewięć lat. Przydałaby się odrobina współpracy. Teraz coś zjedz, umyj się i idź do szkoły. Wróć około drugiej i zrobię coś smacznego na obiad. Na co miałbyś ochotę?

— Fasolkę z kiełbasą i frytki — odparł Alfie.

— Marzenia ściętej głowy. — Margie wydała podobny do śmiechu odgłos, który zupełnie nie był śmiechem. (W ogóle rzadko się już śmiała. Przynajmniej nie tak jak wtedy, gdy zapowiadała, że ucieknie z listonoszem). — Będą raczej flaki z cebulą. Tylko na tyle możemy sobie pozwolić.

Alfie dziwił się, dlaczego pyta, na co ma ochotę, skoro odpowiedź jest bez znaczenia. W każdym razie cieszył się, że po szkole zostanie ją w domu. Zwykle wracała dużo później.

— Zjemy coś razem na obiad — podjęła nieco łagodniej. — Ale znowu mam nocną zmianę, tak że wieczorem będziesz musiał sam się sobą zająć albo, jak masz ochotę, możesz zajrzeć do Babci Summerfield. Będziesz grzeczny, prawda?

Alfie pokręcił głową. Próbował ją namawiać, żeby zrezygnowała z nocnych zmian, ale bez skutku; za pracę po ósmej wieczorem dostawała więcej pieniędzy i ten dodatek, jak mu wyjaśniała, może oznaczać różnicę pomiędzy zachowaniem dachu nad głową a utraceniem go. Wolał zaprzestać dalszych prób. Margie przyglądała mu się przez chwilę, wyciągnęła rękę i pogładziła go po głowie, a wyraz jej twarzy nieco się zmienił. Nie robiła już wrażenia złej, jak gdyby przypominała sobie dawne

czasy. Usiadła obok niego na łóżku i objęła go ramieniem. Przytulił się do niej, zamykając oczy i czując, jak wraca sen.

Po chwili uniósł głowę i powędrował wzrokiem za spojrzeniem matki, natrafiając na oprawioną w ramki fotografię ojca, która stała na stoliku przy łóżku. Nie miał na niej munduru; stał na dziedzińcu mleczarni z bardzo małym Alfiem siedzącym na jego ramionach z szerokim uśmiechem. Obok stał Pan Asquith, patrząc na aparat fotograficzny z miną mówiącą, że wolałby nie poddawać się temu upokorzeniu (Alfie zawsze mówił, że Pan Asquith jest bardzo dumnym koniem). Nie pamiętał, kiedy zdjęcie zostało zrobione, ale stało tu na stoliku od dnia, w którym Georgie wyjechał cztery lata temu do koszar w Aldershot. Wieczorem po jego odjeździe postawiła je tam Babcia Summerfield.

— Alfie — westchnęła Margie, całując go w głowę, po czym wstała i skierowała się do drzwi. — Tak bardzo się dla ciebie staram. Wiesz o tym chyba, co?

Po jej wyjściu Alfie zszedł na dół, wybiegł po szufelkę, która leżała za drzwiami od tyłu, i nabrał do niej popiołu z kuchennego piecyka. Potem co sił w nogach pognął do wychodka na końcu ogrodu, starając się nie czuć lodowatego podmuchu powietrza ani nie uronić cennego żaru. Nie znosił tych porannych wycieczek, zwłaszcza teraz, pod koniec października, gdy było zimno i trzymał mróz, ale nie dało się na to nic poradzić.

W środku panował mróz. Siedem różnych pajaków i coś podobnego do przejedzonego chrząszcza łąziło mu po nogach, gdy siedział. Słyszał drapanie szcurków pod drewnem i z jękiem przypomniał sobie, że zapomniał o kwadratach wczorajszej gazety, którą ciął skrupulatnie co wieczór przed pójściem spać — ale na szczęście Margie już je przyniosła, przebiła dziurę w środku i zawiesiła je na haczyku, dzięki czemu nie musiał wracać do domu.

Gdy skończył, wsypał żar do otworu z nadzieją, że kompostownik za wychodkiem — najgorsze miejsce, jakie widział w całym swym życiu — znów się nie zapcha. Doszło do tego przed kilkoma miesiącami i Margie musiała zapłacić ludziom od nieczystości dwa szylingi za wywiezienie całego bałaganu; potem, nie wiedząc, czy starczy pieniędzy na opłacenie czynszu, usiadła w zepsutym fotelu przed kominkiem i wypłakiwała oczy, raz po raz bezgłośnie powtarzając imię Georgiego, jak gdyby była szansa, że wróci i ocali ich przed eksmisją.

Alfie wrócił biegiem do domu, umył ręce i usiadł przy stole w kuchni, gdzie Margie zostawiła mu na talerzu dwie kromki chleba, smużkę masła i, ku jego zdumieniu, słoiczek dżemu, nakryty przewiązaną sznurkiem, muślinową ściereczką. Alfie zapatrzył się na dżem, mrugając kilka razy oczami. Nie miał czegoś takiego w ustach od wielu miesięcy. Wziął słoik i spojrzał na etykietę. Ręcznie, czarnym atramentem, wypisano tam tylko jedno słowo.

Agrest.

Czasem rodzice żołnierzy leżących w szpitalu przynosili małe co nieco dla Królewskich Pielęgniarek i były to zwykle tego rodzaju smakołyki: coś, co sami zrobili z owoców hodowanych w ogrodach lub na działkach. Na pewno Margie w taki sposób zdobyła dżem. Alfie zastanawiał się, czy sama go spróbowała, czy zostawiła wszystko dla niego. Wstał i podszedł do zlewu, gdzie leżały naczynia po śniadaniu matki. Na dnie jeszcze nieumytego kubka stała kałuża zimnej, brązowej herbaty. Za starych czasów, przed wojną, Margie nigdy by tego tak nie zostawiła: wypłukałaby wszystko i postawiła do góry dnem na suszarce, żeby Georgie mógł potem wytrzeć. Przyjrzał się talerzowi. Na boku kilka okruszyn i odrobina wilgoci w miejscu, gdzie rozgrzany tost zetknął się z zimną porcelaną. Obejrzał nóż. Prawie czysty. Powąchał go. Nie pachniał masłem, nie było na nim ani śladu dżemu, którego z pewnością nieco by pozostało.

Zachowała cały słoik dla niego.

Alfie nalał wody do czajnika i postawił go na kuchence, ułożył kilka patyków na jeszcze czerwonych węgielkach i czekał, aż rozlegnie się gwizdek i będzie mógł zrobić sobie herbatę. Zawsze czuł się jak dorosły, czekając, aż się zaparzy. Nie przepadał za smakiem herbaty, ale siedzenie rankiem przy stole przed parującym kubkiem, tostem i gazetą opartą o dzbanek z mlekiem dodawało mu powagi. Georgie zawsze się w ten sposób zachowywał. Przed wyjazdem.

Charlie Slipton spod numeru dwudziestego pierwszego już nie roznosił gazet. Pojechał na wojnę w 1917 roku i po kilku miesiącach zginął. Alfie zapisał w notesie miejsce jego śmierci, ale ciągle nie umiał wymówić go poprawnie. *Passchendale*. Teraz gazety roznosił najmłodszy brat Charliego, Jack, który skończył niedawno dziesięć lat i nie odzywał się do nikogo ani słowem. Alfie próbował się z nim zaprzyjaźnić, lecz zrezygnował, gdy przekonał się, że tamten chce mieć święty spokój.

Widok gazety przypomniał mu tamten straszny dzień przed rokiem, gdy

dowiedzieli się o śmierci Charliego. Była niedziela rano, więc obydwój z Margie siedzieli w domu, gdy zapukano do drzwi. Margie, która piekła chleb, uniosła głowę zaskoczona i przetarła czoło grzbietem dłoni, pozostawiając białą smugę mąki. Niewiele osób ich odwiedzało. Babcia Summerfield miała własny klucz i zwykle wchodziła bez opowiadania się. Stary Bill zawsze pukał rytmicznie, dzięki czemu wiedzieli, że to on. A pana Janácka i Kalenę wywieziono rzecz jasna na wyspę Man. Alfie wolał sobie nie wyobrażać, co się tam z nimi stało.

— Kto to może być? — odezwała się Margie. Opłukała ręce nad zlewem i poszła do przedpokoju, gdzie stanęła na moment przed drzwiami, jakby chciała przeniknąć je wzrokiem. Alfie poszedł za nią; po chwili zrobiła krok do przodu i otworzyła zasuwę.

Za drzwiami stało dwóch mężczyzn w wojskowych mundurach. Jeden dość stary, z siwymi wąsami, ciemnoniebieskimi oczami i w okularach. Założył bardzo eleganckie rękawiczki ze skóry, które akurat zdejmował, gdy otworzyły się drzwi. Drugi był znacznie młodszy i zaciął się tego ranka przy goleniu; Alfie widział na jego policzku kroplę zakrzepłej krwi. Miał jasnorude włosy sterczące na wszystkie strony, jakby gotowe do walki z każdą szczotką, która próbowałaby je okiełznać. Alfie gapił się na niego zdumiony. Nigdy przedtem nie widział takich rudych włosów, nawet u pana Carstairsa, nauczyciela w szkole na Damley Road, którego wszyscy przezywali „Rudzielcem”, mimo że jego włosy miały raczej barwę przypalonego oranżu.

— Nie — zaczęła Margie, przytrzymując się drzwi, wpatrzona w mężczyzn, z ręką kurczowo zaciśniętą na framudze. Alfie widział, jak bieleją jej knykcie. — Nie — powtórzyła, tym razem znacznie głośniej, a Alfie zmarszczył czoło, zastanawiając się, co chce powiedzieć tym jednym słowem.

— Pani Slipton? — zapytał starszy, wąsaty, podczas gdy rudy wyprostował się i zajrzał do środka, gdzie jego wzrok napotkał oczy Alfiego. Na widok chłopca przybrał smutną minę, przygryzł wargę i odwrócił głowę.

— Co? — zapytała Margie głosem unoszącym się ze zdziwienia, że zwracają się do niej niewłaściwym nazwiskiem.

Alfie zrobił krok naprzód i stanął przy mamie, widząc, jak otwierają się wszystkie drzwi po drugiej stronie ulicy, kobiety wychodzą z nich i zasłaniają rękami twarze. Drgnęła firanka pod jedenastym i widział, jak

wygląda zza niej Babcia Summerfield z rękami przyciśniętymi do policzka. Pan Asquith przejechał truchtem z siedzącym na wozie młodym Henrym Lyonsem. Henry za nic na świecie nie nalałby mleka do dzbanka; wszyscy tak twierdzili. Zaczynał lać i połowa bańki lądowała na ziemi obok drogi. Ale w mleczarni potrzebny był woźnica, a Henry był głuchy i nie mógł iść na wojnę. Alfie był przekonany, że Pan Asquith, przejeżdżając, spoglądał w jego stronę, szukając za plecami chłopca swojego prawdziwego pana.

— Pani Slipton, jestem sierżant Malley — przedstawił się mężczyzna — a to porucznik Hobton. Możemy wejść na chwilę?

— Nie — odpaliła Margie.

— Pani Slipton, proszę panią — mówił zrezygnowanym tonem, jakby przyzwyczajony do tego typu reakcji. — Gdybyśmy tylko weszli i usiedli...

— Pomyliliście domy — wyduśliła z trudem Margie i niemal się zachwiała, wspierając się na ramieniu Alfiego. — O Boże, pomyliliście domy. Jak tak można? Tu jest numer dwanaście. Szukacie dwudziestego pierwszego. Przekreśliście cyfry.

Starszy mężczyzna przez chwilę patrzył na nią bez ruchu, potem na jego twarzy zagościła konsternacja, kiedy rudzielec wyjął z wewnętrznej kieszeni kartkę papieru i szybko przebiegł ją wzrokiem.

— Sierżancie. — Podsunął kartkę, na coś wskazując.

Wściekły sierżant wyszczerzył zęby i spojrzał na młodszego, jak gdyby miał ochotę go uderzyć.

— Co się z tobą dzieje, Hobton?! — syknął. — Nie umiesz czytać? Nie możesz sprawdzić, zanim zapukamy do czyichś drzwi? — Następnie odwrócił się do Margie i Alfiego, kręcąc głową. — Przepraszam panią. Naprawdę, bardzo przepraszam.

Po czym mężczyźni obrócili się na pięcie, lecz pozostali na ulicy, rozglądając się na prawo i lewo, prześlizgując się spojrzeniami po numerach na drzwiach, wreszcie zwrócili się w kierunku sklepu ze słodyczami pana Janácka, gdzie okna pozostały zabite deskami od czasu, gdy przed kilku laty wybito szyby, i wciąż bieliły się trzy słowa: „Nie chcemy szpiegów!”

Margie wycofała się do przedpokoju, z trudem łapiąc oddech, za to Alfie został na progu. Patrzył, jak dwaj żołnierze wolno przemierzają ulicę. Wszystkie drzwi stały otworem. I przed każdymi stała żona albo matka. Jedne płakały, inne modliły się. Niektóre kręciły głowami w nadziei, że żołnierze nie zatrzymają się przed nimi. Za każdym razem, gdy sierżant

Malley i porucznik Hobton minęli jeden z domów, kobieta przy drzwiach zęgnęła się i biegła do środka, zatrzasnąwszy za sobą drzwi i zamykając je na zasuwę, na wypadek gdyby mężczyźni zmienili zdanie i chcieli wrócić.

Na koniec zatrzymali się przed numerem dwudziestym pierwszym, gdzie stała matka Charliego, pani Slipton. Alfie nie słyszał, co mówi, ale widział, że płacze i usiłuje odepchnąć żołnierzy. Obiema rękami uderzyła w twarz Rudzielca, który nie wiedząc czemu nie miał jej tego za złe. Starszy mężczyzna postąpił do przodu i coś do niej szepnął. Weszli do domu i tam zostali. I okazało się, że Alfie jest na ulicy sam. Wszyscy inni siedzieli u siebie, dziękując losowi, że dwaj żołnierze nie stanęli przed ich drzwiami.

Później Alfie dowiedział się, że Charlie Slipton zginął, i przypomniało mu się popołudnie, gdy tamten zupełnie bez powodu rzucił mu w głowę kamieniem. Nie wiedział, co ma o tym myśleć. Zdał sobie sprawę, że właśnie taka jest wojna. Człowiek we wszystkim tracił orientację.

Alfie nie czytał „Daily Mirror” za dokładnie, ale lubił oglądać nagłówki, tak że i teraz wziął gazetę, żeby zorientować się w wydarzeniach na świecie. Kolejne wieści z Marny; tam zawsze się coś działo. Informacje o rannych i zabitych w jakimś Amiens. Artykuł o przemówieniu premiera, pana Lloyda George’a, o którym Alfie mu odechciało się czytać, bo też codziennie przemawiał na jakiś temat.

Na koniec to, co zawsze na koniec poranka. Liczby na stronie czwartej. Liczba ofiar po naszej stronie. Liczba ofiar po ich stronie. Liczba rannych. Liczba zaginionych w boju. Istniała jednak tylko jedna liczba, która naprawdę interesowała Alfiego: 14278. Numer służbowy taty, który mu przydzielili, kiedy zaciągnął się do armii.

Przesuwał palcem po spisie.

14143, Smith, D., 7. Pułk Piechoty

14275, Dempster, C. K., Pułk Gloucestershire

15496, Wallaby, A., Pułk Seaforth Highlanders

15700, Crosston, J., Pułk Sherwood Foresters (Nottingham Shire i Derby)

Odetchnął z ulgą i odłożył gazetę, popijając herbatę i starając się myśleć o czymś innym. Lekko zadrżał; w domu było zawsze trochę zimno. Margie z samego rana dokładała do ognia kilka węgielków, ale mówiła, że nie ma sensu trzymać w domu ciepła przez cały dzień, gdy jest ich tylko dwoje, ona będzie w pracy, a on w szkole.

— To się nazywa wyrzucanie pieniędzy — powtarzała. — Tak, poranne

zimno da się znieść. Jak wrócisz ze szkoły, możesz napalić. Tylko pamiętaj, kilka kawałków węgla i nie za dużo patyków. Podpałka też kosztuje.

Alfie dokończył śniadanie i poszedł umyć wszystko w zlewie — naczynia Margie i swoje. Wytarł je ścierką, którą potem powiesił na haczyku obok kuchenki, i odłożył wszystkie rzeczy do kredensu. Wyjął nożyczki i zostawił je na gazecie, którą chciał potem pociąć na kwadraty: dzisiejsze wiadomości to jutrzejszy papier toaletowy. Zastanowił się, czy trzeba zmieść podłogę, ale robiła wrażenie dość czystej. Należało to teraz do jego obowiązków: utrzymywanie tip-top porządku. Przynajmniej tak wyrażała się Margie.

— Wszyscy musimy zakasać rękawy — tłumaczyła. — Nie prosiłabym cię, gdybym miała czas.

Alfiemu to nie przeszkadzało. Nie cierpiał bałaganu.

Znowu nastawił czajnik i podgrzał wodę, wlał ją do zlewu i odczekał, aż rozmiękczy zanurzone w niej szare mydło. Potem zdjął pidżamę, stanął na środku kuchni — przy Margie nigdy by tak nie zrobił; kazałby jej wyjść i przystawiłby do drzwi krzesło na wypadek, gdyby zapomniała — i cały się umył. Przy kominku wisiał ręcznik, którym się wytarł. Był szorstki i nieprzyjemny w dotyku, ale innego nie mieli. Potem biegiem wrócił na górę i się ubrał.

Był wtorek — dzień szkolny. Alfie już nie chodził za często do szkoły. Nauczycielom chyba to nie przeszkadzało. Nie sprawdzali listy i nie zawiadamiali matek, gdy ktoś nie chodził na lekcje. Oczywiście czasami się tam zjawiał, mniej więcej dwa razy w tygodniu. Zwykle w poniedziałek i czwartek, bo w poniedziałek mieli historię, którą Alfie bardzo się interesował, zwłaszcza wszystkim, co dotyczyło królów i królowych, i wojen toczonych o angielską koronę. W czwartki mieli lekcje czytania, a Alfie był z tego najlepszy w klasie — ba, nawet w całej szkole — i uwielbiał słuchać, jak pani Jillson, bibliotekarka, czyta im na lekcjach albo puszcza po klasie książkę, żeby każdy mógł przeczytać stronę czy dwie. Pani Jillson była stara jak świat, ale naśladowała różne dziwne głosy i kazała dzieciom robić to samo, co Alfie strasznie lubił.

Wszyscy nauczyciele się zmienili. Kilka lat temu w szkole pracowało wielu młodych mężczyzn, którzy byli fajni i w przerwie obiadowej zawsze mieli ochotę pograć w piłkę. Oczywiście nie został z nich ani jeden, z wyjątkiem pana Carstairsa, który miał chore obie nogi i chodził o kulach. W ogóle nigdzie nie było młodych mężczyzn, poza Joem Patience,

obdzektorem spod numeru szesnastego, do którego nikt się nie odzywał. Nawet Babcia Summerfield, która znała go od dziecka i kiedyś powiedziała, że jest dla niej jakby drugim synem — albo ona dla niego jak druga matka, Alfie już nie pamiętał (teraz lepiej było nie wspominać Joego przy Babci Summerfield, bo zalewała ją krew, a pewnego dnia Alfie widział przez okno, jak mijają się na ulicy, a Babcia daje mu mocno, mocno po twarzy. Joemu Patience! Najmilszemu, najserdeczniejszemu człowiekowi na całym świecie!)

Szkolę prowadzili teraz starcy, z których część uczyła przed wojną i którzy mawiali, że zdawało im się, że mają już za sobą wszystkie te brednie, że czekali na długie i szczęśliwe życie na emeryturze. Ludzie tacy jak pani Jillson albo pan Flaker, emerytowany urzędnik, albo pan Cratchley, którego syn uczył w tej szkole, ale teraz był „tam”, jak przypominał im codziennie, każąc modlić się za Cecila, bo tak nazywał się jego syn. Cecil Cratchley. Inni nigdy nie byli nauczycielami, ale teraz przydawała się każda para rąk — tak przynajmniej mawiał pan Flaker. Lepszy rydz niż nic.

U starych najgorsza była chłosta. Młodzi nauczyciele przed wojną nie używali jej zbyt często, ale pan Flaker rzadko kiedy wytrzymał całą lekcję bez obicia jakiegoś ucznia. Pan Grace, lokaj w Buckingham Palace do czasu, gdy skończył sześćdziesiąt pięć lat, wręcz trzymał w rękawie kij z oklejonym taśmą, metalowym ciężarkiem na końcu. Nazywał ten kij Excaliburem. Prawie każdy zapoznał się już z nim bliżej. Zresztą chłopcy niezbyt się skarżyli; większość dostawała w domu po łapach za najdrobniejsze przewinienie. Tylko Alfiego rodzice nigdy nie bili — Georgie i Margie twierdzili, że w to nie wierzą — i gdy pewnego dnia napomknął o tym panu Grace, wrócił do domu z głębokim piętnem Excalibura na lewej ręce jako karą za pyskowanie.

Jednak dziś nie był ani poniedziałek, ani czwartek, nie będzie więc historii ani czytania. Jako że był wtorek, już ubrany Alfie wyciągnął z głębi szafy drewniane pudełko z przyborami do czyszczenia butów. Postawił je na dywanie i ostrożnie zdjął wieko. Poczł gryzący odór dwóch pudełek pasty i sprawdził, czy w środku jest wszystko, czego potrzeba: szczotki, rękawiczki z jednym palcem, słoiki pasty, łyżka do butów, szczoteczka z końskiego włosia i balsam do skóry. Sprawdził, czy wszystkiego starczy, choć w piątek dokupił przyborów za własne pieniądze i nowe zakupy trzeba będzie zrobić najwcześniej za dwa tygodnie. Kiedy upewnił się, że

ma wszystko, czego potrzeba, zamknął pudełko, zszedł na dół, obejrzał twarz, czy nie ma na niej żadnego brudu — bo już dawno przekonał się, że przyciąga więcej klientów z równo uczesanymi włosami i czystą skórą — założył płaszcz i szalik i wyszedł na zimne, październikowe powietrze.

W końcu Alfie Summerfield był teraz panem domu. I musiał zarabiać na życie.

4

Twój król i kraj cię potrzebują

Pudełko do czyszczenia butów było z ciemnobrązowego mahoni, podłużne, ze złotym zatrzaskiem do otwierania wieka, spod którego ukazywały się trzy przegródki.

Pierwsza zawierała dwie szczotki z końskiego włosia, czarną i brązową, ze żłobionymi uchwyty; w drugiej widać było cztery szare szmatki do polerowania i parę gąbek; w trzeciej znajdowały się dwie puszk pasty, prawie pełne w chwili, gdy Alfie znalazł pudełko. Na boku wyryto słowo „*Holz knecht*” i herb przedstawiający orła, groźnego i o dzikim spojrzeniu, unoszącego się nad górą. Od środka do wieka przytwierdzony był stopień, który można było wyjąć i przymocować na wierzchu zamkniętego pudełka za pomocą dwóch cienkich wyłobień w bocznej ścianie. Na nim klient stawiał nogę na czas pucowania butów.

Gdy Alfie przeniósł pudełko do swojego pokoju, długo mu się przypatrywał, muskając palcami eleganckie drewno i ostrożnie wachając pastę, której zapach drażnił go w nos. Rzecz jasna widywał już wcześniej takie skrzynki, ale żadna nie była tak szykowna i zadbana, jak pana Janácka. Kilka dni po zaciągnięciu się do wojska ojciec zabrał go na King's Cross — mówił, że obejrzą sobie pociągi, lecz nie był to prawdziwy powód — i Alfie widział, jak Leonard Hopkins spod numeru drugiego czyści buty w kącie przy kasie biletowej i liczy sobie po pensie od klienta. Pastowanie buta zajmowało mu chyba dużo czasu, bo gdy tylko na horyzoncie pojawiła się ładna dziewczyna, wzrok Leonarda podążał za nią jak zahipnotyzowany i chłopak odwracał się dopiero wtedy, gdy klient stukał go w głowę.

Wedle najnowszych doniesień Leonard stacjonował gdzieś w okolicach

Brugii. Leżał trzy miesiące w polowym szpitalu, po czym na nowo wysłano go na front. Nie miał jeszcze nawet skończonych siedemnastu lat.

Pewnego wieczoru Alfie napomknął panu Janáckowi o pracy Leonarda. Ojciec Kaleny zaśmiał się i oświadczył, że Anglicy wiecznie potrzebują kogoś, kto ich obsłuży. Bogacze mają swoich lokai i służących, gospodynie i pokojówki. Biedaków nie stać na takie luksusy, więc dla poprawy nastroju każą sobie pucować buty. Dzięki temu czują się ważni.

— Ale są rzeczy, które możemy robić własnoręcznie, Alfie — oznajmił pan Janáček, biorąc do jednej ręki but, a do drugiej szczotkę. — Na przykład to, mój młody przyjacielu.

Starannie oglądając pudełko, Alfie miał pewność, że było w rodzinie pana Janáčka od dawna, jak rodowa pamiątka, i że przywiózł je z sobą do Londynu, gdy wyjeżdżał z Pragi z najlepszego powodu na świecie: z miłości. Być może sam zarabiał dzięki niemu na życie, zanim otworzył sklep ze słodyczami. A może po prostu trzymał je po to, żeby pastować własne buty. To prawda, że pan Janáček był zawsze bardzo zadbany, znany na Damley Road z wytworności.

— To ta jego europejska krew — tłumaczyła Margie pani Milchin i pani Welton jednego popołudnia przy prasowaniu dla pani Gawdley-Smith, która mieszkała w jednej z willi przy Henley Square i oddawała Margie rzeczy do prania za dwa pensy komplet. („Każdy koszyk, Alfie, to jedna nasza kolacja”). — Na kontynencie ludzie są dumni ze swojego wyglądu.

— Ach, gdybym miała dwadzieścia lat mniej, a Fred by nie patrzył! — zawołała ze śmiechem pani Welton, na co pani Milchin pokręciła głową i zrobiła taką minę, jakby właśnie napiła się skwaśniałego mleka.

— Nie podobają mi się tacy schludni mężczyźni — powiedziała. — Ja sama nie ufałabym temu panu Janáckowi. — Ale pani Milchin już od dawna była do niego niechętnie nastawiona, a to z powodu jego akcentu. Taka już była. Nie lubiła obcych.

Alfie wolał nie myśleć, że kradnie pudełko do czyszczenia butów — nazywał to sobie pożyczaniem. Wiedział, że kradzież to coś złego — David Candlemas spod numeru trzynastego mało nie poszedł do więzienia za kradzież węgla z szopy za domem Scutworthów, o czym wiele tygodni mówiła cała Damley Road — ale miał pewność, że panu Janáckowi spodobałoby się to, co robi, i obiecał sobie, że odda pudełko, kiedy skończy się wojna i Kalena z ojcem wrócą wreszcie pod numer szósty.

O ile to w ogóle nastąpi.

Niedługo potem Margie zjawiała się w domu z przejętą miną i oznajmiła, że ma coś ważnego do powiedzenia. Przeszli do stołowego i Alfie usiadł naprzeciw niej z rękami na kolanach, pochylony w pogotowiu.

— Alfie — zaczęła, zamiast niego wpatrując się w kominek. Milczała dłuższy czas, lecz Alfie postanowił nie odzywać się pierwszy. Bał się tego, co miała zamiar mu powiedzieć, i czuł już zbierające się w oczach łzy. — Mam dla ciebie nowinę — powiedziała w końcu.

— Dobrą?

— No, nie jest zła — odparła. — To po prostu nowina. Informacja.

— O tacie?

Szybko obróciła głowę i popatrzyła na niego. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Minęły prawie trzy lata od chwili, gdy Georgie wszedł do tego pokoju w żołnierskim mundurze, Margie wybiegła z płaczem, a Babcia Summerfield ogłosiła, że już po nich, zupełnie po nich.

— To nie dotyczy twojego ojca — ciągnęła Margie, potrząsając głową. — Alfie, już o tym rozmawialiśmy. Ruszył w tajną misję z ramienia rządu, mówiłam ci. Dlatego nie może się już z nami kontaktować. Dlatego nie pisze do nas listów i my nie możemy pisać do niego.

„Tata nie żyje” — pomyślał Alfie.

— Zdawało mi się, że to zrozumiesz — mówiła Margie, unosząc nieco głos, podczas gdy twarz Alfiego stężała i poczuł, jak zgrzyta zębami. *Tata nie żyje*. Zamknął oczy i w głowie usłyszał odgłos pociągu wjeżdżającego na dworzec, ryk lokomotyw zagłuszający wszystko, co mówi matka. ...*nie żyje Tata nie żyje Tata nie żyje Tata nie żyje...* Cały czas poruszała wargami, coś mówiła, wiedział o tym, ale jej nie słyszał. Nie dopuszczał do siebie żadnego dźwięku i słyszał tylko te trzy słowa, rozbrzmiewające ciągiem w głowie.

— Alfie, przestań! — krzyknęła Margie, odrywając mu rękę od uszu. Otworzył wreszcie oczy i z trudem przełknął ślinę. — Co się z tobą dzieje?

— O czymś myślałem, to wszystko.

— O czym?

— O tacie.

Margie westchnęła.

— Alfie, jak chcesz porozmawiać o ojcu, możemy porozmawiać o ojcu. Na tym ci zależy?

— Powiedz mi o nim prawdę.

— Już ci powiedziałam.

— Nie jestem małym dzieckiem — upierał się Alfie. — Powiedz mi prawdę.

Margie się zawahała; przez chwilę zdawało się, jak gdyby rzeczywiście zamierzała powiedzieć mu prawdę, ale stukot kopyt Pana Asquitha na Damley Road, odruchowo odwracającego łeb, gdy przejeżdżał przed numerem dwunastym, wytrącił ich z nastroju chwili i Alfie wiedział, że nie ma sensu się dalej dopraszać.

— Powiedz, co to za nowina — odezwał się w końcu.

Margie pokręciła głową.

— Oj, Alfie — westchnęła — nie wiem, czy mam teraz dosyć siły.

— Powiedz! — nie ustępował.

— Mam pracę — oznajmiła, wzruszając ramionami. — W szpitalu. Zostanę Królewską Pielęgniarką.

— Co to znaczy? — Alfie zmarszczył czoło.

— Czytasz gazetę. Wiem o tym. — Choć nie wiedziała, że Alfie tylko odczytywał co dzień numery.

14278.

— Tylu żołnierzy wraca z frontu z okropnymi ranami — ciągnęła Margie — i potrzeba coraz więcej pielęgniarek, które by się nimi zajmowały. Nie mogę siedzieć bezczynnie, Alfie, to chyba jasne? Zawsze szukałam czegoś, w czym byłabym dobra. Może właśnie trafiłam. Myślę o tacie i... — Umilkła i przygryzła wargę, potem potrząsnęła głową i zmieniła temat. — Mogę się na coś przydać, Alfie. Chyba rozumiesz, prawda? Im więcej pożytecznych ludzi, tym szybciej skończy się wojna.

— Wojna nie skończy się nigdy! — zawołał Alfie, wychylając się z krzesła. — Będzie już trwała *zawsze*.

— To nieprawda! — zaproponowała Margie. — Musi się kiedyś skończyć. Z wojnami zawsze tak jest. Nowe nie mogą się zacząć, jeśli nie skończą się stare — dodała z bladym uśmiechem, ale Alfie nie był w nastroju do żartów. — W każdym razie zaproponowali mi sześć tygodni stażu w szpitalu, a potem etat — niestety to praca na zmiany, tak że nasze życie tutaj nieco się zmieni. Będziesz musiał być jeszcze bardziej samodzielny. Dasz sobie chyba radę, co? W razie czego zawsze możesz pójść do Babci Summerfield.

Alfie zamyślił się. Samodzielność nie bardzo przypadła mu do gustu. Chciał, żeby wszystko było tak jak dawniej, gdy opiekowali się nim Georgie

i Margie, Babcia Summerfield raz po raz wpadała na pogaduszki, Stary Bill Hemperton rytmicznie stukał do drzwi i dawał Alfiemu pół pensa za przyniesienie gazety, Kalena Janácek była najlepszą koleżanką, a nie osobą na specjalnych prawach, którą internowano.

— Potrzebujemy pieniędzy, Alfie, w tym rzecz — powiedziała Margie, gdy ciągle milczał.

— Przecież bierzesz już pranie.

— Nie przypominaj mi. Będę musiała się tym zajmować w środku dnia, między zmianami.

— A kiedy będziesz spała?

— Oj, wyśpię się, kiedy... — Raptownie urwała, a policzki oblał jej gorący rumieniec. — Nie mam innego wyjścia, Alfie. Czasy są ciężkie, przecież wiesz. — Zawahała się i raptownie uniosła głos. — Nie mamy w ogóle pieniędzy, Alfie! Ledwie wiążemy koniec z końcem. Babcia Summerfield powiedziała, że możemy przeprowadzić się do niej, ale tego bym nie chciała. To jest nasz dom i dopóki starczy mi sił, nie pozwolę ci go odebrać, kiedy straciłeś już tak wiele innych rzeczy. Poza tym skąd wezmę na słodycze dla ciebie, jeśli nie będę pracowała? — Uśmiechnęła się, mając nadzieję na reakcję.

— Nie potrzebuję słodyczy — powiedział Alfie. — Mogę z nich zrezygnować. Zresztą teraz i tak jest ich mało. W sklepach prawie ich nie sprzedają.

— Potrzebujemy jedzenia — oznajmiła wtedy. — Alfie, nędza zagląda nam w oczy. Z bliska.

Alfie wybałuszył oczy. Nie miał pojęcia, co to znaczy, że „nędza zagląda im w oczy”, ale nie brzmiało to zachęcająco.

— Jeśli pójdę do pracy, będę prała rzeczy od pani Gawdley-Smith i dorobię na kilku nocach w tygodniu, starczy nam na jedzenie. Jeśli tego nie zrobię, nie wystarczy. To proste. Bo wiesz, jedzenie nie rośnie na drzewach.

— Przecież rośnie — zaoponował Alfie. — Na drzewach albo w ziemi.

Margie uśmiechnęła się i nawet cicho zaśmiała, co ucieszyło Alfiego. Już dawno nie rozśmieszył matki.

— No tak, to prawda — przyznała. — Ale wiesz, co mam na myśli.

Na koniec odbyli długą rozmowę na temat szpitala i godzin, które będzie musiała tam przepracować, i Alfie obiecał, że będzie grzeczny, że co dzień będzie chodził do szkoły, co zdaniem Margie oznaczało, że dorośleje.

— Będiesz kiedyś porządnym człowiekiem, Alfie Summerfieldzie — oznajmiła, całując go w czoło. — Takim jak ojciec. Byłby z ciebie dumny, gdyby teraz tu z nami był.

Ale rzecz jasna go nie było. Nie pisał listów, nie przysyłał telegramów; nie przyjeżdżał do domu na urlop jak Jack Tamorin spod numeru dwudziestego czy Arthur Morris spod osiemnastego. Margie obstawała przy tym, że tajna misja taty przyspieszy zakończenie wojny, lecz Alfie nie wierzył ani jednemu jej słowu.

Wiedział, że ojciec nie żyje.

Alfie ukradł pudełko do czyszczenia butów pana Janácka tylko z jednego powodu: żeby pracować tak, jak kiedyś Leonard Hopkins, i pomóc w ten sposób matce. Ona coś robiła, przyszła więc pora, żeby i on na coś się przydał.

Nazajutrz wypadła środa, więc nie było po co iść do szkoły (przecież nie mieli tego dnia czytania ani historii). Alfie odczekał, aż Margie wyjdzie na pierwszy dzień stażu w szpitalu, potem wyjął pudełko z szafy, sprawdził, czy wszystko jest na miejscu, umył się, ubrał, coś zjadł i wyszedł z domu.

Damley Road była mały kawałek drogi od King's Cross i Alfie szedł znajomymi ulicami, przekładając pudełko z prawej do lewej ręki, kiedy robiło się za ciężkie. Czuł się jak człowiek światowy, człowiek pracy, jak kiedyś tata, gdy wstawał wcześniej i jeździł wozem po mleko. Na widok innych robotników miał ochotę uchylać na powitanie czapkę, ale powstrzymał się, bo nie chciał się wygłupić.

Po wejściu na dworzec poczuł, jak ogarnia go wielka fala emocji. Ostatni raz — *jedyny* raz — był tutaj z Georgiem kilka dni po zaciągnięciu się ojca do armii. Wtedy panował tutaj duży ruch. Wszędzie kręcili się roznosiciele gazet — podobno w lipcu 1914 roku nakłady zwiększyły się sześciokrotnie, bo każdy chciał wiedzieć, co może się im przydarzyć — i setki ludzi wsiadało i wysiadało z pociągów. Ogłuszał ryk silników lokomotyw i dworzec tonął w smogu gęstym jak zupa. Georgie nie założył wtedy munduru. Zostawił go w szafie w domu. Nie zakładał go od chwili, kiedy ku zaskoczeniu wszystkich wkroczył w nim do salonu.

— Wiedziałeś — zaczął Georgie, stając w dworcowej hali i rozglądając się po peronach, gapiąc na wysoki sufit i słuchając konduktorskich gwizdków — że kiedyś chciałem zostać maszynistą? Staralem się o pracę na trasie Londyn—Edynburg, ale mi się nie udało.

— Czemu? — zapytał Alfie, unosząc głowę i patrząc na tatę.

— Powiedzieli, że się nie nadaję — odparł, wzruszając ramionami. — Cokolwiek by to miało znaczyć. Ci maszyniści to jedna stara klika. Wydaje im się, że są lepsi od innych ludzi, bo cały czas noszą mundury. Ale przecież nie są.

— Teraz ty też będziesz nosił mundur — zauważył Alfie, na co Georgie zaśmiał się lekko i zmierzwił włosy chłopca, chociaż Alfie wcale nie żartował.

— No, chyba tak. Teraz zaczekaj. — Skoro już tutaj jesteśmy, muszę załatwić pewną sprawę.

Podeszli do kasy, przed którą czekała duża kolejka, lecz z boku na peronie stały trzy biurka nieodgrozdzone barierkami, każde obsadzone przez oficera pochylonego nad jakimiś księgami i robiącego notatki przy wybranych zapisach.

— Dobry — zagadnął Georgie, zapalając papierosa i podchodząc do mężczyzny przy środkowym biurku, starszego od niego o jakieś dziesięć lat, z czarnymi włosami z równym przedziałkiem na boku i taką ilością żelu, że grzebień zostawił na nich ślady zębów jak na świeżo zaoranym polu. Alfie usłyszał przenikliwy gwizd, odwrócił się i ujrzał Leonarda Hopkinsa klęczącego przy swoim pudełku i gapiącego się bezczelnie na dziewczynę, która odwróciła się zaskoczona i uśmiechnęła, na co matka szybko pociągnęła ją dalej.

— Czym mogę służyć? — spytał mężczyzna za biurkiem.

— Nazywam się Georgie Summerfield. Kazano mi tu przyjść w sprawie organizacji transportu.

— Jesteście nowym rekrutem, tak?

— Właśnie.

Człowiek za biurkiem kiwnął głową, ale na jego twarzy wciąż malowała się wielka powaga. Zerknął na mężczyzn po bokach, którzy wymienili rozbawione spojrzenia, potrząsnęli głowami i wrócili do swoich spisów.

— No dobrze, synu — powiedział mężczyzna w środku. — Jesteś zupełnie nowy, zakładam więc, że nie masz pojęcia, jak wygląda życie tutaj. Po pierwsze, wyjmij z ust papierosa i zgaś go.

Georgie gapił się na mężczyznę, a Alfie na Georgiego. Coś się zmieniło na twarzy taty — raptownie uświadomił sobie, że życie jest inne, niż jeszcze parę dni temu. Wypełnił polecenie, rzucając papierosa na ziemię i rozgniatając go obcasem. Alfie zauważył, jak przy tym lekko drżą mu

ręce.

— Teraz bądź tak dobry, wyprostuj się i spójrz przed siebie. Nie jesteś zwierzęciem w dżungli. Przede wszystkim postawa.

Georgie wyprężył się, cofnął ramiona i skierował wzrok prosto przed siebie. Stojący obok Alfie poszedł w jego ślady. Głową nie sięgał ojcu nawet do pasa.

— Tak lepiej. Teraz spróbujmy jeszcze raz. Na pewno chciałeś powiedzieć: „Dzień dobry, sir”.

— Tak jest — przytaknął Georgie.

— To jak się nazywasz?

— Georgie Summerfield.

Sierżant uniósł brew i odłożył pióro, z irytacją świdrując wzrokiem tatę Alfiego.

— Georgie Summerfield, sir — szepnął Alfie.

— Georgie Summerfield, sir — powtórzył cicho i z rezygnacją Georgie.

Sierżant skinął głową i zaczął kartkować jakąś książkę, przesuając palcem po spisie nazwisk.

— Damley Road? — zapytał, unosząc głowę.

— Tak jest, sir.

— Masz szczęście, Summerfield. Zostało ci jeszcze kilka dni. Środa rano. Transport o ósmej z Liverpool Street. Koszary w Aldershot. Osiem tygodni szkolenia podstawowego. Weź to — podał mu bilet — i łatwo znajdziesz naszych ludzi na peronie czwartym. 14278 — to twój numer. Bądź tak miły i się nie spóźnij. My nazywamy to dezercją.

— Dobrze, sir.

Sierżant popatrzył na Alfiego.

— A co to za nicpoń?

— To mój syn, sir. Alfie.

— Dumny jesteś z ojca, co, Alfie? — zapytał sierżant, lecz Alfie się nie odezwał. — A w każdym razie będziesz — ciągnął, przestając zwracać na nich uwagę — kiedyś.

— Myślałem, że idziemy popatrzeć na pociągi — powiedział Alfie w drodze powrotnej.

— I patrzyliśmy.

— Nieprawda — zaoponował Alfie, wrywając rękę z uścisku ojca.

Alfie znalazł się na King's Cross pierwszy raz od tamtego dnia. Rozejrzał

się, przypominając sobie, gdzie siedział sierżant, ale teraz nie stały tam żadne biurka, choć kasa biletowa nie zmieniła miejsca. Halę przemierzało wielu żołnierzy. Niektórzy czekali w małych grupkach obok herbaciarni, z plecakami położonymi na ziemię. Inni wysiadali z pociągów i rozglądali się w poszukiwaniu ludzi, których by znali. Rytmiczny huk lokomotyw był tak samo okropny — *...nie żyje Tata nie żyje Tata nie żyje Tata nie żyje...* — i Alfie dziwił się, jak ludzie tu pracujący mogą go znieść.

Zauważył młodego tommy'ego[2] stojącego na środku peronu z plecakiem i głęboką, czerwoną blizną na policzku. Zdaniem Alfiego mógł mieć dwadzieścia lat, a na twarzy trudny do określenia wyraz; miało się wrażenie, że nawiedził go duch, a on nie wie, jak komuś o tym opowiedzieć, tak żeby nie zamknęli go w jakimś domu bez klamek. Chwilę później dwoje starszych ludzi, mężczyzna i kobieta — Alfie był pewien, że to jego rodzice — podbiegło w jego stronę i na ich widok plecak spadł mu na ziemię, a twarz okropnie się pomarszczyła. Wyglądał tak, jakby miał upaść, ale matka i ojciec zdążyli stanąć obok niego i go podtrzymać, a on rozplakał się, zaniósł ciężkim szlochem, podczas gdy oni otulili go sobą, chroniąc przed światem, głaskając po głowie i szepcząc coś do uszu. Ruszyli i chłopak szedł pomiędzy nimi, i tulili się do siebie, jak tylko najmocniej się dało, żeby przy tym nie upaść w płataninie ciał. Ojciec objął syna ramionami, matka mocno ujęła go w pasie. Alfie długo odprowadzał ich wzrokiem, wreszcie uznał, że nie powinien się tak gapić, i odwrócił głowę.

Z zadowoleniem dostrzegł, że na King's Cross nie ma innych pucybutów. Leonarda Hopkinsa dawno nie było i wydawało się, że nie przyszedł nikt na jego miejsce. Wybrał punkt przy filarze w równej odległości od kasy po lewej i peronów po prawej stronie oraz od herbaciarni w kącie. Usiadł na ziemi, otwierając pudełko pana Janácka i wyciągając szczotki, szmatki, gąbki i pasty, po czym zamknął wieko. Zdjął czapkę i położył ją wnętrzem do góry na ziemi koło siebie, po czym wrzucił do niej drobne z własnej kieszeni — trzy półpensówki — żeby wyglądało, że nie siedział tam bez zatrudnienia. Nareszcie podniósł głowę i zawołał co sił w płucach:

— Buty! Tutaj czyści się buty!

Gdy wrócił tego dnia do domu, zastał Margie drzemającą w stołowym; wyglądała na zmęczoną. Pobiegł do siebie na górę i schował pudełko w głębi szafy, po czym wrócił do kuchni i umył ręce szarym mydłem.

Skończył i powąchał dłonie, ale ciągle śmierdziały pastą, tak że powtórzył zabieg. Niewiele to zmieniło, ale chwilowo nie mógł na to nic poradzić, nie dało się ich lepiej domyć. Bolały go trochę plecy od schylania się cały dzień, ćmiło w mięśniach rąk. Mimo wojny zadziwiająco wielu ludziom wciąż zależało na wyglądzie butów.

Rozejrzał się i to, co zobaczył, zrobiło na nim przygnębiające wrażenie. Na wszystkich krzesłach wisiały poszewki pani Gawdley-Smith, na sznurku za domem jej prześcieradła i jakaś dziwnie wyglądająca bielizna. Margie nawet nie poczuje zapachu pasty. Dom przypominał pralnię.

Portmonetkę matki znalazł w torebce leżącej w kącie, wyjął ją, rozpiął i zajrzał do środka. Nie było tam za dużo pieniędzy. Wyciągnął dzisiejszy zarobek i wrzucił większość do portmonetki — tak, żeby ucieszyła się na widok tych pieniędzy, ale nie za dużo, żeby nie zaczęła się zastanawiać, skąd się wzięły — a resztę zaniósł do siebie do pokoju, gdzie umieścił je w pudełku, które wsunął na czarną godzinę w głąb szuflady ze skarpetkami. Na koniec padł na łóżko i zamknął oczy.

Był wczesny wieczór, świeciło jeszcze słońce, lecz Alfie spał u siebie, a Margie chrapała na zepsutym fotelu przed kominkiem.

Przed wojną nigdy tak nie było.

[2] Tommy — potoczne określenie brytyjskich żołnierzy walczących podczas I wojny światowej.

5

Kiedy się skończy ta zawszona wojna

Alfie zaczął pracę o ósmej rano, w porze, gdy na King's Cross był największy ruch. Ustawiał się tam, gdzie zwykle, mając widok na perony, kasę i herbaciarnię, przyciągał stołek dla klientów, rzucał na ziemię odwróconą czapkę i wypatrywał pierwszych butów do wyczyszczenia. Czekał, wyjmował z kieszeni *Przypadki Robinsona Kruzoe* i otwierał w miejscu, w którym skończył wieczorem. Brzegi były nieco wystrzępione, papier przetarty, lecz słowa pozostały nienaruszone.

— Dzień dobry, Alfie!

Uniósł głowę i spojrzał na stojącego przed nim pana Podgetta, dyrektora pobliskiego banku, który co tydzień dawał mu buty do czyszczenia.

— Dzień dobry, panie Podgett — odpowiedział.

— To, co zawsze — zamawiał mężczyzna, siadając i rozkładając gazetę. Stawiał jedną nogę na podnóżku i wzdychał z wielkim zadowoleniem. Alfie rzucił okiem na jego ciemnobrązowe buty, przykurzone na czubkach i wiele razy otarte od zeszłego tygodnia.

— Zimny dzień mamy, co? W sumie jest już prawie listopad. Nie ma się co spodziewać fali upałów.

Alfie wyjął ściereczki do kurzu i oczyścił lewy but pana Podgetta, po czym zanurzył szmatkę do polerowania w puszcze z pastą i rozprowadził po powierzchni buta równą warstwę. Następnie wziął szczotkę z końskiego włosia i energicznie przesuwiał nią po czystym obszarze. Dość lubił zapach pasty; przypominały mu się czasy, gdy biegał pod numer szósty bawić się z Kaleną. W jej domu zawsze pachniało właśnie tak.

— Dziś mamy lepsze wieści — oznajmił pan Podgett, lustrując nagłówki.

— Wygląda na to, że szala przechyliła się dla odmiany na naszą stronę. Może jednak ta przeklęta wojna niedługo się skończy. Mówiłem dzisiaj rano pani P.: „Wydaje mi się, że za kilka tygodni zobaczymy koniec”. Rzecz jasna ona utrzymuje, że cały czas tak mówię i nigdy się nie sprawdza, i być może ma rację, ale tym razem naprawdę w to wierzę.

Alfie nic nie mówił. Z doświadczenia wiedział, że pan Podgett wolał mówić tak, żeby mu nie przerywano. Lepiej się nie odzywać, dopóki nie padnie bezpośrednie pytanie wymagające odpowiedzi.

— Nasz syn Billy oczywiście ciągle tam jest — dodał po chwili. — Chyba opowiadałem ci już o Billym? Stacjonuje ze swoim batalionem gdzieś w Belgii. Nie wiadomo dokładnie gdzie. Wszystko jest ściśle tajne, cicho sza. Ma pod sobą ponad trzystu żołnierzy, o ile można mu wierzyć. Oczywiście był zawsze bardzo odpowiedzialny i sumienny, nawet w dzieciństwie. Nigdy nie mieliśmy z nim najmniejszego kłopotu. Ty jesteś taki sam, jak mi się zdaje, co, Alfie? Rodzina jest z ciebie dumna.

— Mama mówi, że ma ze mną urwanie głowy — powiedział Alfie.

— No, na pewno tylko niechący. Za to Billy był zawsze grzeczny, więc nic dziwnego, że pełni tak odpowiedzialną funkcję. Zgoda, była ta awantura, gdy pojechaliśmy do Kornwalii odwiedzić ciocię Harriet i on okropnie się pobił z chłopakiem Cattermole’ów, ale jak dla mnie to nic dziwnego, jak zawsze powtarzałem, i niepotrzebnie zrobiło się wokół tego tyle wrzawy. W sumie chłopakowi nic się nie stało, tak? Po paru dniach wyszedł przecież ze szpitala. A co do tej dziewczyny, która podobno była świadkiem wszystkiego, ludzie wiedzieli, że to podfruwajka. Mówili o niej różne rzeczy — nie powiem jakie, Alfie, ze względu na twoje młode uszy, ale umówmy się, nie ma dymu bez ognia, prawda, i nietrudno wyobrazić sobie, że po prostu bawiła się jednym kosztem drugiego. Byłeś kiedyś w Kornwalii, Alfie?

— Nie, proszę pana — odparł Alfie.

— Piękne strony. To gdzie jeździcie na wakacje? Lake District? Walia? Na północ?

Alfie starał się nie roześmiać. Czasem dorośli zadawali idiotyczne pytania. Nigdy w życiu nie był na wakacjach. W ogóle nie bardzo wiedział, co się tam robi. Czy to samo, co w każdym innym dniu, tylko gdzie indziej? Czy gdyby rodzina wyjechała na wakacje, on czyściłby buty na molo w Blackpool? Czy Babcia Summerfield chciałyby sobie poplotkować w Stonehenge? Czy Margie z trudem wiązałyby koniec z końcem na wyspie

Wight?

— Rzecz jasna w końcu chłopak Cattermole'ów wyszedł z tego obronną ręką — ciągnął pan Podgett, nie czekając na odpowiedź. — Harriet opowiadała, że nie mógł jechać na wojnę, bo noga nie zrosła mu się prawidłowo, ale wątpię, żeby to miało coś wspólnego z Billym. Być może nawet zrobił to specjalnie, żeby uniknąć poboru. Bo człowiek słyszy cały czas o takich rzeczach, prawda? Hańba. Miałbym więcej szacunku dla obdźektora, niż dla kogoś takiego. Tak, moim zdaniem Billy oddał chłopakowi przysługę, i co teraz z tego ma? W samym środku Europy prowadzi pięciuset ludzi przez ogień, przedkładając dobro ojczyzny nad własne bezpieczeństwo. Ostatnio pisał matce, że ma nadzieję, że wojna nigdy się nie skończy, tak bardzo mu się to podoba, ale nie sędzę, żeby mówił poważnie. Wszyscy chcą, żeby wojna się skończyła. Pani Podgett po przeczytaniu tego listu wybuchnęła płaczem; powiedziała, że to nasza wina, bo tak go wychowaliśmy, ale ja mówię na to: „Alice, co ty wygadujesz? Nasz syn ma pod sobą tysiąc ludzi i wielokrotnie udowadniał swoją wartość, prowadząc wszystkich tych zuchów do walki, pisząc do rodziców każdego, który zginął. Sam nie może już ruszyć w pole, tyle ma rzeczy do napisania”. Nie, to porządny chłopak, Alfie, jestem z niego dumny, ale tutaj jest napisane — tu ponownie stuknął w gazetę — że sytuacja się poprawia i być może należy spodziewać się końca. Byłoby dobrze, prawda? Domyślam się, że wolałbyś, żeby wojna się skończyła?

Alfie kiwnął głową. Uporał się już z lewym butem i zabrał do prawego. Usłyszał bezpośrednie pytanie. Wymagające odpowiedzi.

— Tak, proszę pana.

— Naturalnie, że byś wolał. Jak każdy. Wielkie nieba, chłopcze, ale ten but lśni. Powinieneś zarabiać w ten sposób na życie.

— Tak robię — mruknął cicho Alfie.

— Opowiadam o tobie wszystkim w pracy. Na pewno zjawiają się tutaj u ciebie. Powinieneś płacić mi za to prowizję, naprawdę. Albo co najmniej od czasu do czasu pucować buty za darmo. — Roześmiał się przy tych słowach, choć Alfiemu wydało się, że wcale nie żartuje. Spuścił głowę i czyścił dalej.

— Gotowe? — zapytał w końcu pan Podgett, gdy Alfie ostatni raz otarł buty z kurzu i wyprostował się, by z podziwem obejrzeć swoje dzieło.

— Tak, proszę pana — odparł Alfie.

— Bardzo dobrze. — Wstał i rzucił do czapki Alfiego pensa, z wahaniem

spoglądając na chłopca. — Oczywiście starałem się, jak tylko mogłem — odezwał się ciszej niż zwykle. — Może gdyby się dało cofnąć czas... ale się nie da, prawda? — Potrząsnął głową i mówił niemal szeptem: — Nawet gdyby się chciało. — Alfie wpatrywał się w niego, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, a pan Podgett tylko spojrział ze smutkiem i pokręcił głową. — Wiesz, trochę mi go przypominasz. W dzieciństwie miał taką otwartą twarz, całkiem jak ty. Taką miłą. No dobrze... — Westchnął i potrząsnął głową, unosząc wzrok na dworcowy zegar. — Na mnie już pora. Za tydzień o tej samej porze, Alfie? Będziesz?

— Tak, proszę pana — odparł Alfie.

— No, to dobrze. — Pan Podgett uniósł rękę w geście pożegnania i zaczął się oddalać. — Do zobaczenia, *auf Wiedersehen*, Alfie, jak mówią nasi Hunowie.

Co nie było zbyt mądre z jego strony, bo na te słowa odwróciły się w jego stronę trzy różne głowy, a jakiś mężczyzna podszedł do konstabla i szepnął mu coś do ucha; po chwili policjant wychodził już za panem Podgettem z dworca na ruchliwe ulice.

Do jedenastej Alfie wyczyścił trzy pary butów i wydał pół pensa na bułkę z kiełbasą z herbaciarni, czyli w sumie był dwa i pół pensa do przodu. Widział mężczyznę, którego nie wpuszczono do pociągu relacji Londyn—Cambridge z powodu pijaństwa, a jakaś mała dziewczynka, z rok młodsza od niego, pokazała mu język, gdy przechodziła, prowadzona za rękę przez starszą damę.

Mężczyzna o jasnorudych wąsach rozwiesił na dworcu szereg plakatów poborowych: na jednym pokazano obraz nocnego Londynu z katedrą św. Pawła i Big Benem na pierwszym planie. „O WIELE LEPIEJ WYSTAWIAĆ SIĘ NA KULE, NIŻ ZGINAĆ U SIEBIE OD BOMBY” — głosił napis. Na innym widać było uśmiechniętego tommy’ego, czystego i radosnego, z karabinem na plecach. „ZA MNA!” — było napisane. — „OJCZYŻNA CIĘ POTRZEBUJE!” Alfiemu wydawało się, że niewielu żołnierzy robi w rzeczywistości wrażenie tak szczęśliwych.

Tuż po południu jakiś młody mężczyzna minął jego stanowisko, musnął go wzrokiem, poszedł dalej, a potem się zatrzymał, zerkając na olbrzymi zegar na ścianie. Spojrzął na swój bilet, potem na Alfiego, wreszcie spuścił wzrok na buty. Miał jakieś dwadzieścia pięć lat, a w lewej ręce trzymał laskę. Gdy wracał, lekko kuśtykał, i Alfie starał się w nią nie wpatrywać.

Miał na sobie ciemny garnitur, wykrochmaloną białą koszulę i czarny krawat, w których wcale a wcale nie czuł się swobodnie.

— Zdaje się, że przydałoby się je wyczyścić — stwierdził młody człowiek głosem zdradzającym mieszaną kulturę i niepokoju. Chwilę potem roześmiał się, a Alfie nie wiedział dlaczego; jakby śmiał się z własnego dowcipu. Usiadł, postawił lewą nogę na podnóżku i Alfie zabrał się do dzieła.

— Dużo dzisiaj klientów? — zagaił.

— Nie bardzo. — Alfie podniósł głowę. — We wtorek jest zawsze trochę spokojniej. Nie wiem dlaczego. W poniedziałek jest najwięcej pracy, bo wszyscy chcą mieć czyste buty na początek tygodnia, ale ja w poniedziałki nie pracuję.

— A to czemu?

— W poniedziałek mamy w szkole historię. Nie chcę opuszczać.

Młody mężczyzna zaśmiał się.

— Bardzo rozsądnie. Ja nigdy nie byłem dobry z historii. Nigdy nie wchodził mi do głowy królowie i królowe, bitwy i wojny. Wszystkie te opowieści o hrabiach w Tower...

— Książętach — poprawił go Alfie.

— Kto ich tam wszystkich wsadzał, Ryszard Drugi?

— Trzeci.

— Nazwiska i numery, tak to odbierałem, same nazwiska i numery. Zazdroszczę, że to lubisz. Tak w ogóle, nazywam się Wilf.

— Alfie — przedstawił się Alfie, myśląc sobie, że nic nigdy się nie zmienia; po ponad czterystu latach znowu wszystko sprowadzało się do nazwisk i numerów.

— Miło mi, Alfie. Bądź tak dobry i przyłóż się do tych butów, nie mogę pokazać się w brudnych. Wyjąłem je rano z szafy i nie wierzyłem własnym oczom, w jakim są stanie, chociaż nie zakładałem ich od dawna.

Alfie uniósł wzrok, a ręka z gąbką przesuwiała się wzdłuż pasa w butach. Pomyślał sobie, że na King's Cross nauczył się odruchowo rozróżniać, kiedy ktoś chce pogadać, a kiedy posiedzieć w spokoju. Ludzie pokroju pana Podgetta lubili dźwięk własnego głosu. Inni, jak Wilf, zdawali się potrzebować chwili rozmowy. Z punktu widzenia Alfiego należało to do jego obowiązków.

— Jedzie pan w jakieś ładne miejsce, proszę pana?

— Do Cheltenham — odparł Wilf. — Ładne miejsce, nieprzyjemny

powód.

Alfie podniósł głowę i z miejsca zrozumiał, czemu tamten ubrał się czarno.

— Pogrzeb brata — wyjaśnił Wilf. — Młodszy, Alistaira. Ciało przywieźli w weekend.

— Przykro mi.

— Tak... — Słowo na moment uwięzło w gardle Wilfa. — Mnie też. Widzisz, miał tylko osiemnaście lat. Najmłodszy z nas wszystkich. I najzdolniejszy. Widziałem go zaledwie miesiąc temu. Wyjeżdżał z Aldershot do Calais. Złapałem go w Southampton i życzyłem szczęścia.

Alfie zaprzestał polerowania na dźwięk tej nazwy — *Aldershot*. Tam Georgiego posłano na szkolenie. Przebywał tam kilka miesięcy, uczył się walczyć i zabijać, a potem wysłano go do Francji, skąd pisał co tydzień listy przez prawie dwa lata, po czym listy przestały raptem przychodzić, a Margie powiedziała, że już nie może pisać, ponieważ wypełnia tajną misję na polecenie rządu.

Co, zdaniem Alfiego, było dorosłym sposobem na powiedzenie, że tata nie żyje, ale nie chcemy powiedzieć ci prawdy.

— Biedny Alistair zginął po kilku tygodniach — podjął Wilf. — Nie wiem, czy było to dla niego błogosławieństwem, czy tragedią. Nie musiał siedzieć przez lata w okopach, jak niektórzy inni nieszczęśnicy. Ma to już za sobą, prawda?

— Co mu się stało? — zapytał Alfie z podniesioną głową, wiedząc, że nie powinien zadawać takich pytań, ale nie zdążył w porę ugryźć się w język.

— Jakiś sierżant idiota posłał go w środku nocy z noszami na przedpole — opowiadał Wilf. — To pewna śmierć, no nie? Zbieranie trupów. Nikt nie wychodzi z tego żywy. Powinni wprowadzić godzinne zawieszenie broni, żeby obydwie strony pozbierały swoich poległych żołnierzy. Zaproponowałem to kiedyś w kwaterze głównej. Generałowie popatrzyli na mnie tak, jakbym co najmniej machał białą flagą na znak kapitulacji. A chodziło mi tylko o odrobinę cywilizowanego ładu w barbarzyńskim świecie. W każdym razie Alistair na pewno nic nie poczuł, a to też chyba nie najgorzej. Ależ zeszło im z przywiezieniem ciała! Pogrzeb jest dzisiaj. Ministerstwo Wojny dało mi dzień wolnego, tak że pojedę tylko do Cheltenham i z powrotem, bez chwili czasu z rodziną. Jutro z samego rana muszę siedzieć za biurkiem, bo inaczej zmyją mi głowę.

Alfie zerknął na laskę Wilfa, opartą o krzesło obok. Błądził po niej

wzrokiem, aż zorientował się, że Wilf go obserwuje.

— Ciekawi cię to, prawda? Dzięki niej od dwóch lat mam spokój z wojną. Kula snajpera przebiła mi udo koło Mons. Leżałem parę tygodni w polowym szpitalu, gdzie próbowali uratować nogę. Ale oczywiście nic z tego nie wyszło. Zaoszczędziliby mnóstwo czasu i energii, gdyby z miejsca obcięli to dziadostwo, zamiast czekać bite dwa miesiące.

Alfie przestał czyścić i jego ręce zawisły nad lewym butem Wilfa.

— A, tak, jest sztuczna, niestety. Nie bój się, chłopcze. Nie ma czego.

Alfie pokręcił głową i wrócił do pracy.

— Nie boję się — powiedział cicho.

— Dziwne to czasy, kiedy musi się czyścić buty na sztucznych nogach, prawda? — stwierdził Wilf, półgębkiem się uśmiechając. — Cóż, trzeba zachowywać pozory. Przynajmniej tak mi każą. To dziwne: cholernie się cieszę, że mnie tam nie ma, a jednocześnie czuję się tak, jakbym się migał od obowiązku, tkwiąc tutaj. Bo widzisz, wylądowałem za biurkiem w Ministerstwie Wojny. Zdjęli mi mundur i kazali założyć garnitur. Nie mają pojęcia, jak czuje się mężczyzna w moim wieku bez munduru. Jak ludzie na mnie patrzą. Pewna kobieta podeszła do mnie na środku Piccadilly Circus, być może nie zauważyła laski, wzięła torebkę i na oczach wszystkich... — Potrząsnął głową, krzywiąc się z gniewu i bólu. — Dlaczego to robią? — mruknął. — Przecież nic a nic nie rozumieją.

Alfie czuł się nieswojo wobec takiego nagromadzenia cierpienia i złości. Zauważył rozszczepienie w brązowej źrenicy prawego oka mężczyzny: taki znak szczególny.

— Masz tam starszych braci? — zapytał Wilf po chwili, na co Alfie pokręcił głową. — A może tatę? Przepraszam, nie powinienem pytać. To nie jest moja sprawa.

— Jak wyglądają? — spytał Alfie, ruchem głowy wskazując buty młodzieńca; nareszcie skończył. Cieszył się z tego.

— Nieskazitelnie. Sam bym tego lepiej nie zrobił. — Wyjął z kieszeni pensa i wrzucił go w środek czapki Alfiego. Z brzękiem odbił się od monet już się tam znajdujących. — Dziękuję. — Wstał i sięgnął po laskę. Otworzył usta, jak gdyby chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz potem chyba się rozmyślił i po prostu bez słowa odszedł w kierunku peronu szóstego, rozpluwając się w tłumie, a Alfie jeszcze przez chwilę go obserwował, po czym inaczej rozłożył swoje przybory do czyszczenia i czekał na następnego klienta.

Alfie nie jadł za dużo na obiad. To ciągle schyłanie jakby po trosze odbierało mu apetyt. Odór pasty i drażniąca gardło para lokomotyw także nie pomagały. Ale wiedział, że nie da rady pracować równie ciężko po południu, jeśli czegoś nie przełknie, więc wepchnął w siebie nieduży pasztecik z mięsem wołowym i nerkami ze stoiska z jedzeniem. Ciasto było ciężkie i suche, a w środku znalazł więcej sosu niż mięsa — naliczył zaledwie jeden gryz wołowiny i dwa żylaste kawałki nerek — ale póki co to go nasyciło.

Po południu miał niewielu klientów, zrobiło się chłodniej. Silny wiatr wpadał wejściem z Euston Road i obijał się po peronie, zmuszając podróżnych do szczelniejszego otulania się paltami. Między drugą a czwartą nigdy nie było wiele pracy, dzięki czemu Alfie mógł spędzać więcej czasu na bezludnej wyspie z Robinsonem Kruzoe, ale wiedział, że niebawem zwałą się wieczorne tłumy, a wtedy może trafi się jakiś klient.

Nieco po wpół do czwartej szczyły mężczyzna w średnim wieku w brązowym mundurze, który wyglądał, jak gdyby uprasowano go przed dziesięcioma minutami, usiadł bez słowa i postawił prawą stopę na podnóżku. Alfie nic nie powiedział i po prostu zabrał się do roboty, podczas gdy człowiek wyjął z dyplomaty segregator z dokumentami i całą uwagę poświęcił studiowaniu grubej teczki, co jakiś czas kręcąc głową i mnąc w zębach brzydkie słowa. Gdy wypowiedział jedno *bardzo* brzydkie, Alfie zachichotał i upuścił słoik z pastą. Mężczyzna natychmiast odłożył segregator i wbił wzrok w chłopaka.

— Co się stało? — odezwał się po chwili.

— Przepraszam pana.

Mężczyzna pokręcił głową.

— Nie, to *ja* przepraszam. Czy znowu gadałem do siebie?

Alfie przytaknął, na co człowiek roześmiał się.

— To taki mój nawyk. Żona bez przerwy upomina mnie z tego powodu.
— Odłożył na chwilę teczkę i patrzył, jak Alfie bierze szmatkę i przeciera nią piętę lewego buta. — Jesteś w tym bardzo dobry — stwierdził w końcu.
— Nie pierwszy raz, co?

— Już ponad rok, proszę pana.

— Wielkie nieba! Ile ty masz lat, chłopcze?

— Dziewięć, proszę pana.

— Dziewięć lat i już zarabiasz na życie. Jakbyśmy powrócili w czasy

Dickensa. Czytałeś Dickensa?

— Nie, proszę pana.

— A w ogóle coś czytałeś?

— Tak, proszę pana.

— Co?

— *Przypadki Robinsona Kruzoa*.

— Tego nie czytałem od dzieciństwa. Przeczytaj *Oliwera Twista*. Albo *Nicholasa Nickleby*. Obiecuję, że ci się spodoba. Czytam tego nowego, Lawrence'a, ale dla ciebie to jeszcze trochę za wcześnie. Przy okazji, czy nie powinienesz być w szkole?

Alfie uniósł głowę, ale nic nie powiedział, na co mężczyzna po prostu wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

— W sumie to nie moja sprawa. Wystarczy mi tego, co mam na głowie. Nie muszę się martwić o los każdego wyrzutka i sieroty, na których się natknę.

Pasta zbrylała się na włosach szczotki Alfiego i teraz nią potrząsnął i wytarł o podłogę, zostawiając brudny ślad na płytkach obok. Mężczyzna już nic nie powiedział i wrócił do swoich teczek, szybko je kartkując, robiąc na niektórych notatki wyglądającym na drogie piórem, inne przekreślając grubą kreską. Wiatr z ulicy przybrał na sile i gdy mężczyzna przekreślał kartkę, teczka wypadła mu z ręki i wypuścił wszystkie dokumenty, a wiatr rozrzucił strony po całej hali dworca.

— Oj! — zawołał, zrywając się i mało nie kopiąc Alfiego prawą nogą, którą zabrał z podnóżka. — Moje papiery! Nie mogę ich zgubić. Pomóż mi, bądź tak dobry. Złap, ile się tylko da, zanim odfruną.

Alfie gonił po dworcu, zbierając po drodze wielkie narecza; były wszędzie — przy herbaciarni, blisko kasy, przed stoiskiem tytoniowym, koło kiosku z gazetami. Chwytał i chwytał, i zanim się obejrzał, miał w rękach ze czterdzieści stron, a rozglądając się za kolejnymi, rzucił okiem na stronę, którą trzymał na wierzchu.

Dokument wyglądał na urzędowy, wymyślna czcionka i kosztowny papier z napisem SZPITAL WSCHODNIEGO SUFFOLK & IPSWICH na górze i jakimiś łacińskimi słowami pod spodem, mimo że łaciny nikt już nie znał. Poniżej wypisano drukiem:

Powracający — krótki przegląd

a jeszcze niżej, mniejszą czcionką, zdanie:

Patrz: pełne oceny pacjentów w teczce 3(b).

Dwie kolumny, z lewej i prawej, zawierały spisy nazwisk i numerów, po których następował jeszcze jeden numer, który mógł mieć jakiś związek z teczką 3(b). Nie miał zamiaru odczytywać nazwisk z lewej kolumny — niezbyt go interesowały — tyle że patrzył na stronę zapełnioną słowami, a odkąd sięgał pamięcią, na widok strony ze słowami zawsze miał chęć ją przeczytać. Oczy skierowały się na spis i szybko skupiły na jednej pozycji.

Mrugnął, nie wiedząc, czy może wierzyć własnym oczom, i mało nie wypuszczając papierów, które zebrał. I właśnie w tej chwili mężczyzna, któremu czyścił buty, przystąpił do niego i wyrwał mu z ręki wszystkie dokumenty.

— To chyba wszystkie — stwierdził, omiatając wzrokiem dworzec i pakując kartki do teczki. — Dzięki za pomoc, chłopcze. Ile ci jestem winien?

Alfie nie mówił nic, tylko patrzył na niego z rozdziawionymi ustami. Nie przychodziły mu do głowy żadne słowa. W mózgu kłębiło mu się za dużo myśli.

— Co się z tobą dzieje? Zabrakło ci języka w gębie?

Jednak Alfie ciągle się nie odzywał. Mężczyzna uniósł brew i pokręcił głową, jak gdyby chciał pokazać, że nie ma czasu na te bzdury, po czym zaproponował:

— To co, może być pens? — Wrzucił monetę do czapki Alfiego, wziął aktówkę i odwrócił się, jednak jeszcze raz się zatrzymał i spojrzął na małego.

— Naprawdę nic ci nie jest, chłopcze? — zapytał, a w jego głosie brzmiało nieco więcej współczucia. — Bo wiesz, ja jestem lekarzem, a ty wyglądasz tak, jakby coś ci się stało. Jeżeli coś jest nie w porządku, możesz mi powiedzieć. Być może będę mógł coś poradzić.

Alfie pokręcił głową.

— Wszystko w porządku — wydobył z siebie skrzek, taki jak wtedy, gdy Margie budziła go za wcześnie rano.

— No, to dobrze. — Lekarz wzruszył ramionami i odwrócił się. — Dzięki za buty.

Alfie wracał powoli do swoich przyborów i usiadł na miejscu dla

klientów. Zebrał wszystkie szmatki, szczotki i pasty i je spakował, zdjął ze skrzynki podnózek i umieścił go pod wiekiem, wreszcie zamknął wszystko na złoty zatrzask. Potem wstał, wyszedł ze stacji i ruszył w stronę domu.

Po drodze cały czas myślał o jednej linijce, która przykuła jego uwagę w dokumencie Szpitala Wschodniego Suffolk i Ipswich.

Prostymi słowami wypisano w połowie strony:

Summerfield, Georgie.

ur. 3 V 1887 r.

Nr służbowy: 14278.

6

Dla mnie i mojej dziewczyny

W drodze powrotnej Alfie wspominał dzień wyjazdu ojca, który nie chciał nikomu pozwolić odprowadzić się na Liverpool Street.

— Wiem, jak tam będzie — mówił, potrząsając głową. — Wszystkie te żony i matki wyplakujące się w chusteczki i robiące z siebie widowisko. Po prostu pożegnajmy się tutaj i będziemy mieli to za sobą. Przecież nie zabawię tam długo. Do świąt będzie po wszystkim.

Wyjeżdżał na szkolenie podstawowe do koszar w Aldershot i Alfie widział, że jest zarazem podniecony i zdenerwowany. Kiedy zgłosił się sam, Margie nie odzywała się do niego przez dwa dni i pogodziła się z tym dopiero wtedy, gdy zorientowała się, że jest zdecydowany i nic się nie da poradzić. Nawet Babcia Summerfield przestała wieszczyć, że już po nich, zupełnie po nich, i rozpowiadała wszystkim na Damley Road, jak dumna jest z syna, który zgłosił się jako jeden z pierwszych na wezwanie ojczyzny i króla i dzięki odwadze na pewno będzie bezpieczny.

Gdy wychodził spod numeru dwunastego, Margie zarzuciła mu rękę na szyję i wyszeptała do ucha coś, na czego dźwięk tylko przygryzł wargi i jeszcze mocniej ją przytulił. Sąsiedzi wyszli go odprowadzić, a Joe Patience wetknął mu do ręki paczkę tytoniu Golden Virginia i życzył szczęścia.

— Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobił — poradził, na co tata Alfiego roześmiał się i pokręcił głową.

— Niedługo i na ciebie przyjdzie pewnie kolej — stwierdziła Babcia Summerfield, spoglądając to na syna w mundurze, to na Joego w spodniach i roboczej koszuli. — Zawsze trzymaliście się razem. Dziwię

się, że nie zgłosiliście się razem. — W jej głosie zabrzmiała wrogość, a Joe nie mógł jej spojrzeć w oczy.

— Podczas wojny można pomagać na wiele sposobów — powiedział. — Nie wiem, czy zabijanie ludzi jest najskuteczniejsze.

— Może nie będziesz miał wyborów — odparła. — Na razie idą sami ochotnicy, ale jeśli sytuacja nie ułoży się po naszej myśli, to...

— Zawsze jest jakiś wybór, pani Summerfield — upierał się Joe, już odrobinę bardziej stanowczy. — Ja lubię sam wyrabiać sobie zdanie, przecież pani wie.

Babcia Summerfield zaczerwieniła się ze złości, ale Georgie powiedział, że to nie jest dobry moment na kłótnie o politykę, że jemu zależy tylko na uściśnięciu ręki przyjacielom i wycałowaniu rodziny, więc mimo oporów milczała. Ale widać było, że ma jeszcze mnóstwo do powiedzenia.

Na samym końcu Georgie pożegnał się z Alfem, który stał na ulicy plecami do okna pokoju stołowego.

— Zostajesz teraz panem domu — stwierdził, patrząc mu prosto w oczy, i Alfie poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła na myśl o takiej odpowiedzialności. — Będziesz dbał o matkę przez czas, gdy mnie nie będzie, co? I o babcię?

— Tak — odpowiedział Alfie. — Ale wrócisz do domu, prawda?

— Nawet nie zdążysz zauważyć, że mnie nie było.

I po tych słowach ruszył ulicą z torbą podróżną na plecach, jak gdyby szedł po prostu na dniówkę w mleczarni; po chwili zatrzymał się i odwrócił, unosząc na pożegnanie rękę, i zniknął za rogiem. Ale od tamtej chwili minęło prawie cztery lata, przez które Alfie nie oglądał ojca.

Przychodziły rzecz jasna listy. W pierwszym, z Aldershot, opowiadał rodzinie, że pociągiem jechało się fajnie i wszyscy cieszyli się na to, co ich czeka. Większość świeżo upieczonych rekrutów była z Londynu, ale trafiło się też paru z Norwich i Ipswich, a nawet chłopak z Plymouth, który zaledwie pół roku wcześniej przeniósł się do Clapham i zaczął pracować w autobusach. Dowodził niejaki sierżant Clayton, który ustawił ich w szeregu na dziedzińcu i kazał mówić, jak się nazywają. „Strasznie się szarogęsił — pisał — i krzyczał na każdego, kto nie odpowiadał: *Tak jest, panie sierżancie. Nie, panie sierżancie. Trzy plecaki, panie sierżancie.* Miał do pomocy dwóch kaprali, Wellsa i Moody’ego, którzy stali po jego bokach i bardzo mało mówili”.

W koszarach stoją dwa rzędy po dziesięć łóżek [opowiadał Georgie]. Ja leżę przy drzwiach i mam po jednej stronie Mitchella — kibica Arsenalu, ale nie będę mu tego wymawiał — a z drugiej Joneseya. Ale się zdziwisz, Alfie, bo Jonesey ma tę książkę, którą dostałeś na urodziny od pana Janácka, Przypadki Robinsona Kruzoa! Mało nie wybuchnąłem śmiechem, jak ją zobaczyłem, serio.

Margie starannie przechowywała listy od Georgiego i nie lubiła, jak Alfie brał je do ręki, bo się brudziły. Gdy Babcia Summerfield przystawiała sobie jeden do oczu, żeby lepiej widzieć, patrzył na nerwową minę matki, która wolałaby czytać je Babci na głos, tak jak proponowała od początku.

— Opisuje to jak taką wielką zabawę — stwierdziła Babcia Summerfield po skończeniu jednego z pierwszych listów, który Margie szybko zabrała i włożyła pomiędzy kartki swojego Pisma Świętego. — Zdawało mi się, że wychowałam go na bardziej rozumnego chłopaka.

— Gdyby miał rozum, to przecież nie poszedłby na ochotnika — rzuciła Margie.

Oczywiście potem wszystko się zmieniło. Teraz, gdy Alfie miał dziewięć lat, już nikt nie zgłaszał się na ochotnika. Nastął pobór przymusowy. Kiedy kończyło się osiemnaście lat, było po sprawie. Szło się na wojnę. Alfie dużo myślał o tym, że jak nie dojdą z tym wszystkim do ładu w ciągu najbliższych dziewięciu lat, on też pójdzie na wojnę, co go przerażało. Posiadanie rodziny nie miało już znaczenia, tak że nie było sensu prowadzić kochanej do ołtarza, żeby wykręcić się od służby. W takiej sytuacji jechałoby się w podróż poślubną do Francji samemu.

Chyba że było się Joem Patience, który właśnie po dwóch latach nieobecności wrócił pod numer szesnasty, chociaż nie walczył we Francji ani w Belgii. Zamknęli go w więzieniu Wormwood Scrubs, bo nie chciał zostać żołnierzem. Wypuścili go tylko dlatego, że nieustannie go tam bili; ostatnim razem mało go nie zabili, co groziłoby aferą. Joe wrócił i mieszkał dwa domy dalej, ale prawie w ogóle się nie pokazywał i nigdy, przenigdy nie wychodził na ulicę grać na klarncie tak, jak przed rozpoczęciem wojny. Babcia Summerfield nazywała go nicponiem i tchórzem, pani Milchin mówiła, że powinien wisieć na najbliższej latarni. Nawet Helena Morris, która kiedyś się w nim durzyła, stwierdziła, że ktoś taki nie powinien mieszkać blisko porządnych, szanujących się ludzi.

Tylko Margie i Stary Bill Hemperton jeszcze się z nim zadawali. Margie powtarzała, że jest najstarszym przyjacielem Georgiego i że niezależnie od

tego, po czyjej stronie jest racja, on wystarczająco dużo odcierpiał za swoje poglądy. Stary Bill mówił po prostu, że on też lubi chadzać własnymi ścieżkami i dopóki żyje, nikt nie będzie mu mówił, z kim może i z kim nie wolno mu rozmawiać. Żadne z tych stanowisk nie zadowalało Babci Summerfield, która wpadała w furję, gdy tylko słyszała nazwisko Joego.

Trzy miesiące po zniknięciu za rogiem Damley Road Georgiego nie było już w Anglii. Razem z innymi rekrutami pojechał pociągiem do Southampton i stamtąd okrętem do Calais, a potem listy zaczęły przychodzić coraz rzadziej i zdarzały się w nich wielkie czarne przekreślenia, przez które Alfie z mamą nie mogli odczytać każdego słowa.

— To szefowie — tłumaczyła Margie. — Czytają wszystkie listy, a jak znajdą coś, czego według nich nie powinniśmy wiedzieć, wymazują to. Nie chcą, żebyśmy znali prawdę. Boją się tego.

Z czasem zmieniał się ton listów Georgiego. Ze szkolenia w Aldershot opowiadał o kawałach, jakie płatali sobie w koszarach, i burach, jakie wiecznie obrywali od sierżanta Claytona. Wyglądało to tak, jakby pojechał na letnią kolonię. Ale we Francji wszystko się zmieniło. Przestał mówić o służących z nim żołnierzach i pisał tylko o sobie: o tym, jak się czuł.

Tu jest okropnie. Całymi dniami kopujemy w błocie okopy głębokie na siedem stóp i zanim się rozpadną, musimy zrobić drewniane umocnienia ich boków. Mówią, że Niemcy mają w swoich ściany ze stali. Gdy pada, ściany naszych okopów robią się wklęsłe i wybieramy wodę wszystkim, co mamy pod ręką. Czasem używam hełmu, chociaż nie można, bo tak najłatwiej dostać kulę w głowę. Wszędzie są szczury. Ale nie to jest najgorsze. Szczury bym jakoś zniósł. Nie wiem, co to są za stworzenia. Nie wiem, po co tu przyjechałem. Boże, co za omyłka!

Margie nie pokazała Alfiemu tego listu. Ale on wiedział, że list przyszedł, bo widział go na wycieracze z pieczęcią Ministerstwa Wojny z dała widoczną na kopercie.

— Jest tylko do mnie — oznajmiła Margie po przeczytaniu go w zepsutym fotelu przed kominkiem. — Dotyczy tylko mnie i twojego ojca. Ale pisze, że cię kocha i cały czas o tobie myśli.

— Przeczytaj go — poprosił Alfie.

— Nie.

— Przeczytaj!

— Mówię, że nie! — zawołała Margie, zrywając się tak szybko, że zaskoczony Alfie odskoczył. Wtedy spojrzała na niego z taką miną, jak gdyby miała wybuchnąć zaraz płaczem, i wybiegła z pokoju.

Tego listu nie wsadziła między stronicę Biblii, tylko schowała go pod swoim materacem, ale Alfie znał wszystkie skrytki Margie i czekał tylko, aż matka pójdzie do pracy. Przeczytał list pięciokrotnie i za każdym razem robiło mu się coraz bardziej smutno.

Później Margie nie dała mu do przeczytania żadnego z listów, ale kładła je w to samo miejsce, przez co zawsze wiedział, gdzie ich szukać i gdzie je odkładać, gdy wołała go z dołu.

Boże, Margie, co ja tu robię? To okropne. I robię straszne rzeczy, czasami nie mogę ze sobą wytrzymać. Myślę o Tobie i...

— Alfie, wróciłam! Jesteś na górze? Zejdź i opowiedz mi, co się dzisiaj zdarzyło!

Podobno przybliżamy się do linii belgijskich, ale trudno uwierzyć, że w ogóle się gdzieś posuwamy. Kopiemy nowe okopy i pozwalamy, żeby stare się zawaliły. Potem czekamy, aż się ściemni, i kapral Moody wybiera, kto dzisiaj wyjdzie na przedpole. Dziesięciu naraz. Dziesięciu następnych stoi na drabinie i jeszcze dziesięciu na dole w okopie. Nie ma co narzekać. Czasami myślę sobie, że byłoby łatwiej, gdyby...

— Alfie! Otwórz drzwi, dobrze? Jeśli to mleczarz, powiedz, że zapłacę w przyszłym tygodniu!

Wczoraj w nocy posłali mnie z noszami, kochanie. Za to, że pyskowałem sierżantowi. Jak dla mnie to coś poprzestawiało mu się w głowie. Przyniosłem sześć ciał — wyglądały na zgniłe. Ale przyniosłem je i uszedłem z życiem. Tylko jeden na pięciu noszowych przeżywa całą noc. Zazwyczaj wysyłają obdźektorów, a nie nas. Przyniosłem jednego chłopaka, Margie, i ułożyłem razem z innymi zwłokami. Leżały jak worki śmieci. Dopiero jak odchodziłem, zauważyłem, że otwiera jedno oko. Mało nie krzyknąłem...

— Alfie! Obiad na stole. Gdzie jesteś, na górze? Bo ci ostygnie!

Wychodzą teraz wszyscy naraz, Margie. Mamy tu pomieszane osiem różnych batalionów. Kilka dni temu coś się stało, jakaś afera w niemieckich okopach. Nasi zdobyli je i czterech żołnierzy miało tam zostać i pilnować. Gdy wróciliśmy, okazało się, że jakiś młody Niemiec jeszcze żył i go zastrzelili. I jest wielka afera, czy tak powinno być, czy nie. Jeden z chłopaków mówi, że to hańba, i żąda, żeby sierżant zrobił coś w tej sprawie. Inni mówią, że to bez znaczenia, że coś takiego dzieje się cały czas, więc o co robić tyle hałasu? Nie wiem. Wydaje mi się, że jeśli był sam i bez broni, powinni go wziąć do niewoli. Przecież są jakieś zasady i...

— Alfie!

Georgie przestał pisać jakiś rok temu. Albo Margie znalazła inną kryjówkę, choć Alfie szukał wszędzie. Ostatni list schowany pod materacem był najdziwniejszy ze wszystkich. Alfie czytał go tyle razy, że mógłby wyrecytować z pamięci, a mimo to słowa i zdania nie miały żadnego sensu.

...wydostanę się stąd, czy nie? One są wszędzie. Ogryzają mi stopy. Otarłem sobie nogi. Bonzo Daly nie przykrył baniek brezentem i ptaki się do nich dobrały. Przestań już, przestań. Słyszałaś to, prawda, Margie, gdybyś była jedyną dziewczyną na świecie, a ja jedynym chłopcem. Ile on teraz ma, osiem lat? Na pewno bardzo wyrósł. Nie poznałbym go. Zastrzeliliśmy go, prawda, bo bez przerwy na wszystko narzekał. Nie chciałem przyłożyć do tego ręki, ale sierżant powiedział, że nie mam wyboru, bo inaczej mnie też postawi przed sąd polowy. Ten wyraz twarzy Sadlera już potem! Śmiać mi się chciało. Nic innego na całym świecie nie miałoby dzisiaj znaczenia. Zostań, a potem walcz! Bez sensu. Moglibyśmy kochać tak, jak zawsze. Nie mogę spać, prawda? To twoja wina, wszystko to twoja wina. Głowa nie przestaje boleć. Co śpiewał tamtej nocy Wells? Gdybyś był jedynym Szkopem na froncie, a ja miałbym jedyną bombę... Pomóż mi, Margie. Pomóż. Mówili, że skończy się przed świętami. Tylko nie powiedzieli, przed którymi. Gdzie nie spojrzę, widzę tylko...

Potem listy przestały przychodzić i wszystko ucichło.

Margie upiekła ciasto na dziewiąte urodziny Alfiego. Nie wiedział, skąd wzięła mąkę i śmietanę, ale jakoś jej się udało. Słyszał, że pani Bessworth ze sklepu na rogu Damley Park miała znajomości na czarnym rynku. Babcia Summerfield i Stary Bill Hemperton przyszli na podwieczorek, tak samo jak

cztery lata wcześniej, kiedy wybuchła wojna. Nie było oczywiście Kaleny i pana Janácka. Nikt nie był w szczególnie odświętnym nastroju. Alfie przeczytał na kartce: „Sto lat, Alfie! Kochający mama i tata”. Joe Patience włożył przez otwór na listy ćwierć funta jabłkowych dropsów i nikt nie miał pojęcia, skąd je wytrzasnął. Babcia Summerfield chciała, żeby Alfie je wyrzucił, ale Margie uparła się, że powinien je zatrzymać.

— Co robisz? — zapytał matkę wieczorem, kiedy wszyscy już sobie poszli. Margie siedziała przy gazowym świetle z koszem ubrań, trzymając przy twarzy koszulę, podczas gdy igła z nitką wchodziła w materiał i wychodziła z powrotem.

— A jak ci się zdaje? Szyję.

— Co to za ubrania?

— Na pewno nie nasze. Widziałeś, jakiej są jakości? — Podniosła koszulę, żeby Alfie mógł pomacać, ale tylko potrząsnął głową.

— Co to za ubrania? — powtórzył.

— Nie znasz jej — odpowiedziała. — Nazywa się pani Emberg. Znajoma pani Gawdley-Smith. Bardzo zamożna. Obiecała szylinga za każdy koszyk. Przyda się każdy pens, Alfie.

— Więc pracujesz na dzień i na noc jako pielęgniarzka, przyjmujesz pranie, a teraz w dodatku szyjesz dla jakiejś bogatej damy.

— Och, Alfie.

— Mamo, gdzie jest tata?

Margie upuściła igłę, która zabrzęczała, uderzając w kamienny kominek. Nie miała dziś nocy w szpitalu; zamieniła się z koleżanką ze względu na urodziny Alfiego.

— Przecież wiesz — powiedziała. — Czemu ciągle zadajesz te bezsensowne pytania?

— Tym razem powiedz mi prawdę.

Margie przez chwilę nic nie mówiła, wzięła igłę i uniosła niedokończoną koszulę.

— Do końca miesiąca muszę zrobić sześć takich koszul — oznajmiła, kręcąc głową. — Nieźle mi idzie, co? Zawsze chciałam znaleźć coś, w czym jestem dobra. Może właśnie znalazłam. Ścigam się z Babcią Summerfield. Wiedziałeś, że w zeszłym miesiącu zrobiła na drutach trzydzieści par skarpet?! Wypada jedna para na dzień. Z jej wzrokiem! Czasami zastanawiam się, czy ona przypadkiem nie udaje.

— Mamo! — zawołał Alfie, szarpiąc ją za rękaw. — Gdzie jest tata?

— Jak to gdzie? Na wojnie — burknęła, przybierając chłodniejszy ton. — Pojechał na tę błogosławioną wojnę.

— Przestał pisać.

— Chwilowo nie może.

— Czemu?

— Bo walczy.

— A skąd wiadomo?

— Skąd wiadomo co?

— Skąd wiadomo, że nic mu nie jest?

— Oczywiście, że nic mu nie jest, Alfie. Co miałoby mu się stać?

— Może nie żyje.

I wtedy stało się coś okropnego. Margie rzuciła szycie, zerwała się na równe nogi i dała Alfiemu po twarzy, mocno. Zamrugnął zaskoczony. Georgie i Margie nigdy w życiu nie podnieśli na niego ręki, nawet wtedy, kiedy był bardzo mały i rozrabiał. Dotknął policzka i poczuł pieczenie, lecz nie wydobył z siebie żadnego dźwięku. Nic podobnego nie zdarzyło się od czasu, kiedy ten potwór, pan Grace, kazał mu sześć razy nastawić dłoń na uderzenie Ekskalibura i bił go z uśmiechem, a purpurowe żyły na jego wielkim, pijackim nosie pulsowały rozkoszą.

Chwilę później Margie wybuchnęła płaczem. Objęła go i przyciągnęła do siebie, i czuł na ramieniu wilgoć jej twarzy.

— Och, Alfie! Przepraszam cię, kochanie. Nie chciałam. Zdenerwowałam się, to wszystko. Nie chciałam, naprawdę nie chciałam.

— Gdzie tata? — powtórzył pytanie, a Margie odsunęła się, trzymając go za ramiona i patrząc prosto w oczy. W blasku ognia widać było smugi łez na jej policzkach.

— Co? — zapytała.

— Chcę wiedzieć, gdzie jest tata. I dlaczego od prawie roku nie napisał żadnego listu.

— Oczywiście, że pisał, Alfie — powiedziała nerwowo Margie.

— To gdzie są listy? Przedtem trzymałaś je pod materacem, ale nowe nie przychodzą, odkąd...

— Co, zagładasz mi pod materac?! — zawołała Margie. — Grzebiesz mi w rzeczach?! Naprawdę, Alfie, powinnam...

— Jeżeli pisał, to gdzie są listy?

Margie wzruszyła ramionami; wyglądało to tak, jakby zastanawiała się nad dobrą odpowiedzią.

— Nie wiem — przyznała w końcu. — Na pewno zgubiłam. Albo wyrzuciłam.

— Nie wierzę ci! — krzyknął Alfie. — Nie zrobiłabyś czegoś takiego! Wiem o tym. Powiedz mi prawdę! Opowiadasz o jakiejś tajnej misji, ale nie tłumaczysz, na czym polega.

Margie wytarła twarz i usiadła wygodniej.

— Dobrze — odezwała się w końcu. — Już nie walczy, masz rację. Ale nie ma czasu na listy. Odwiedził mnie człowiek z Ministerstwa Wojny. Powiedział, że twój tata jest jednym z najdzielniejszych żołnierzy, jakich widzieli, i dlatego dostał nowe rozkazy. Ze wszystkich sił stara się doprowadzić wojnę do końca.

— Co to za misja?

— Nie chciał mi powiedzieć — mówiła Margie — ale jestem pewna, że bardzo ważna. W każdym razie rzecz w tym, że dopóki się nie skończy, tacie nie wolno pisać do nas listów.

Alfie namyślał się.

— Kiedy cię odwiedził?

— Kto?

— Człowiek z Ministerstwa Wojny.

Margie wydeła policzki i odwróciła wzrok.

— No, nie pamiętam. Wiele miesięcy temu.

— A jak się nazywał?

— Nie pamiętam. Jakie to ma w ogóle znaczenie?

— Dlaczego nie powiedziałaś mi, że był?

— Bo nie chciałam cię martwić. Wiem, jaki jesteś bystry, Alfie, ale masz tylko dziewięć lat. A wtedy miałeś tylko osiem. Są sprawy, których...

— A Babci Summerfield powiedziałaś?

— Nie, oczywiście, że nie.

— Przecież jest dorosła.

Margie robiła wrażenie wytrąconej z równowagi, wstała, potrząsając głową.

— Alfie, mam już dość tej rozmowy. Pytałeś, gdzie jest tata, a ja ci powiedziałam. Na tajnej misji. Proszę, żebyśmy na tym poprzestali.

Alfie z chęcią na tym poprzestał. Nie było sensu więcej pytać, bo miał już całkowitą pewność, że i tak nie powie mu prawdy. Ich domu nigdy nie odwiedził żaden człowiek z Ministerstwa Wojny; możliwe, że trwa wiele tajnych misji, ale ojciec w nich nie uczestniczył. Margie wiedziała, gdzie

jest, ale nie chciała powiedzieć. Alfie był pewny, że w końcu to odkryje, musi tylko stopniowo układać sobie wszystko po kolei w głowie.

Dotąd nie postąpił w tym śledztwie zbyt daleko. Nie przyszło więcej listów, a gdy zastawał matkę i Babcię Summerfield pograżone w rozmowie, zawsze ją przerywały i zaczynały mówić o pogodzie albo o tym, jak dzisiaj ciężko dostać świeże jabłka.

W sumie Alfie nie zbliżył się do zrozumienia, gdzie może być ojciec, aż do owego dnia na King's Cross, gdy czyścił buty lekarza wojskowego, którego dokumenty rozproszyły się po dworcu.

SZPITAL WSCHODNIEGO SUFFOLK & IPSWICH

Summerfield, George.

ur. 3 V 1887 r.

Nr służbowy: 14278.

I wtedy Alfie przekonał się, że jednocześnie ma rację i myli się w swoich przeświadczeniach. Tata nie był na tajnej misji. Ale nie umarł. W ogóle nie było go już we Francji.

Wrócił do Anglii.

Do szpitala.

7

Serwus, kim jest twoja przyjaciółka?

Zdziwiona Margie zastała Alfiego siedzącego na łóżku i czytającego — nie spał już prawie godzinę.

— Nic ci nie jest? — spytała, dotykając jego czoła, sprawdzając, czy nie ma gorączki. — Nie będziesz mi chorował, co?

— Nic mi nie jest. Po prostu wczesnie wstałem.

— No, czyli cuda się zdarzają. — Rozejrzała się i ze zmarszczonymi brwiami wciągnęła powietrze. — Dlaczego tutaj zawsze pachnie pastą do butów? Przecież to nie ma sensu, buty masz zawsze zapuszczone. No, śniadanie jest na stole. Wieczorem dostanę kawałek kury na kolację. Słyszałam, że dzisiaj może być dostawa u jednego rzeźnika na Pentonville Road. Przynajmniej tak mówią. Jest bratem jednej z pielęgniarek z chirurgii i obiecał odłożyć trochę dla mnie.

— Kura? — zapytał Alfie, unosząc brew. — Czy to nie kosztuje dużo pieniędzy?

— Rano znalazłam w portmonetce trochę więcej, niż się spodziewałam. — Puściła do niego oko. — Dziwne, ale bez przerwy się to zdarza. Wiesz, że w tym tygodniu udało mi się zapłacić prawie wszystkie rachunki i czynsz? W dodatku dzisiaj nie idę na noc do pracy, tak że możemy zostać we dwoje w domu i zjeść kolację.

Alfie zmarszczył czoło. Każdego innego dnia by się ucieszył, ale dzisiaj nie miał pewności, czy to dobra nowina. Przecież nie wiedział, o której wróci. Miał plan. Poważny. Swoją własną tajną misję.

— Ojej — odwrócił się, żeby Margie nie poznała, że kłamie — a ja obiecałem babci, że przyjdę do niej na podwieczorek.

— Nic o tym nie mówiła.

— Może zapomniała. Tak jak w zeszłym tygodniu zapomniała powiedzieć, że podoba jej się twoja nowa sukienka.

— Nie zapomniała. — Margie przewróciła oczami. — Mówiła, że nie powinnam przyjmować jałmużny od pani Gawdley-Smith, ale skoro i tak zamierzała wyrzucić sukienkę i nie miała nic przeciwko temu, żebym ją wzięła, to nie widzę powodu, żeby tak nie zrobić. Nie mogę chyba wiecznie chodzić w łachmanach, co nie? W każdym razie jak się nie ma, co się lubi...

— Mamy w czym chodzić — oświadczył Alfie.

— Tak mówi babcia. Ale bieda ciągle zagląda nam w oczy, Alfie. Z bardzo bliska. — Margie chyba lubiła to wyrażenie. — No, to powiedz jej, że przyjdiesz kiedy indziej. Rzadko bywam w domu wieczorem.

— Zapytam — obiecał Alfie, odsuwając koldrę i wstając. — Ale jak wrócisz i mnie nie zastaniesz, będzie to znaczyło, że się zdenerwowała i musiałem zostać.

— No dobrze. Postaraj się, może uda się nam zjeść razem.

Wyszła z pokoju i Alfie słyszał, jak przed wyjściem do pracy zamiata jeszcze w sieni. Męczyły go wyrzuty sumienia, że robi jej przykrość, ale miał ku temu powody, tego był pewien. Zbiegł na półpiętro, pomknął schodami i pognał do wychodka na końcu ogrodu, potem wrócił, zanim zdążył odmrozić sobie palce rąk i nóg, i ruszył do siebie na górę, gdzie z szuflady na skarpety wyjął woreczek z monetami i wysypał zawartość na łóżko.

Przeliczył pieniądze. Oszczędzał, odkąd zaczął pracować, i uzbierało się już prawie osiem szylingów. Osiem szylingów! Nigdy ich wcześniej nie liczył, bo bał się, że jeśli będzie wiedział, ile ma, może zwariować i wszystko wydać. Ale zawsze przeczuwał, że nadejdzie dzień, gdy będzie potrzebował tych pieniędzy; nie wiedział tylko, kiedy to nastąpi ani dlaczego. I oto ów dzień nadszedł.

Zjadł śniadanie, szybko umył się przy kuchennym zlewie i sprawdził, czy ma starannie zaczesane włosy. Będzie większa szansa, że nikt go nie zatrzyma, jeśli będzie wyglądał na grzecznego chłopczyka. Zadowolony, założył buty, wsunął garść drobnych do kieszeni i wyszedł z domu.

Na Damley Road zauważył Joego Patience, palącego na progu papierosa, i skręcającą z za rogu wojskową furgonetkę. Alfie zastygł w bezruchu. Spojrzał na Joego i jego pusty wyraz twarzy, ale po chwili jego oczy, tak

jak Alfiego, zobaczyły samochód, który zaczynał zwalniać, wprawiając w ruch wszystkie firanki w oknach. Po chwili zaczęły otwierać się po kolei drzwi i kobiety wychodziły, spoglądając po sobie z lękiem, z bladymi twarzami, podczas gdy Joe cofnął się do domu, pozostawiając otwarte drzwi, ale znikając sąsiadkom z oczu.

„Tylko nie ja” — myślały wszystkie.

„Proszę Cię, Boże, tylko nie ja”.

„Nie dzisiaj”.

Pojazd zatrzymał się przed Alfiem, odsunęła się szyba i jakiś oficer wbił w niego wzrok, kiedy stał z plecami przyciśniętymi do ściany.

— Czy to Damley Avenue? — zapytał mężczyzna, na co Alfie westchnął z ulgą. Pytał tylko o drogę.

— Damley Road — odparł, lekko się zacinając.

— Co mówisz, synu?

— Damley Road — powtórzył. — Do Avenue trzeba jechać do końca ulicy, skręcić w lewo, a potem pierwszą w prawo. To łatwe.

Mężczyzna kiwnął głową, zasunął z powrotem szybę i odjechał. Kobiety wróciły do domów i na ulicy zostali tylko Alfie i Joe Patience, patrzący na siebie.

— Mamy przed sobą jeszcze jeden dzień walki — rzucił Joe z uśmiechem, który wcale nie był uśmiechem. Alfie zauważył, że ma wybity jeden z przednich zębów, a pod okiem siniak, który nie jest wcale siny, tylko raczej fioletowy, zielony i żółty. — Cześć, Alfie.

— Cześć, Joe.

— Jesteś ciekawy, co? Ciekawy, co mi zrobili? To moja wina, bo otworzyłem po ciemku drzwi.

Alfie wpatrywał się w niego. Nie wiedział, co Joe ma na myśli, ale nie miał czasu się dowiadywać. Miał dzisiaj dużo do zrobienia. Pokręcił szybko głową i zerwał się do biegu, skręcił w prawo i skierował się w stronę King's Cross.

Dotarł do celu prędzej niż zwykle, bo nie ciążyło mu pudło z przyborami pucybuta, które zawsze robiło się cięższe w połowie drogi z domu do pracy. Na miejscu rzucił okiem na swoje miejsce, teraz puste, choć stał przy nim i rozglądał się pan Podgett, bankier, którego syn Billy miał nadzieję, że wojna nigdy się nie skończy. Spoglądał na zegarek, pewnie czekał na pucybuta, ale po chwili zrezygnował i przepadł w tłumie. Alfie przeszedł do kasy, gdzie kontuar był wyższy od jego głowy, i czekał na swoją kolej.

— Ile do Suffolk? — zapytał, nie widząc osoby w okienku.

— Kto to? — rozległ się głos kobiety, więc powtórzył pytanie.

— Mały chce wiedzieć, ile kosztuje bilet do Suffolk — wyjaśnił mężczyzna stojący za nim w kolejce. — Jest po prostu za niski i go nie widać.

— Trzy pensy w jedną stronę, pięć w obie, ważny przez cały dzień — oznajmił pozbawiony ciała głos i Alfie sięgnął do kieszeni, ostrożnie wyjął jednego pensa, dwie półpensówki i dwanaście ćwierćpensówek i położył je na kontuarze.

— Rany boskie — zawołał kobiecy głos.

Mimo wszystko zgarnęła pieniądze i usłyszał odgłos uruchamianej maszyny; po chwili wyrzuciła z siebie bilet, po który wyciągnął rękę.

— Musisz trochę urosnąć, synku — powiedział mężczyzna z kolejki. — Dzięki temu życie jest łatwiejsze.

Alfie miał ochotę pokazać mu język, ale się rozmyślił; takie rzeczy robiły dzieci, a on dzisiaj nie jest dzieckiem, tylko dorosłym. Bo zamierza zrobić coś bardzo dorosłego.

Spojrzał na tablicę informacyjną, ale nie znalazł żadnego pociągu do Suffolk. Wtedy dostrzegł odjeżdżający za kilka minut z peronu drugiego do Ipswich; przeszedł na peron i gapił się na pociąg, zastanawiając się, czy powinien zaryzykować. Ale przecież szpital nazywał się Wschodniego Suffolk i *Ipswich*.

— Wsiadasz? — zapytał konduktor, klepiąc go po ramieniu i zerkając na zegarek. — Tylko się rusz, chłopcze. Za chwilę odjeżdża.

— Wsiadam — oznajmił Alfie, wskakując do środka.

Jeszcze nigdy nie jechał pociągiem i mimo powagi zadania — jego tajnej misji — nie mógł stłumić podniecenia faktem, że siedzi w przedziale i czeka, aż konduktor zagwiżdże i pociąg ruszy. Przypomniawszy sobie, jak tata opowiadał, że kiedyś, zanim dostał posadę w mleczarni, chciał pracować na kolei, i zastanawiał się, czy wszystko nie ułożyłoby się inaczej, gdyby się tacie udało. Czytał kiedyś w gazecie, że jacyś „niezbędni pracownicy obsługi” mogli uniknąć poboru, jeżeli zapewniali „cenne wsparcie na Froncie Domowym”, i wiedział, że do tej elitarnej grupy należą maszyniści i konduktorzy. Ale potem przypomniał sobie, że tata przecież nie został przymusowo wcielony do wojska, bo zgłosił się na ochotnika, więc w sumie wyszłoby na to samo.

Kilka minut później pociąg zaczął jechać i Alfie patrzył przez okno, jak

nabiera prędkości i sunie po torach. Uznał, że to najciekawsze zdarzenie w jego życiu — w calutkim życiu. Przez dłuższy czas oglądał przesuającą się scenerię, aż rozboleła go szyja, odwrócił się i zauważył młodą kobietę siedzącą z nim w przedziale. Siedziała naprzeciwko, choć nie przy oknie, i czytała książkę pod tytułem *Nadzwyczajna natura umysłu ludzkiego* autorstwa dr. F.R. Hutchisona. Alfie nie bardzo wiedział, jak wymawia się pierwsze słowo tytułu, i próbował je po cichu wypowiedzieć. Po chwili młoda kobieta odwróciła się i wbiła w niego wzrok.

— Czy nic ci nie jest? — zapytała.

— Nie, dziękuję — odparł Alfie, odwracając się zawstydzony i znów wyglądając za okno. Czuł, jak przewierca go wzrokiem.

— Masz coś do czytania czy będziesz całą drogę gapił się na moją książkę?

Alfie nic nie powiedział. Żałował, że nie zabrał *Przypadków Robinsona Kruzoa*.

— Jedziesz sam? — odezwała się po chwili.

Odwrócił się w jej stronę, łykając nerwowo ślinę, i kiwnął głową.

— Zdumiewające — orzekła. — Ile ty w ogóle masz lat, dziesięć?

— Dziewięć — odparł Alfie, niezwykle połączony tą pomyłką. Uznała, że ma dziesięć lat! Co za triumf.

— I dziewięcioletni chłopcy mogą sami jeździć koleją, tak? Powiem ci, że za moich czasów do czegoś takiego by nie doszło. Pamiętam, jak pewnego razu mój brat Will uciekł pociągiem i... — Urwała i wzruszyła ramionami. — No tak, wszystko to działo się bardzo dawno temu. Na pewno nie chcesz słuchać tej historii.

— Ile miał lat? — zapytał Alfie.

— Kto?

— Pani brat. Kiedy wsiadł sam do pociągu.

— Kilka lat więcej od ciebie, o ile dobrze pamiętam. Jakies czternaście czy piętnaście. Zachciało mu się urządzić przejażdżkę do Londynu. Wrócił zawiany i cuchnący damskimi perfumami. Wybuchła wielka awantura. Pamiętam, jak siedział w fotelu ojca, rodzice wygłaszali kazanie, a on tylko chichotał. Ogromnie mnie to bawiło. — Zaśmiała się i odwróciła wzrok, zamyślona, po czym szeroko otworzyła oczy, gorączkowo mrugnęła nimi kilka razy i popatrzyła znów na niego, uśmiechnięta.

— Mam nadzieję, że ty nie planujesz niczego podobnego, co? Jesteś trochę młody jak na tego rodzaju wybryki. Jak się nazywasz?

— Alfie Summerfield.

— A ja Marian Bancroft. Jak chcesz, to możesz mówić do mnie Marian. Nie dbam o formalności. Albo panna Bancroft, jeśli czujesz się z tym swobodniej. Miło mi. — Wyciągnęła rękę i Alfie wbił w nią spojrzenie, nie bardzo wiedząc, jak powinien się zachować. — Nikt ci nigdy nie powiedział, że niegrzecznie jest nie przyjmować wyciągniętej ręki?

Więc Alfie wyciągnął swoją i uściśnął dłoń panny Bancroft. Jeszcze nigdy żaden dorosły mu tego nie proponował, lecz oczywiście oglądał ten gest setki razy.

— Bardzo dobrze. — kiwnęła głową z aprobatą. — Tak w ogóle to dokąd się wybierasz?

— Do Suffolk.

— Wiesz, że ten pociąg jedzie do Ipswich, co? Ale jest tak powolny, że będę starą damą, kiedy już dojedziemy. Rzecz jasna było prościej, kiedy wyjeżdżał z Liverpool Street, ale po bombardowaniach zmieniono wszystkie trasy i nigdy nie wiadomo, gdzie można złapać jaki pociąg. Wszystko się zmienia, a zawiadowcy są beznadziejni. Chyba nawet króliki są lepiej poinformowane. Wiesz, że byłam już dzisiaj na Paddington i Victorii, zanim się dowiedziałam, że powinnam być na King's Cross? Ale chyba nie powinnam narzekać. To było straszne.

Alfie przytaknął. Pamiętał, jak w zeszłym roku czytał o tym w gazecie. Szwadron niemieckich samolotów Gotha zrzucił bomby na dworzec na Liverpool Street, zabijając i raniąc ogromnie dużo ludzi. Zginęła matka jednego z chłopców z jego klasy, tak samo jak brat dyrektora, Maxwell. W sumie stu sześćdziesięciu dwóch zabitych. Ponad czterystu rannych. „Kolejne nazwiska i numery” — pomyślał Alfie.

— Cukierka? — spytała Marian, wyciągając z torby białą papierową torebkę z dropsami jabłkowymi i mu ją podając. Były sklezione i Alfie musiał złapać za dwa, żeby je rozdzielić. — Weź obydwa — zachęciła go Marian, machając ręką. — Weź trzy. Albo nawet wszystkie, jak masz ochotę. I tak zjadłam już za dużo, ale jestem po prostu uzależniona. Jak nie będę uważać, zmienię się w landrynkę. Wydaje mi się, że jestem jedyną w Anglii osobą, która przybiera na wadze w czasie wojny. Wszyscy inni wyglądają na niedożywionych.

Alfie wziął dwa, wrzucił jednego do ust, a drugiego schował do kieszeni na później.

— Tam się zmechaci — stwierdziła Marian, marszcząc brwi. — Przed

zjedzeniem będziesz go musiał umyć, bo jeszcze się czymś zarazisz.

Alfie pokiwał głową. W czasach, gdy pan Janácek miał jeszcze sklep ze słodyczami, Georgie kupował mu ćwierć funta jabłkowych dropsów co sobotę rano, gdy szedł po swoją gazetę. Wracał ze złożonym na pół papierem, a Alfie stał szeroko uśmiechnięty, czekając, aż rozłoży pakunek, powie: „Patrz, co dla ciebie mam”, i pokaże zawartość.

— Ipswich jest oczywiście dość blisko Suffolk — ciągnęła Marian — tak że jedziesz chyba dobrym pociągiem. Rozmawiałeś z konduktorem?

— Tak — odparł Alfie.

— Powiedziałeś mu, gdzie chcesz dojechać?

— Nie.

— No tak, i właśnie w tym punkcie popełniłeś błąd. Nie ma sensu wsiadać do pociągu, kiedy nie jest się całkowicie pewnym, że dowiezie cię do celu. Pasażer taki jak ty ląduje w Edynburgu, choć chciał się dostać do Kornwalii. Smakuje ci cukierek? Strasznie przy tym hałasujesz. Naucz się ssać bez tego okropnego odgłosu — dzięki temu zyskasz większą sympatię towarzyszy podróży.

Alfie nie bardzo wiedział, jak miałyby jeść jeszcze ciszej, więc połknął naraz całego dropsa, czemu towarzyszył straszny dźwięk, na który Marian wbiła w niego spojrzenie zmrużonych oczu, jak gdyby zastanawiała się, czy nie przesiąść się do innego przedziału (na co właściwie liczył).

— Co w ogóle jest w Suffolk? — zapytała. — Masz tam dziewczynę?

— Nie — odpowiedział Alfie, potwornie się rumieniąc.

— Tak tylko się drocę. Moim zdaniem dziewczyny są niewarte zachodu. Mój chłopak mnie rzucił, ale pewnie nie chcesz o tym słuchać, co? Ale powiedz przynajmniej, co cię tam sprowadza.

Alfie namyślał się. Nie miał zamiaru ujawniać nikomu swojej tajnej misji; Margie, Staremu Billowi Hempertonowi, Babci Summerfield ani Joemu Patience. Ale zwierzenie się obcej osobie nie powinno w niczym przeszkodzić, zwłaszcza że i tak zdawała się wszechwiedząca.

— Szpital Wschodniego Suffolk i Ipswich — powiedział cicho.

— O! — zawołała zaskoczona, wytrzeszczając oczy. — Wschodni Suffolk? Ja też tam jadę! Co za zbieg okoliczności! Zresztą może i nie, skoro jedziemy w tym samym kierunku. Ale po kiego chłopiec w twoim wieku jedzie do Wschodniego Suffolk? Jesteś młodym geniuszem, który w wieku pięciu lat został lekarzem?

— Jadę w odwiedziny.

— W odwiedzin? Dziwne miejsce na odwiedzin, ale niech ci będzie, nie będę wypytywać. Powiesz, co będziesz chciał, a resztę zachowasz dla siebie. Mnie jest wszystko jedno. Ja muszę tam być na prelekcji, wyobrażasz sobie? Straszne nudy. Ale strasznie ciekawe — dodała, tak że Alfie nijak nie mógł się zorientować w tej sprzeczności.

— Jakiej prelekcji? — spytał.

Wzruszyła ramionami i wyjęła z torebki papierosa, zapalając go jednym płynnym ruchem kciuka, nadgarstka i kamienia zapalniczki. Kiedy twarz osnuł jej nagle dym, rozproszyła go drugą ręką.

— Okropność — stwierdziła. — W ogóle nie zaczynaj. Po prostu opanowują duszę. Czy naprawdę interesuje cię moja prelekcja, czy chcesz być grzeczny?

— Chcę być grzeczny — przyznał Alfie.

— Aha, ale i tak ci powiem, skoro zapytałeś. Bo widzisz, pracuję z żołnierzami, którzy wrócili z frontu. Wiesz, co to takiego front, prawda? Chyba wszyscy to wiedzą. Musiałbyś żyć na pustyni, żeby o tym nie słyszeć. No i niektórzy wracają w fatalnym stanie. Więc my robimy, co możemy, żeby im pomóc. Rysuję taki trójkąt, o ile mogę tak powiedzieć. Mieszkam w Norwich, wczoraj przyjechałam pociągiem do Londynu odwiedzić koleżankę — okropną dziewczuchę, z którą chodziłam do szkoły, a która teraz jest ważną figurą w ruchu sufrażystek — słyszałeś o ruchu sufrażystek? Pewnie jesteś za młody, ale jak będą pytali, to mów, że popierasz, dobrze? Tak że przyjechałam tam pociągiem, a teraz jadę do Ipswich na prelekcję. Wygłasza ją jakiś facet ze szpitala w Manchesterze. Byłam już na innej jego prelekcji dwa miesiące temu i połowa mężczyzn na widowni zasnęła. Kobiety nie. Bo widzisz, my uważałyśmy. Po co przychodzić, a potem nie słuchać? Wieczorem wrócę do Norwich. Mój ojciec jest tam pastorem. Nie śmieć się.

Alfie pokręcił głową. Nie miał pojęcia, dlaczego posądzała go o zamiar roześmiania się. Nie powiedziała niczego śmiesznego.

— Jak chcesz, to mogę zaprowadzić cię do szpitala — to znaczy kiedy dojedziemy. Jest niedaleko od stacji, ale kiedy się nie zna drogi, łatwo zabłądzić. A ja nie mogę zostawić dziesięcioletniego chłopca samego, żeby błąkał się po ulicach i nie wiedział, jak dostać się do celu.

— Mam dziewięć lat — po raz drugi poprawił ją Alfie.

— I tak niedługo będziesz miał dziesięć, jak się domyślam. Dziewięciolatki wcześniej czy później kończą dziesięć lat. Dopiero

dziewiętnastolatki mają kłopoty z osiągnięciem dwudziestki. — Odwróciła głowę i przez kilka chwil patrzyła za okno, gorączkowo mrugając powiekami, potem zamknęła oczy i ciężko oddychała nosem. Na koniec popatrzyła znów na niego i posłała mu coś w rodzaju uśmiechu. — W każdym razie jeśli zabłądzisz w Ipswich, możesz doczekać dnia urodzin, zanim trafisz z powrotem do domu. Umowa stoi? Mogę pokazać ci drogę?

Alfie kiwnął głową, wyczerpany monologiem młodej kobiety. Poczł chęć na małą drzemkę i rozparł się wygodniej, odwracając głowę w stronę mijanych pól.

— Co, rozmowa zakończona, tak? — spytała Marian, na co Alfie z powrotem się odwrócił, ale wtedy potrząsnęła głową. — Tak się tylko drocę. Śmiało. Patrz na krajobrazy. Mnie wystarczy towarzystwo moje i doktora F.R. Hutchisona. Obudzę cię, gdy będziemy na miejscu. Zostało jeszcze co najmniej dwie godziny albo i jeszcze więcej. W dzisiejszych czasach pociągi wloką się w nieskończoność. Nie ma powodu do niepokoju.

Alfie kiwnął głową, oparł się na siedzeniu i zamknął oczy. Tak naprawdę nie miał ochoty na sen, ale zdawało mu się, że jeśli jeszcze trochę posłucha gadania młodej kobiety, dostanie lekkiego bzika. Nigdy w życiu nie słyszał, żeby ktokolwiek mówił tak szybko i miał tyle do powiedzenia. Ziewnął i już zaczynał dochodzić do wniosku, że przyda się mała drzemka, kiedy przez głowę przebiegła mu pewna myśl, otworzył oczy i wyprostował się.

— Szpital, do którego jedziemy — zagadnął. — Co to w ogóle za szpital?

— No, oczywiście taki dla chorych — powiedziała Marian.

— Tak, ale jakich chorych?

— Chorych żołnierzy. Tych, co przeżyli, ale nie wyszli na tym za dobrze, o ile to ma jakikolwiek sens. Jest na to pewna nazwa. Tak się składa, że właśnie tego dotyczy moja prelekcja. To coś okropnego, ale bardzo się rozpowszechniło. Chociaż są tacy, co nie chcą uwierzyć w to, co widzą na własne oczy.

Alfie popatrzył na nią. Trochę bał się zapytać.

— Jaka nazwa?

Marian Bancroft popatrzyła na niego z uśmiechem — niewesołym, raczej takim, jaki towarzyszy złym nowinom, uśmiechem, który niektórych może uspokaja.

— Nerwica frontowa — oznajmiła.

8

Czyżbyśmy byli przybici?

W Ipswich nie wysiadał nikt więcej i Alfie ze zdziwieniem rozglądał się po dworcu, który w niczym nie przypominał dworca — bez poczekalni, kas biletowych i pucybutów, którzy czekaliby na klientów. Pociąg po prostu się zatrzymał i odczekał, aż Marian i Alfie wysiądą.

— To oczywiście nie jest prawdziwa stacja — wyjaśniła Marian, widząc dezorientację na twarzy chłopca. — Ale pociągi przeważnie nie zatrzymują się na prawdziwych dworcach, dzięki czemu jest mniejsza groźba bombardowań. Stają w pobliżu, a resztę drogi trzeba przejść pieszo. Nam to akurat pasuje, bo szpital jest niedaleko stąd.

— Ale skąd wiadomo, gdzie wsiąść? — zapytał Alfie.

— Po prostu wiadomo — odparła Marian, wzruszając ramionami. — Wieści się niosą. A jak się nie wie, człowiek po prostu idzie, aż dojdzie do następnej stacji.

Wąska droga między żywopłotami doprowadziła ich do skrzyżowania, skąd trzy rozwidlające się ścieżki biegły w różnych kierunkach, bez drogowskazów mówiących dokąd należy iść.

— Zostały zdjęte — wytłumaczyła Marian. — W Anglii nie został już prawie żaden drogowskaz, nie zauważyłeś? Bo widzisz, nie chcemy ułatwiać dywersantom orientowania się w terenie. Wszędzie grasują szpiedzy, tak się przynajmniej mówi. Mnie to nie przekonuje, ale kto by mnie słuchał? Na szczęście mam dobry zmysł orientacji. W innym wcieleniu byłam może psem myśliwskim.

Wybrała pierwszą ścieżkę w prawo i szła zwawym tempem, rozprawiając o różnościach, podczas gdy Alfie biegł, żeby za nią nadążyć. Ale miała

rację: do szpitala nie było daleko i po kilku minutach splekane kamienie, pomiędzy których wyrastały trawa i chwasty, zmieniły się w normalniejszą drogę i w końcu stanął przed nimi Szpital Wschodniego Suffolk i Ipswich.

Alfie z lękiem przypatrywał się imponującym murom, które otaczały teren, długiemu podjazdowi do głównego budynku szpitala i samej ogromnej budowli z żółtej cegły, która najbardziej kojarzyła się z zamkiem.

— Naprawdę nic ci nie jest? — zapytała Marian.

— Nic.

— Na pewno chcesz tu być? Bo wiesz, niedługo będzie jechał pociąg z powrotem do Londynu. Możesz po prostu wrócić tam, gdzie wysiedliśmy, i na jego widok zacząć wymachiwać rękami jak wariat. Na pewno by się zatrzymał. No, prawdopodobnie.

— Na pewno.

— To wejdziemy? Nie ma sensu tu stać i gapić się jak na widokówkę.

— Lepiej tu trochę zaczekam — odparł Alfie, wahając się, czując, że najlepiej będzie, jak zaraz się rozstaną.

— Bzdura, nie mogę zostawić cię tutaj samego! W ogóle to nie powiesz mi, do kogo przyjechałeś? Może znajdziemy pielęgniarkę albo kogoś, kto ci pomoże.

— Wolę wejść sam. Ale dziękuję.

Marian zerknęła na zegarek.

— No, skoro jesteś tego pewien. Twoja wola. Ale później będziesz musiał trafić sam na stację. Pamiętasz drogę? No, to dobrze.

Znów wyciągnęła rękę i tym razem Alfie uścisnął ją bez przypominania.

— Bardzo dobrze — stwierdziła, kiwając stanowczo głową, odwracając się i ruszając podjazdem.

Przez jakiś czas odprowadzał ją wzrokiem, po czym odsunął się i stanął za słupkiem bramy, żeby nie dojrzał go ktoś wyglądający ze szpitala. Wolał, żeby go nie zauważono i nie odprawiono od drzwi, chociaż nie miał pewności, co teraz robi. Nie zaplanował sobie niczego poza dostaniem się do szpitala, a potem... no, skąd można coś takiego wiedzieć? Pozostawała jednak tylko jedna możliwość: musiał wejść do środka.

Alfie szedł podjazdem, czując, jak bardzo zwraca na siebie uwagę: mały chłopiec, sam, w krótkich spodniach, wełnianym swetrze i czapce nie może rzecz jasna być lekarzem, pacjentem ani studentem zainteresowanym

prelekcją.

Sama ścieżka była starannie utrzymana i oddzielała dwa szerokie pola, biegnąc prostą linią ku szpitalnemu wejściu. Trawniki były zadbane, choć nigdzie nie rósł ani jeden kwiatek. Trawa układała się jakby w pasy na osobliwy sposób trawników przy wiejskich domach, gdzie jedno pasmo skłania się w jedną stronę, a drugie w przeciwną.

Na końcu podjazdu zatrzymał się przed wielkim portykiem wiodącym do otwartych, podwójnych drzwi dębowych i skrył się za filarem, obmyślając kolejne posunięcie. Wyszły dwie młode kobiety w fartuchach zupełnie innych niż u Margie — nie wyglądały aż tak formalnie, a bluzki znacznie swobodniej okalały szyje — i stanęły na świeżym powietrzu, paląc papierosy, nie zauważając, że ktoś jest za ich plecami.

— A gdzie podziewał się doktor Ridgewell, gdy działo się to wszystko? — spytała pierwsza.

— A jak ci się zdaje? Siedział u siebie w gabinecie ze spuszczoną głową. Nie wytknął nosa.

— I nawet nie wyszedł z nią porozmawiać?

— W końcu nie miał wyboru. Zapowiedziała, że sobie nie pójdzie, dopóki z nim nie porozmawia, mogą sobie wzywać policję, a jej jest wszystko jedno. Gdy się w końcu pokazał, powinnaś widzieć wyraz jego twarzy! Wściekł się! „O co robi pani takie zamieszanie?” — zapytał.

— I co ona na to?

— Z najlepszego powodu na świecie. Z miłości.

Alfie westchnął i zaskoczony zasłonił usta ręką. Tego samego wyrażenia używał zawsze pan Janácek, tłumacząc, dlaczego przeniósł się z Pragi do Londynu.

— Biedaczka — stwierdziła pierwsza pielęgniarzka, wypuszczając mnóstwo dymu i kręcąc głową. — Jest mu oddana, prawda?

— Oczywiście, że jest. To jej mąż. Przecież dla swojego Franka zrobiłabyś wszystko, prawda?

— Prawdopodobnie tak. Ale słuchaj, wiem, że nie powinnam tak mówić, ale czasami cieszę się, że został ranny na samym początku. W ten sposób uniknął najgorszego. Oczywiście przygnębia go to, że już nic nie może zrobić, ale mówię mu wtedy: „Frank, powinieneś zobaczyć, jak wyglądają ci biedacy tutaj, we Wschodnim Suffolk. Powinieneś dziękować Bogu, Frank”. Wygarniam mu całą prawdę, Elsie. Czasem tak trzeba.

— Jak tam jego nogi?

— Niedobrze.

— A samopoczucie?

— Jeszcze gorzej.

Alfie przemknął na drugą stronę kolumn, by go nie zauważyły, a ponieważ ciągle stały odwrócone plecami, wbiegł do przedsionka, gdzie czekał rząd szklanych drzwi, za którymi na korytarzu widział jakiś ruch. Trzy inne pielęgniarki wchodziły do sal po obu stronach holu i z nich wychodziły, a czwarta pogrążona była w rozmowie z o wiele starszym lekarzem, który miał białą brodę i przypominał nieco Świętego Mikołaja. Gdy nie patrzyli w jego stronę, Alfie otworzył drzwi, przebiegł hol i wpadł do pierwszego pomieszczenia z lewej strony.

W szpitalu jego uwagę w pierwszej kolejności zwrócił zapach. Mieszanina płynów do czyszczenia, potu, krwi i Bóg raczy wiedzieć czego jeszcze. Czegoś wstrętnego. Przesycało powietrze i zatykało oddech, ale zakrył nos dłonią i czekał, aż się przyzwyczai.

Rozejrzał się i uznał, że jest w jakimś gabinecie. Na środku pomieszczenia stał stół, a na nim kilka pustych kubków po herbacie i imbryk nakryty zrobionym na drutach ocieplaczem. Przez krzesło przewieszono fartuch z mapą Irlandii, podpisaną słowami DAR Z SKIBBEREEN. Alfie doszedł do wniosku, że to herbaciarnia. Nie gabinet. Pielęgniarki musiały przychodzić gdzieś na przerwy. Z lewej strony rozległ się dźwięk, obejrzał się i zobaczył czajnik na piecyku, z którego dzióbka zaczynała wydobywać się para. Zagwizdał, a chłopiec wstrzymał oddech, wiedząc, że za kilka sekund ktoś się tu zjawi i go odkryje. Wybiegł na korytarz i popędził trochę dalej, starając się nie zwracać uwagi na niewyraźne echo jęczenia, odgłos, który trudno było rozszyfrować; brzmiało to tak, jakby za drzwiami leżała setka cierpiących. Wpadł na inną salę, tym razem z prawej strony korytarza, słysząc jednocześnie kroki kogoś biegnącego tam, skąd przed momentem uciekł.

Zamknął za sobą drzwi, obrócił się z oczami zamkniętymi z ulgi i westchnął.

Gdy je znowu otworzył, zorientował się, że tym razem jest na sali z łózkami. Jakiś mężczyzna siedział na łóżku przy otwartym oknie w rozpiętej do połowy bluzce od pidżamy. Miał rzadkie siwe włosy, choć z rysów twarzy nie wyglądał na bardzo starego. Wpatrywał się w Alfiego z przerażoną miną, rozdziawionymi ustami i rękami przyciśniętymi do uszu, żeby nie słyszeć gwizdka czajnika, który przenikał nawet tutaj. Alfie

patrzył na niego osłupiały, nie wiedząc, co powiedzieć, i dopiero gdy chwilę później gwizdanie ucichło, człowiek powoli, bardzo powoli zabrał dłonie z uszu i położył je na kocu. Wbił w nie wzrok, cały czas z rozwartymi ustami, po czym spojrzął na Alfiego. Lekko drżał.

Na łóżku naprzeciwko drugi mężczyzna czytał jakąś powieść. Po dotarciu do końca strony wyrywał ją, miał w garści i rzucał na podłogę. Leżały tam już dziesiątki takich kartek. Alfie zmrużył oczy, żeby odczytać słowa na okładce. *Pani Bovary*.

— Gdzie jest mama? — spytał pierwszy mężczyzna, na co Alfie odwrócił się i otworzył usta, nie mając pojęcia, co powiedzieć. — Czy jest przy wejściu? — zapytał tamten w końcu. — Obiecała, że dzisiaj przyjdzie.

— Raczej nie — odparł Alfie. — Nie widziałem żadnych odwiedzających.

— Hej, ty — odezwał się drugi, wymachując ręką w powietrzu jak dziecko w szkolnej klasie. Podniósł książkę. — Ona ma kochasia, wiesz?

— Proszę, niech to przestanie — powiedział pierwszy, nachylając się i zamykając oczy.

— Co?

— Jej mąż o tym nie wie — śmiał się drugi mężczyzna. — Ale to Francuzka, a wiesz, jakie one są. Polecą na wszystko.

Raptem pierwszy mężczyzna runął do przodu, a Alfie poderwał się wystraszony, otworzył drzwi i spiesznie wybiegł na korytarz, skrzył za róg i znalazł się na oddziale liczącym dziesięć łóżek, po pięć z każdego boku, wszystkie zajęte. Jęczenie dochodziło właśnie stąd: zdawało się, że każdy mężczyzna strasznie cierpi. Jedni mieli głowy owinięte w bandaże, z ciał innych wychodziły rurki, którymi albo tłoczono, albo odprowadzano ciemnoczerwoną krew. Poczul, jak żołądek kurczy mu się ze strachu, i spojrzął na człowieka w łóżku obok, nienakrytego pościelą, po prostu leżącego na materacu i nieznacznie się przesuwającego, jakby nie mógł już znieść leżenia. Alfie wpatrywał się w niego: coś się nie zgadzało, ale dopiero po chwili zorientował się co. Mężczyzna nie miał prawej ręki, tylko kikut kończący się nad łokciem, a prawą nogę amputowano mu w kolanie. Obydwie rany były odsłonięte, a przy łóżku stał wózek z czystymi opatrunkami. Na pewno ktoś się nim zajmował i wezwano go gdzie indziej. Może ten ktoś pobiegł zestawić czajnik? Alfie starał się nie wpatrywać w rażąco miękkie punkty, którymi wbrew naturze kończyły się ręka i noga, ale nie było to łatwe. Widział chaotyczne szwy i zawiniętą skórę, która tworzyła pomarszczony węzeł z czymś podobnym do czarnego gwoźdźca na

środku. Czaszkę otaczały pożółkłe bandaże, jedno z oczu zakrywała opaska. Alfie patrzył na niego ze grozą. Mężczyzna powoli się obrócił, mrugając okiem, wyciągając dłoń, i złapał Alfiego za rękę. Chłopiec jęknął, usiłując się wyrwać, ale mężczyzna mimo ran był dla niego za silny i przyciągał go coraz bliżej, sycząc coś pod nosem. Alfie próbował odepchnąć się od materaca, ale dłoń natrafiła na coś miękkiego i ruchliwego — butelkę z jakimś ciemnożółtym płynem, która pod jego dotykiem wywróciła się, wylewając zawartość na podłogę u jego stóp. Gdy odsuwał się od pacjenta, pośliznął się na płynie i upadł na ziemię, uświadamiając sobie, że wylądował w kałuży moczu tamtego. Z trudem zdołał powstrzymać się od wrzasku, stanął na nogi i wybiegł z pomieszczenia.

Ojca na pewno tutaj nie ma, to niemożliwe. Nikt nie mógłby przebywać w takim miejscu i nie oszaleć.

Stojąc na korytarzu, łapczywie chwycił powietrze, nie wiedząc, czy nie zwymiotuje, trzymając mokre ręce w górze i wreszcie wycierając je w spodnie. Zorientował się, że jest na nich także krew — krew z moczu tamtego człowieka. Alfie obrócił się, chcąc jak najszybciej uciec od tych potworności, i ruszył innym korytarzem, już zagubiony, dezorientowany, zastanawiając się, jakim sposobem mogło mu wpaść do głowy, że przyjazd tutaj jest dobrym pomysłem. Uginały się pod nim nogi, tak samo jak we śnie, w którym nie mógł wcale biec, a stopy ważyły wiele ton.

Liczył na znalezienie drzwi, którymi wydostanie się z powrotem na zewnątrz, tymczasem jednak korytarz doprowadził go do dyżurki pielęgniarek i jeszcze jednych szklanych drzwi. Strasznie chciał przez nie przejść, ale przy dyżurce stały dwie osoby — młody lekarz i pielęgniarka — i rozmawiały pełnymi troski i niepokoju głosami. Jeżeli pójdzie w tamtą stronę, na pewno go zobaczą. Kucnął przed kontuarem, ciesząc się, że nie wystaje ponad ladę kasy na King's Cross, bo to biurko było mniej więcej takiej samej wysokości.

— Którzy? — zapytał lekarz, mówiący jak ktoś z bardzo wysokich sfer.
— Skrzydło B czy C?

— C, panie doktorze — powiedziała pielęgniarka z irlandzkim akcentem i Alfie pomyślał, że to ona przyniosła ocieplacz do herbaty. — Doktor Edgerton mówi, że czterech z nich czeka w tym tygodniu ostateczna ocena.

— Ale po co się spieszyć? Mają przed sobą co najmniej miesiąc rekonwalescencji.

— Chcą ich z powrotem. — Alfie nie widział siostry, ale wiedział, że

wzrusza ramionami. — To oczywiście nie ma sensu, ale nie wiem, co mogę na to poradzić.

— *Ja* mogę — upierał się mężczyzna, a w jego głosie brzmiała coraz większa złość.

— To *poradź*, Arthurze. Ci ludzie nie wytrzymają tam nawet miesiąca. Wysłanie ich to zbrodnia. Mój Boże, skoro Ministerstwu Wojny nie zależy na ich dobru, niech pomyślą przynajmniej o innych żołnierzach, dla których obecność tych ludzi będzie stanowić zagrożenie.

— Nie musisz mnie przekonywać — burknął lekarz. — Dobrze, zostaw to mnie. Zrobię, co będę mógł. Jeżeli będzie trzeba urządzić awanturę, to urządzę. No, a co z tymi na trzecim piętrze? Co można zrobić z...

I w tej chwili Alfie niespodziewanie kichnął. Zastygł w bezruchu, krzywiąc się, wbrew wszystkiemu mając nadzieję, że go nie usłyszeli, ale rzecz jasna nie było takiej możliwości. Lekarz i pielęgniarka przeszli na drugą stronę biurka i wbili w niego spojrzenia.

— Jak to...? — zaczęła siostra.

— Kim jesteś? — burknął doktor, rozwścieczony widokiem dziewięcioletniego chłopca, który siedzi na podłodze.

— Zabłądziłem — oświadczył Alfie.

— Zabłądziłeś? Jak to? Co ty w ogóle tutaj robisz? Mów zaraz, chłopcze! Alfie powiedział, co ślina przyniosła mu na język.

— Mój ojciec jest mleczarzem — oświadczył, co nie do końca było nieprawdą — a ja pomagałem mu w rozwożeniu — co już było.

Tamtych dwoje patrzyło na niego, potem spojrzeli po sobie i z powrotem na niego.

— Dostawy przychodzą na tył szpitala — stwierdził lekarz, odwracając się. — O czym powinieneś już wiedzieć. Wyjdź tamtędy. — Wskazał boczne drzwi, prowadzące na zewnątrz. — I nigdy więcej tu nie wchodzi, słyszysz? W tym szpitalu są chorzy. Nie potrzeba tu dziecka, które roznosi nie wiadomo jakie choroby. Na Boga, w dodatku cuchniesz. Śmierdzisz, jakbyś się posikał. Czy ty się nigdy nie kąpiesz? Zmykaj, na litość boską!

Alfie obrócił się na pięcie i z sercem walącym w piersi wybiegł przez drzwi. Spadła mu czapka i wrócił po nią. Przez chwilę zdawało mu się, że pielęgniarka patrzy na niego tak, jakby wiedziała, że kłamie, ale nie śmiał odezwać się ani słowem, więc znowu się odwrócił i wypadł na dwór.

Dzień był pogodny, zaskakująco ciepły jak na początek listopada, i Alfie

nasunął czapkę na oczy, by nie raziło go słońce. Ręce ciągle śmierdziały mu moczem i strasznie chciał je umyć, więc gdy zauważył na środku trawnika fontannę, podbiegł do niej i wsadził ręce do nieruchomej wody, tłumacząc sobie, że kiedy je wyciągnie, nie będą cuchnąć gorzej niż teraz. Machając nimi, by wyschły na powietrzu, przyglądał się długiej żwirowej ścieżce ciągnącej się wzdłuż boku szpitala i postanowił sprawdzić, dokąd wiedzie.

Po dotarciu do kępy drzew rozejrzał się i westchnął bezsilny. Jeżeli skręci w lewo, zawróci w stronę podjazdu i bramy wejściowej, dworca i Londynu, a tajna misja zakończy się fiaskiem. Po prawej miał szpital pełen strasznych pacjentów, gdzie za żadne skarby świata nie chciałby wrócić. Było mu żal tych rannych żołnierzy, ale nie wiedzieć czemu nie traktował ich jak ludzi i dziwił się, że lekarze nie starają się im bardziej pomóc. Na oddziale nie było nawet pielęgniarki ani lekarza, którzy pomogliby nieszczęśnikowi przerażonemu odgłosem gwizdka czajnika. Czy nikt się nimi nie opiekował? Czy nie należało to do czyichś obowiązków? Czy tak samo wyglądała sytuacja w szpitalu Margie? Wątpił, żeby matka pozwalała pacjentom cierpieć tak strasznie, jak ci nieszczęśliwi żołnierze. Jeżeli ojciec rzeczywiście tu jest, nigdy w życiu nie pozostawi go na pastwę tych ludzi.

Chciał dzielnie szukać dalej, lecz zaczynała ogarniać go panika na myśl, że znalazł się tak daleko od domu. Nigdy przedtem nie wypuszczał się poza obszar kilku mil kwadratowych Londynu, a dziś jechał dwie godziny pociągiem do innego hrabstwa i, szczerze mówiąc, czuł przerażenie. Nie znosił tego szpitala: budynku, odoru, okropnych ludzi, straszego zawodzenia. Miał tego dosyć i chciał wracać do domu. Z jakiegoś powodu przypomniał sobie wybity ząb i fioletowo-zielono-żółte oko Joego Patience i zdziwił się, że tak mało przejął się tym, co przytrafiło się najstarszemu przyjacielowi ojca; dlaczego nie zapytał, czy nic mu nie jest? Georgie by się zatrzymał; Alfie po prostu poszedł w swoją stronę.

Obrócił się i już miał zamiar ruszyć tam, skąd przyszedł, gdy dostrzegł przerwę w zaroślach na lewo kilkaset jardów dalej. Żywopłoty przycinano równie starannie, co trawę, lecz tam znajdowała się luka szerokości drzwi, która wiodła do następnego ogrodu, i coś — być może duch badacza — kazało mu sprawdzić, co tam jest.

Przez lukę wchodziło się w korytarz z żywopłotów, który zakręcał i wił się jak labirynt. Przebył jeden, potem zawrócił drugim, by wkroczyć do trzeciego. Dopiero na końcu tego żywopłotu ukazał się cudowny kwiatowy

ogród, rozplanowany w równych połaciach ze ścieżkami rozdzielającymi klomby i sadzawką na końcu. Ze zdumieniem i przerażeniem ujrzał tutaj kolejną grupę mężczyzn, usadowionych w pewnej odległości od siebie na dużych krzesłach kąpielowych. Każdy był ubrany w szlafrok, a na kolanach trzymał ciężki kraciasty pled. Jeden siedział dość blisko Alfiego, który spojrzał na niego nerwowo; najdalszy znajdował się dość daleko, plecami do chłopca i z kapeluszem przeciwśłonecznym na pochylonej głowie.

Alfie czmychnął za żywoplot, gdy wśród pacjentów pojawiła się siostra, zagadując coś do każdego i odchodząc. Zniknęła w innej luce w krzewach i Alfie z powrotem wyszedł na otwartą przestrzeń. W rogu stał mały stolik, na nim znajdowały się książki, gazety, kilka jabłek i dzbanek z wodą. Podeszedł tam. Z gazet wyrwano pierwsze strony, przez co pozostały tylko mniej ważne wiadomości o problemach z górnikiem i projekcie nowej ustawy o szkolnictwie, nad którą debatował parlament. Było zdjęcie króla Jerzego i królowej Marii na jakiejś wystawie i fotografia księcia Walii przemawiającego do pielęgniarek. Alfie nie mógł się powstrzymać. Chciało mu się pić. Wziął czystą szklanę, nalał sobie wody i wypił ją jednym łykiem, wydając pełne zadowolenia: „Aaa!”.

Odwrócił się i spojrzał na młodego człowieka siedzącego najbliżej, który bacznie mu się przyglądał. Jego tłuste czarne włosy spadały nisko na czoło, brodę okrywał zarost. Coś w jego twarzy nasunęło Alfiemu myśl, że tak mógł wyglądać Stary Bill Hemperton w czasach, kiedy był Młodym Billem Hempertonem.

— Ki-ki-ki-kim jesteś? — wyjąkał mężczyzna, wpatrując się w ziemię.

— Nikim — odparł Alfie.

— Na pe-pe-pewno kimś.

Alfie zastanawiał się, czy nie powtórzyć, że jest synem mleczarza, ale coś zabraniało mu okłamywać tego człowieka, chociaż w sumie nie było to tak do końca kłamstwo.

— Ja tylko... — zaczął. — Tylko szukam jednego pacjenta.

Mężczyzna kiwnął głową i ruchem ręki kazał mu podejść. Alfie nie był pewien, czy go posłuchać. Mężczyzna wyciągnął rękę i spokojnie kiwał palcem.

— Podejdz — powiedział. Tym razem Alfie ostrożnie zrobił krok w jego stronę. — Bliżej. — Alfie zbliżył się, a mężczyzna powtórzył, tym razem takim śpiewnym głosem: — Bliżej! — Twarz Alfiego znalazła się przy głowie mężczyzny, który raptem obrócił się na krześle i schwycił

podbródek chłopca. — Nie pojedę, słyszysz?! — syknął cicho, bryzgając śliną, która wylądowała na twarzy Alfiego. — Nie pojedę. Nie zmusicie mnie. Weźcie kogoś innego. Nie zmusicie mnie, słyszysz?

Alfie odsunął się, ciężko dysząc, i obrócił na pięcie w poszukiwaniu wyjścia, lecz rzędy żywopłotu jak gdyby przysunęły się bliżej, a blask słońca był tak intensywny, że nie widział, co się dzieje. Zakreśliło mu się w głowie, wybrał jakiś kierunek i rzucił się do ucieczki. Musiał się stąd wydostać. Do domu. Nie zostanie w tym strasznym miejscu ani chwili dłużej. Biegł, pewien, że ta droga doprowadzi go tam, skąd wyruszył — ale nic z tego, dotarł jedynie do krańca ogrodu, do mężczyzny z nisko pochyloną głową w kapeluszu przeciwsłonecznym. Alfie gnał dalej, popatrzył przed siebie; nie było żadnego wyjścia. Zawrócił i tym razem ujrzał w oddali wyjście i westchnął z ulgą, w przelocie zerkając na człowieka na kąpielowym krześle, ale to wystarczyło. Odwrócił się wstrząśnięty i wbił w tamtego wzrok.

Mężczyzna podniósł głowę. Alfiego zatkało.

— Tata! — zawołał.

Georgie Summerfield siedział na krześle, obgryzając paznokcie, i patrzył na syna lekko zmrużonymi oczami, jak gdyby nie do końca wiedział, kogo ma przed sobą. W końcu pokręcił głową i spuścił wzrok, wbijając go w pantofle. Był chudszy, niż pamiętał go Alfie. Kości policzków bardziej sterczały, oczy zdawały się ogromne, a wargi bardzo białe, pokryte suchymi strupkami.

— Tato, to ja! — krzyknął, podbiegając. — Alfie!

Zdawało się, że Georgie go nie zna, tylko kręci głową i wpatruje się w pantofle. Zaczął coś bełkotać, ale Alfie nie słyszał słów. Pochylił się, ale nic a nic z tego nie rozumiał.

— ...oczywiście w ostatnim, gdzie trzymali blaszane garnki, kto to był, Humberside, zawsze był najlepszy, no, może nie, był Petey, w końcu go dopadli, zatonął na okręcie, tak słyszałem, kiedy reszta tam robiła Bóg wie co. Zostań, a potem walcz, tak nam mówili, bez przerwy — co to w ogóle ma za sens? Był tam... Co to było takiego? Grejpfrut? Nie, oczywiście, że nie, tam nie było żadnych grejpfrutów. Mylę się...

— Tato! — zawołał Alfie, kładąc ręce na barkach ojca, mniej muskularnych niż kiedyś. Georgie miał silne ręce od dźwigania baniek z mlekiem. — Tato, nie poznajesz mnie? To ja, Alfie!

Georgie znów podniósł głowę, ale nie było widać, żeby go poznawał.

Uśmiechnął się i znowu spuścił wzrok, zdawało się, że ma zamiar od nowa zacząć gadać, ale się rozmyślił i milczał, siedząc nieruchomy, milczący, nic nierobiący, na nic niepatrzący.

— Tato, proszę cię — szeptał Alfie. — Przyjechałem cię znaleźć. Uratować!

Ale Georgie po prostu westchnął, jak gdyby w ogóle go nie słyszał. Alfie wstał i rozglądał się zrozpaczony. Przypatrywał się pozostałym, ale żaden nie mógł mu pomóc. Znalazł ojca; pokonał szmat drogi i go znalazł. Nie wykonywał tajnej misji na polecenie rządu — to było kłamstwo. I wiedzieli o tym wszyscy z wyjątkiem niego. Ale jakie to miało znaczenie? Georgie nawet go już nie poznawał. Nie znał własnego syna.

— Tato — powtórzył błagalnie.

Bez reakcji.

— Tato!

Czuł, że w oczach stają mu łzy, ale stanowczo nie chciał płakać. Nie ruszał się z miejsca, obserwował mężczyzn, kołyszących się w przód i w tył, niektórzy mamrotali pod nosem, inni nie, potem znowu zwrócił uwagę na stół z gazetami i z wodą i przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Wziął jedną z gazet, złożył ją na pół i sięgnął do kieszeni. Stał z powrotem przed ojcem, trzymając przed sobą gazetę, i Georgie spojrzał na chłopca, zagapił się na gazetę, potem z osobliwym wyrazem twarzy wrócił spojrzeniem na syna.

— Patrz, co dla ciebie mam — oznajmił Alfie, rozchylając gazetę i pokazując jabłkowego dropsa, jednego dropsa, którego dostał od Marian Bancroft w pociągu i odłożył do kieszeni.

Georgie skupił wzrok na kulce zieleni, żółci i czerwieni i wyraz twarzy stopniowo mu się zmieniał. Przełknął ślinę i popatrzył na syna.

— Alfie — powiedział.

9

Jak to na wojence ładnie!

Zirytowany Alfie przewracał oczami, czekając na zakończenie wystąpienia. W ciągu ostatniej godziny na King's Cross zrobił się taki ścisk, że prawie nie dało się czyścić butów. Z powodu zamieszania z trudem utrzymywał swoje codzienne stanowisko pomiędzy peronami, kasą i herbaciarnią. Tłum słuchał człowieka stojącego na skrzyni na herbatę i powtarzającego, że wojna niedługo się skończy, że nie wolno tracić nadziei, bo wszystko wszystko będzie miało swój finał przed świętami. Większość słuchaczy biła brawo; kilku na niego krzychało, lecz tych z kolei zakrzykiwali stojący obok.

„Święta” — pomyślał Alfie, kręcąc głową i zabierając jedną ze szczotek z końskiego włosia, nim jakiś otyły mężczyzna w czarnym garniturze zdążył ją rozdeptać. Zawsze ma się skończyć na święta. Ale co napisał Georgie w jednym z listów? „Tylko nie powiedzieli, przed którymi”.

Wyjął z kieszeni *Przypadki Robinsona Kruzo*e i zaczął czytać, starając się nie słyszeć owacji i drwin, które zdawały się wybuchać z równą siłą.

— Obiecuję wam — grzmiał człowiek na skrzyni — że ofiary, które ponosiliście wszyscy, które poczynili wasi bliscy, pozostaną w pamięci na zawsze! — Przy słowach „na zawsze” uniósł głos i rozległy się burzliwe oklaski. — Wygramy tę wojnę z honorem i nasi chłopcy powrócą do domów! — Znowu brawa, kolejna przepychanka i tym razem mała nie upadła na Alfiego jakaś kobieta; miała czelność oprzeć się obiema rękami na jego głowie, żeby nie stracić równowagi. Alfie był oburzony, wprost nie posiadał się z oburzenia. — Będziemy razem przeciw naprzód! — ciągnął mężczyzna. — Zjednoczeni przeciwko tyranii! Nieugięci w swej

stanowczości! Zwycięstwo jest w naszym zasięgu! Koniec już blisko! Niech nic nie mąci waszych serc i głów! Doprowadzimy ten konflikt do końca, nie tracąc więcej krwi. Dziękuję wszystkim!

Ludzie krzyczeli z radości i podrzucali kapelusze — z wyjątkiem jednego człowieka, który stał w pobliżu i kręcił głową. Odwrócił się, spostrzegł, że Alfie mu się przypatruje, i stwierdził:

— Koniec już blisko, święta prawda.

Ale Alfie odwrócił wzrok i z zadowoleniem zobaczył, że tłum zaczyna się w końcu rozchodzić. Rzucił okiem na wielki zegar nad kasą. Piętnaście po drugiej. Jeszcze zdąży nieco zarobić, jeśli dopisze mu szczęście.

— Buty pucuję! — zawołał, starając się nadać swemu głosowi tyle samo siły i przekonania, co mówca sprzed chwili, by nie zagłuszyła go ogólna wrzawa. — Tutaj buty do wyczyszczenia!

— Mnie przydałoby się czyszczenie, młody człowieku — rozległ się głos za jego plecami, a kiedy się odwrócił, ujrzał mówcę we własnej osobie, który stał i patrzył na niego z uśmiechem. Był wysokim, szczupłym mężczyzną z sumiastym wąsem i gęstymi ciemnymi włosami z przedziałkiem na boku. Robił wrażenie zmęczonego, jakby od kilku lat się nie wysypiał, za to w jego oczach lśniła niezłomna stanowczość. Mówił z akcentem, który Alfie nie do końca poznawał. — Mam jeszcze czas, prawda? — spytał innego mężczyznę z dyplomatką, który stał obok niego; tamten zerknął na zegar i kiwnął głową.

— Odrobinę — potwierdził. — Ale o trzeciej musimy być w Pałacu.

— To całe mnóstwo czasu. Mnóstwo — odparł, siadając naprzeciw Alfiego na krzesło dla klientów. — Idź napij się herbaty, Rhodhri, a my tu sobie pogadamy. Rzadko mam okazję porozmawiać z młodzieżą. Jak się nazywasz, chłopcze?

— Alfie.

— Ładnie. — Mężczyzna mądrze pokiwał głową. — W dzieciństwie miałem kolegę imieniem Alfie. Miał sześć spanieli, nazywał je Alfiem Pierwszym, Drugim, Trzecim i tak dalej, jakby były królami.

— Hmm — mruknął Alfie, któremu wydało się to raczej śmieszne. O ile wiedział, istniał tylko jeden król Alfred. Alfred Wielki. To mu się podobało. *Alfie Wielki!*

— No, ale do roboty — orzekł mężczyzna. — Poproszę ładny, błyszczący nosek, usuń kurz z boków i zrób coś z otarciami na piętach. I nie żałuj pasty.

Alfie kiwnął głową. Wyjął szczotki i słoiki, stawiając lewą nogę tamtego na podnóżku.

— Może nie powinienem o to pytać — odezwał się mężczyzna po chwili — ale dlaczego nie jesteś teraz w szkole? Czy może w Londynie zamknięto wszystkie szkoły i nikt nie raczył mi powiedzieć?

— Byłem chory, proszę pana.

— To co tutaj robisz?

— To znaczy nauczyciel był chory. Dlatego zwolnili nas z połowy lekcji.

— Nie wierzę w ani jedno słowo. Ale nie będziemy się kłócić o niewinne kłamstewko. Przynajmniej siedzisz tutaj i zarabiasz na życie, i nie marnujesz czasu, próżnując na ulicach. Mam nadzieję, że oddajesz zarobki matce?

— Tak, proszę pana, oddaję — odparł Alfie, nie wspominając, że część zatrzymał na swoją tajną misję, a teraz odkładał jeszcze trochę więcej na drugą część misji, która wymaga jeszcze dokładniejszego planowania niż pierwsza, ale jest nieskończenie ważniejsza. I znacznie bardziej niebezpieczna.

— To dobrze. I umiesz ładnie czyścić, trzeba przyznać — dodał mężczyzna, przyglądając się rękóm Alfiego, które szybko uwijały się przy jego butach, nakładając potrzebną ilość pasty tutaj, ścierając odrobinę brudu tam, a szmatki i szczoteczki poruszały się, jakby żyły własnym życiem. — Widać, że nie od dziś się tym zajmujesz. Jesteś nie lada zawodowcem, co?

— Dziękuję, proszę pana — odparł Alfie, pukając palcami w czubek lewego buta na znak, że skończone. Mężczyzna zdjął nogę i postawił drugą. Alfie zabrał się z powrotem do roboty.

— Mój kuzyn Thomas czyścił kiedyś buty na stacji w Llanystumdwy — powiedział mężczyzna, wyjmując z kieszeni fajkę i zapalając ją, czekając, aż płomień zapałki zetknie się z nagarem w główce. — Dziwny był z niego facet. Nie chciał się strzyc, ponieważ bał się fryzjerskich nożyczek. Bo wiesz, on uważał, że ma we włosach zakończenia nerwowe. To oczywiście działo się dawno temu. Ale miło tu sobie posiedzieć. Rzadko zdarza mi się tak posiedzieć i nic nie robić.

— Czyli ma pan pracę, proszę pana? — zapytał Alfie, który założył, że mężczyzna jest bezrobotny, skoro ma czas na popisywanie się w środku dnia na dworcu.

— A tak, mam.

— Przemawianie?

— Między innymi. Polityka powinna polegać na robieniu, a nie tylko *mówieniu* o robieniu, zgodzisz się chyba? Ale jak nie kontaktujesz się z ludźmi, gotowi są pomyśleć, że o nich zapomniałeś, i zaczynają rozglądać się za kimś lepszym do tej roboty. Wiesz, kto mi to powiedział?

— Nie, proszę pana.

— Król — odpowiedział z uśmiechem. — Zdarza mu się wygłaszać godne zapamiętania uwagi. Na przykład w zeszłym roku. Gdzieś sobie ją zapisałem. Lada dzień należy spodziewać się następnej. W każdym razie żyjemy nadzieją.

Alfie przestał pracować i uniósł ze zdumieniem głowę.

— Naprawdę spotkał pan króla? — spytał.

— Oczywiście. Wielokrotnie. Widuję się z nim co najmniej dwa, trzy razy w tygodniu. Tak się zresztą składa, że jesteśmy umówieni za jakieś pół godziny.

Alfie uśmiechnął się i potrząsnął głową. W tej pracy spotykał rozmaitych dziwaków i mimo pozorów przyzwoitości i ten człowiek był z pewnością wariatem lub cierpiał na urojenia. Rzucił okiem w kierunku wejścia na dworzec, gdzie stała grupka palących i gawędzących mężczyzn w garniturach, po czym ze zgrozą ujrzał kobietę, która przeszła przez środek tej gromadki i zaczęła rozglądać się po stacji, jak gdyby zabłądziła.

Ostatnia osoba, jaką Alfie spodziewał się dzisiaj zobaczyć.

Jego matka, Margie.

— Pracujesz tu codziennie, chłopcze? — spytał mężczyzna, na co Alfie z powrotem na niego popatrzył i zamrugął.

— Proszę?

— Pytałem, czy pracujesz tu codziennie. Możesz powiedzieć prawdę. Nie będziemy omawiać tego na posiedzeniu gabinetu.

— Cztery dni w tygodniu — odpowiedział Alfie, który jakimś sposobem czuł, że tamten nie doniesie na niego do dyrektora szkoły. — We wtorki, środy, piątki i soboty. W poniedziałki i czwartki chodzę do szkoły.

— A niedziele?

— W niedziele odpoczywam. — Alfie patrzył, jak matka szuka czegoś w torebce; kiedy uniosła głowę, zabrał z podłogi czapkę, wysypał zarobione monety do pudełka pana Janácka i nasunął czapkę na czoło, żeby mniej zwracać na siebie uwagę.

— Nie jesteś wyjątkiem — stwierdził mężczyzna. — Co ja bym oddał za

niedzielny odpoczynek! Czułbym się jak we wszystkie święta naraz.

Alfie znowu odważył się rozejrzeć; matka stała na środku hali i wpatrywała się w tablicę informacyjną, po czym zerknęła na zegar nad kasą. Nagle spojrzała w jego stronę, tak że nie zdążył się odwrócić. Szybko spuścił głowę, jeszcze głębiej nasunął czapkę i skupił się na pucowaniu. Zerknął nieśmiało i z przerażeniem zobaczył, że Margie idzie prosto ku niemu z miną mówiącą, że nie do końca wierzy własnym oczom. Załamany Alfie kręcił głową i czekał. Został przyłapany. Teraz wszystko się wyda.

Nigdy nie zdoła przeprowadzić drugiej części swej tajnej misji.

Georgie już na zawsze będzie skazany na pobyt w tym okropnym miejscu.

— Nie wierzę — mówiła Margie, stojąc już nad nim. — Zastanawiałam się, czy oczy przypadkiem mnie nie mylą.

Alfie już miał zdjąć czapkę, ale wtedy odezwał się mężczyzna:

— Jeśli zastanawia się pani, czy jestem tym, za kogo mnie pani bierze, to tak, jestem.

— Tak mi się właśnie zdawało — oświadczyła Margie. — Znam pana z gazet.

— David Lloyd George — przedstawił się mężczyzna, podając rękę.

— Margie Summerfield.

— Miło mi, proszę pani.

Alfie wstrzymał oddech. Czy to możliwe, że jednak go nie zobaczyła? Stała dosłownie nad nim, tyle że twarz zasłaniała mu czapka. W ogóle nie spojrzała na pucybuta.

— Nigdy bym nie pomyślała, że premier siedzi sobie i daje buty do czyszczenia w środku dnia — orzekła Margie. — Wie pan chyba, że trwa wojna?

— Tak, wiem, pani Summerfield. — Głos męczyzny nabrał trochę głębi. — Lecz nawet premierowi wolno mieć kilka chwil dla siebie.

Alfie nie wierzył własnym uszom. *Premier?*

— Przepraszam, nie chciałam być niegrzeczna — sumitowała się Margie.

— Nie szkodzi.

— Taka jestem zmęczona.

— Proszę się nie martwić, nie obrażę się — zapewnił ją mężczyzna. — Żyjemy w nerwowych czasach.

— Mogę o coś zapytać?

— Może pani.

Margie wyrzuciła bez wahania:

— Kiedy skończy się ta błogosławiona wojna? Tylko proszę nie mówić, że do świąt. Proszę o szczerą odpowiedź, nawet jeżeli ma mi się nie spodobać.

Po długiej przerwie pan Lloyd George po prostu westchnął i wzruszył ramionami.

— Nie wiem — powiedział. — Mam nadzieję, że niedługo. Bardzo niedługo. Czy mogę być z panią całkowicie szczerzy?

— Tak.

— Albo skończy się w ciągu tygodnia, albo będzie się wlec w nieskończoność. To zależy od różnych spraw, które ważą się właśnie teraz. Ale mam nadzieję, pani Summerfield. Ona mnie nie opuszcza. Czy pani mąż tam walczy?

Margie pokręciła głową.

— Już nie.

— Bardzo mi przykro.

— Nie, źle mnie pan zrozumiał — dodała spieszenie. — Nie zginął. Jest w szpitalu.

— Ranny?

— Nie pod względem fizycznym.

— To pod jakim? — zapytał po kolejnej przerwie.

— To się podobno nazywa nerwica frontowa — powiedziała Margie, na co Alfie otworzył szeroko oczy. Tego określenia użyła w pociągu Marian Bancroft.

— A, tak — przyznał pan Lloyd George. — Rzeczywiście, tak to nazywają. Pan Asquith ze mną o tym rozmawiał. Trudno powiedzieć, co to takiego. — Rozmowa stawała się wprost nedorzeczna. Pan Asquith mówił o nerwicy frontowej? Teraz już nic go nie zdziwi. — Gdy wybuch urywa komuś nogi, wszystko jest jasne i widoczne. Gdy jednak ktoś mówi, że ma zniszczony umysł, to nie wiem... — Urwał.

— Uważa pan, że ci żołnierze kłamią? — spytała twardo Margie. — Że są tchórzami i nie chcą walczyć?

— Nic podobnego — odparł. — Rzecz w tym, że nie znam się na tej chorobie.

— To może powinien się pan czegoś dowiedzieć.

— Tak — przyznał pan Lloyd George. — Być może powinienem.

Margie zerknęła na zegarek.

— Na mnie już czas. Jadę do męża, do szpitala.

— W którym leży?

— Wschodniego Suffolk i Ipswich.

— To dobra placówka. Życzę mu rychłego wyzdrowienia.

— Niech pan coś zrobi — powiedziała Margie, pochylając się tak bardzo, że gdyby skierowała wzrok w lewo i nieco niżej, spotkałby się ze spojrzeniem jej własnego syna. — Niech pan coś zrobi, żeby to się skończyło. Proszę.

Po czym obróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku kasy, po drodze otwierając torbę i wyciągając portmonetkę.

— Kobieta w rozpacz — stwierdził pan Lloyd George, z westchnieniem siadając na powrót. — Tylu bliskich zginęło albo zostało rannych. Opowiedz mi o swojej rodzinie, chłopcze. Masz braci? Ojca?

— Nie mam braci — oznajmił Alfie.

— I nigdy nie miałaś?

Alfie zmarszczył czoło; co za dziwne pytanie. Wtedy zdał sobie sprawę, co tamten ma na myśli, i zaprzeczył:

— Nie, zawsze byłem sam.

— A ojciec? — ciągnął pan Lloyd George, w którego głosie zabrzmiał lęk.

— Jak się trzyma?

— Jest we Francji — skłamał Alfie. — Spełnia swój obowiązek. — Wyrażenie, które setki razy słyszał z ust Starego Billa Hempertona.

— Mam nadzieję, że nic mu nie grozi — powiedział premier. — Na pewno jesteś z niego dumny, prawda?

Alfie nic nie powiedział, skinął tylko głową i dalej czyścił buty premiera. Zerknął w stronę kasy i trochę się okręcił, żeby matka go nie dojrzała, gdyby się znowu odwróciła.

— Naprawdę jest pan premierem? — spytał po chwili.

Pan Lloyd George kiwnął głową.

— Jestem, młodzieńcze. Być może trudno w to uwierzyć. Czyli nie wyglądam jak premier?

Alfie zastanowił się.

— Nie wiem, jak powinien wyglądać premier.

— Wyobraź sobie mężczyznę — mówił pan Lloyd George — wzrostu około sześciu stóp. Z wąsami i fajką. Dodaj miły uśmiech i walijski akcent. I już gotowe. Idealny wzór brytyjskiego premiera.

Alfie uśmiechnął się. *Walijski!* No jasne, tak właśnie mówił.

— Znam kogoś, kto chce zostać premierem — oznajmił.

— Tak? A jak się nazywa?

— Kalena Janácek. To dziewczyna.

Pan Lloyd George wybuchnął śmiechem i pokręcił głową.

— Chyba chcesz powiedzieć, że chce zostać *żoną* premiera?

Alfie zmarszczył brwi.

— Nie. Chce być *premierem*. Osobiście.

— No, to radykalna myśl — odparł Lloyd George, zastanawiając się przez chwilę i pykając z fajki. — Ale żyjemy w czasach radykałów, panie Summerfield, więc niczego bym nie wykluczał. Możesz przekazać jej to ode mnie.

— Już jej nie widuję — oświadczył Alfie.

— Czemu? Posprzeczaliście się?

— Pan ją zabrał. Razem z jej ojcem. Posłano ich na wyspę Man.

Premier kiwnął głową z namysłem.

— Janácek — tak powiedziałaś, prawda? Czyli byli Austriakami? Polakami?

— Anglikami. Urodziła się trzy domy ode mnie.

— Dziwne nazwisko dla młodej Angielki.

— Jej ojciec przyjechał z Pragi.

— Czyli na poły Austro-Węgierka, na poły Angielka.

— Nie była ułamkiem.

Pan Lloyd George zmarszczył czoło i z troską popatrzył na chłopca.

— Bystry z ciebie chłopak — stwierdził po długiej chwili.

Alfie znów rzucił okiem w stronę kasy; Margie była już pierwsza w kolejce i rozmawiała z człowiekiem za ladą.

— I jak wypadły, proszę pana? — zapytał, odsuwając się i pozwalając premierowi przyjrzeć się butom.

— Świetna robota, mój chłopcze. Jestem bardzo wdzięczny. Jestem umówiony z Jego Wysokością za dwadzieścia minut, a w kontaktach z monarchami trzeba wyglądać jak najlepiej. Oni mają najbardziej zdumiewające obsesje. — Alfie otworzył szeroko oczy; trudno mu było uwierzyć, że właśnie wyczyścił parę butów, które staną niebawem przed królem. — Oczywiście buty królewskie zawsze lśnią — dodał pan Lloyd George. — Wydaje mi się, że zatrudnia jakiegoś chłopaka specjalnie do tego. Albo całe ich stado. Hoduje ich na własne potrzeby. Czy nie byłaby to wymarzona posada dla takiego młodego człowieka jak ty? — dodał

z uśmiechem i Alfie poczuł, że zaczyna się śmiać. Był to pomysł z innego świata. — No dobrze — podjął premier po chwili. — Ile jestem ci winien?

— Pensa, proszę pana — odpowiedział Alfie, na co premier wyjął z kieszeni trzy pensy.

— Jeden dla ciebie, drugi dla twojej matki i trzeci dla uchronienia ojca przed niebezpieczeństwem. To do zobaczenia, Alfie. Dzięki za buty.

Gdy zmierzał w stronę swojego towarzysza, Margie odeszła od kasy i Alfie obserwował, jak wpatruje się prosto w twarz premiera. Ten był rzecz jasna przyzwyczajony, że mu się przypatrują, dlatego się nie odwrócił, tylko grzecznie skłonił i uchylił kapelusza.

Alfie stanął za filarem i patrzył, jak matka wpija wzrok w mężczyznę, by w końcu potrząsnąć głową i przejść na peron drugi do pociągu. Dopiero gdy zniknęła, Alfie podbiegł do tablicy informacyjnej sprawdzić, dokąd jedzie. Stacja docelowa go nie zaskoczyła: Ipswich.

Alfie zwykle nie czekał tak długo na klientów, ale tym razem był zdecydowany, bo mężczyzna pojawiał się zwykle we wtorek po południu. Czas mijał wolno, ale cierpliwość została w końcu nagrodzona: zobaczył idącego w jego stronę lekarza ze Szpitala Wschodniego Suffolk i Ipswich, tego samego, którego papiery wiatr rozproszył po poczekalni w zeszłym tygodniu. Chłopiec wpatrywał się w niego, przełykając ślinę.

— Poproszę o czyszczenie — zażyczył sobie mężczyzna.

Alfie kiwnął głową i usiadł prosto, raz jeszcze rozstawiając przybory, a tamten usiadł i postawił nogę na podnóżku.

— Chyba się znamy, prawda? Byłeś tutaj w zeszłym tygodniu.

— Jestem co tydzień, proszę pana — oznajmił Alfie. — Mam na imię Alfie.

— Doktor Ridgewell — przedstawił się mężczyzna.

— Czy jest pan żołnierzem, proszę pana?

— W pewnym sensie. Przed wojną byłem lekarzem. Teraz pracuję w wojskowym szpitalu.

— Chciałbym zostać lekarzem — powiedział Alfie, którego nic a nic nie interesowała medycyna, ale wiedział, że dorośli lubią, gdy chłopcy w jego wieku udają zainteresowanie ich pracą.

— Czyżby? — zapytał doktor Ridgewell, wyglądając na zadowolonego. — No tak, od czegoś trzeba zacząć. Wyobraź sobie, że ja zarabiałem kiedyś na kieszonkowe, dostarczając co sobota zakupy klientom sklepu rybnego.

Rzecz jasna dopisało mi szczęście. Mój ojciec także był lekarzem. Tak samo jak przedtem jego ojciec. Ale w szpitalu pracuje jeden człowiek, doktor Morehampton, którego ojciec był akurat węglarzem. A jeszcze inny, doktor Sharpely, jest synem sklepikarza. Tak że różnie się to układa. A czym zajmuje się twój ojciec?

— Jest w wojsku.

— No tak, oczywiście. I bardzo dobrze. Ale co robił przedtem?

— Pracował w mleczarni na Damley Road. Jeździł wozem po mleko.

— Porządna praca — stwierdził doktor Ridgewell, kiwając głową, zadowolony z odpowiedzi. — I przypuszczam, że niedługo zajmie się tym znowu. Bo wiesz, ta wojna skończy się do świąt. Nie ma już co do tego żadnych wątpliwości.

Alfie zamilkł.

— Jakiego rodzaju lekarzem pan jest? — spytał po pewnym czasie, kończąc jeden but i zajmując się drugim.

— To znaczy?

— Czy leczy pan ludzi, kiedy się przeziębą? Czy wtedy, kiedy złamią nogę?

— To dość skomplikowane — odparł doktor Ridgewell. — Na pewno chcesz się dowiedzieć? — Alfie przytaknął. — No dobrze. Zajmuję się medycyną umysłu. Ludźmi, którym brak piątej klepki, jeżeli wiesz, co mam na myśli. Którym trochę odbiło. Zabłądzili w lesie i widzą tylko drzewa. Domyślasz się, o co mi chodzi?

— Raczej nie. — Alfie nie miał pojęcia, co to wszystko oznacza.

— Szaleńcami — wyjaśnił doktor Ridgewell. — Wiesz, co to znaczy oszaleć, prawda?

— Tak. Czasami zdaje mi się, że ze mną dzieje się coś podobnego.

— No, to wiesz, o czym mówię. Opiekuję się ludźmi, w których głowach jest bałagan. — Postukał się palcem w czoło. — Oczywiście w dzisiejszych czasach zdarza się to dość często. Wracający z okopów. To znaczy ci, którzy wracają żywi. Bo widzisz, im nie jest łatwo. Naoglądali się strasznych rzeczy, doznali wielkiego wstrząsu. A to może zakłócić stare dobre funkcje rozumowania.

— I co się z nimi dzieje? — zapytał Alfie, przestając czyścić but i podnosząc głowę.

— Różnie to bywa — odrzekł doktor Ridgewell. — Niektórzy w ogóle nie mogą z tego wyjść. Rzecz jasna jest jeszcze za wcześnie, żeby powiedzieć

coś na pewno, ale niektórzy prawdopodobnie są już na dobre straceni. Inni być może wyzdrowieją po wielu latach. Jeszcze innym trzeba przemówić do rozsądku, żeby wrócili do normalności. Jak mówię, różnie to bywa. Nie ma ustalonych prawideł.

— Czy umierają? — zapytał Alfie, marszcząc brwi.

— Ależ nie — zachnął się doktor Ridgewell. — Widzisz, to nie jest tego rodzaju choroba. Choć o niektórych można chyba powiedzieć, że umarli za życia. Faceci, którzy przeżyli tyle ostrzałów i bombardowań i oglądali tak wiele okropności, że ich umysł zbiera manatki i oznajmia właścicielowi: „Ty idziesz swoją drogą, a ja swoją”. To paskudne zajęcie. No, ale właśnie tym się zajmuję. Staram się złożyć ich z powrotem w całość. Jak nam tam idzie? Skończone?

Alfie kiwnął głową i zebrał szmatki.

— Lśnią jak nowe — oświadczył.

— Doskonała robota — potwierdził doktor Ridgewell. — Wiesz co, naprawdę jesteś w tym dobry. Jeśli pewnego dnia postanowisz zostać lekarzem, będzie to wielka strata dla branży obuwniczej! — Wstał i wrzucił pensa do czapki Alfiego. — No, to do zobaczenia, najpewniej za tydzień.

„Tak” — myślał Alfie, gdy tamten się oddalał.

„Być może”.

Cii, to z wizgiem leci pocisk

Zielona farba na drzwiach zaczynała pękać i Alfie widział prześwitujące spod niej blizny czerwieni. Stał przed nimi nerwowo, nie bardzo wiedząc, czy to dobry pomysł, ale nim się namyślił, drzwi się otwały i oto zjawił się przed nim Joe Patience. Obdżektor spod numeru szesnastego.

— Alfie — powiedział zaskoczony. — Zdawało mi się, że kogoś słyszę. Zaczynałem się bać. Dobrze, że to tylko ty. — Wyjrzał na ulicę, sprawdzając, czy nie ma tam nikogo innego, po czym wrócił do sieni.

— Dzień dobry, panie Patience.

— Panie Patience? Mam na imię Joe, przecież wiesz. Tak w ogóle co cię tutaj sprowadza? Dawno nie pukalesz do tych drzwi.

— Chciałem o coś zapytać. Potrzebuję pomocy.

Joe uniósł brew. Siniec wokół oka nieco się zagoił w ciągu kilku ostatnich dni; rozmaite kolory zbladły i przybrały jednolity, jasnosiny odcień, i stłuczenie nie robiło już wrażenia tak tkliwego.

— Nikt inny nie przyszedł mi do głowy — ciągnął Alfie. — Bo wiesz, mam taką tajną misję. To znaczy na jednej już byłem, a teraz mam następną.

Joe zmarszczył czoło, jakby nie bardzo wiedział, jak postąpić, ale w końcu zaprosił Alfiego do środka.

— Będzie chyba lepiej, jak wejdiesz. Wolę nie zostawiać zbyt długo otwartych drzwi do domu.

Alfie zawsze się dziwił, że kiedy wchodzi do dowolnego domu na Damley Road, czuje się tak jak u siebie, z wieloma drobnymi różnicami. Pokoje miały takie same kształty i rozmiary, korytarze prowadziły w tych samych

kierunkach — lub w ich lustrzanym odbiciu — ale podczas gdy u siebie znał krawędź każdego mebla i wszystkie rzeczy należące do rodziców — ozdoby, bibeloty, jaśki — przedmioty w cudzych domach zdawały mu się całkowicie obce.

W pokoju stołowym Joego uderzyła go po pierwsze liczba książek. Ściany zastawione regałami i każde wolne miejsce zajęte przez tomy w twardych oprawkach, niektóre w językach, o których Alfie nie miał nawet pojęcia. Joe zauważył zdumienie w oczach Alfiego, który rozdziawił usta, i uśmiechnął się.

— Lubisz czytać, Alfie? — zapytał.

— Lubię *Przypadki Robinsona Kruzoe*. Prezent od pana Janácka na piąte urodziny. Wtedy szło mi jak po grudzie, ale od tego czasu przeczytałem całego trzy razy. To najlepsza książka na świecie.

— To z pewnością dobra książka — zgodził się Joe Patience. — Ale powinieneś wstrzymać się z oceną, zanim nie przeczytasz o wiele więcej. Jakie jeszcze znasz książki?

Alfie pokręcił głową.

— Tylko opowiadania ze szkoły. Żadne z nich nie jest tak dobre jak *Robinson Kruzoe*. Przeczytałeś wszystkie te książki? — spytał, zastanawiając się, ile ich tutaj jest. Obejrzał się w stronę korytarza, gdzie wzdłuż obydwu ścian też stały książki, i kuchni z jeszcze jednym rzędem nad kuchenką. Klarnet Joego stał oparty o kuchenny stół. Kiedyś grywał na nim na ulicy, oczywiście jeszcze przed wojną. Słyszała go cała ulica. Teraz grał tylko w domu, dla siebie.

— Większość. Ostatnio nie mam w zasadzie nic innego do roboty. To co, powiesz mi, co tu robisz, czy mam zgadywać?

Alfie wpatrywał się w Joego, zastanawiając się, jak najlepiej ubrać to w słowa. Był rówieśnikiem Georgiego — miał trzydzieści jeden lat — lecz wyglądał o wiele starzej. Miał duże worki pod oczami, być może od czytania, a może z braku snu, i bliznę na jednym z policzków. Nad lewą skronią miał kawałek bardzo gładkiej skóry, na której nie chciały rosnać włosy. Wyglądało to tak, jakby poważnie się poparzył.

— Znasz mojego tatę — zaczął wreszcie Alfie.

— Jasne. — Joe zaśmiał się krótko. — Razem dorastaliśmy. Przecież wiesz.

— A wojnę znasz?

Joe chwilę się zastanowił, po czym kiwnął głową.

— Znam — odparł.

— No, a jak tata pojechał na wojnę, bez przerwy dostawaliśmy od niego listy i wyglądało, że doskonale się bawi — mówił Alfie, czując, jak słowa zaczynają się z niego wylewać na wyścigi, kiedy stara się opowiedzieć Joemu wszystko, co wie. — Ale potem listy przestały przychodzić, a przynajmniej mnie się tak zdawało, bo tak naprawdę mama zatrzymywała je dla siebie i mi nie pokazywała, ale znalazłem je — schowane pod materacem — czytałem i niewiele z nich rozumiałem. To znaczy z początku wiedziałem, o co chodzi, bo opowiadał o wszystkich tych okropieństwach, ale po jakimś czasie przestał o nich pisać i wszystko się poplątało.

— Powoli, powoli — powstrzymał go Joe, unosząc rękę do góry. — Tata pojechał na wojnę, to zrozumiałem. Jeżeli martwisz się, że się nie kontaktuje, to wiesz, żołnierze nie zawsze mają kiedy pisać. Oczywiście walczą i...

— Mój tata nie walczy — oznajmił Alfie, kręcąc głową.

— Nie? — zapytał Joe, odwracając wzrok, aż Alfiego zatkało ze zdumienia.

— Wiesz o tym, tak? Wiesz, co się dzieje z tatą!

— Co?

— Wiesz!

— Alfie, to nie trzyma się kupy.

— Tata jest w szpitalu. Kilka godzin drogi stąd. Leży tam od... no, w sumie nie wiem, od jak dawna.

— Aha — powiedział Joe Patience.

— Tylko że ja mam tego nie wiedzieć.

— To skąd wiesz?

— Jestem sprytny — stwierdził Alfie. — Domyśliłem się. Ale ty po prostu wiedziałeś, prawda? Widzę po twojej minie.

Joe przytaknął.

— Tak, wiedziałem. I co, odwiedziłeś go, Alfie?

— Tak.

— Poznał cię?

— W końcu tak. Ale nie był taki jak dawniej. W jednej chwili mnie poznawał, a zaraz potem już nie. A potem przyszły pielęgniarki i musiałem zmykać. Ale zdążył jeszcze coś krzyknąć. Pielęgniarki nie zwróciły na to uwagi, ale ja tak. Usłyszałem to słowo i wiem, że wołał do mnie.

— Co powiedział?

— Dom.

Joe uniósł brew, wziął papierosa i go zapalił. Alfie zauważył, że dorośli tak robią, gdy chcą się nad czymś dobrze zastanowić. Biorą zapalki i tytoń.

— A ty go odwiedziłeś? — zapytał po chwili Alfie.

Joe kiwnął głową, zaciągając się papierosem.

— Co tydzień. To znaczy odkąd wyszedłem z więzienia.

— Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

— Twoja mama prosiła. Ale skoro już wszystko wiesz, nie ma chyba sensu dłużej kłamać. Co na to wszystko Margie?

— Ona nic nie wie — przyznał Alfie. — Nie powiedziałem jej.

Joe kiwnął głową, jakby w ogóle go to nie zaskoczyło.

— Mogę cię o coś zapytać? — odezwał się po dłuższej chwili Alfie.

— Jasne. — Joe wzruszył ramionami. — O co tylko chcesz.

— Dlaczego nazywają cię obdźektorem spod numeru szesnastego?

Joe zmarszczył czoło.

— Bo tutaj mieszkam.

— Nie. — Alfie pokręcił głową. — To rozumiem. Tylko to pierwsze... Co to takiego obdźektor?

Joe uśmiechnął się blado.

— Nie wiesz, co znaczy to słowo?

— Nie.

Joe kiwnął głową.

— W sumie to nie jest żadne słowo, tylko skrócona wersja. Tak jak ze Starym Billem Hempertonem, wszyscy mówią na niego Bill, chociaż naprawdę ma na imię William.

— To czego skrótem jest obdźektor?

— *Conscientious objector* — oznajmił Joe. — To osoba, która nie chce iść na wojnę ze względów humanitarnych, religijnych lub politycznych.

Alfie zmarszczył czoło i wbił wzrok w dywan, zwracając uwagę na pętle w deseni i ich zachodzenie na siebie. W tym zdaniu było wiele słów, których nie rozumiał. Podniósł głowę, zbity z tropu.

— Na początku — tłumaczył Joe — przed przymusowym poborem, ludzie zaciągali się z własnej woli. To znaczy chcieli walczyć. Twój tata zgłosił się zaraz pierwszego dnia, pamiętasz? — Alfie przytaknął. — Widzę go jak dziś, idzie Damley Road w mundurze, puszy się jak paw. Akurat byłem przed domem, myłem okna. „Georgie”, powiedziałem, „chyba się nie

zgłosiłeś, co? Powiedz, że nie”. „Walczę za króla i ojczyznę”, tak mi powiedział. „Za co? Czy król coś dla ciebie kiedyś zrobił?” „Nic szczególnego. Ale trzeba...” — i tym podobne głupoty. Pamiętam, że patrzyłem na niego, Alfie, jak gdyby stracił rozum. Jak gdyby całkowicie przestał panować nad sytuacją. „Chyba zwariowałeś”, powiedziałem mu. „Tak teraz mówisz, Joe, ale przyjdzie na ciebie pora. Nie skończy się tydzień, a się zgłosisz”. „W tym dniu świnie będą latać nad parlamentem, Georgie. Nie idę na ochotnika zabijać ludzi. Co mi zrobili Niemcy? Nic szczególnego”. Ale twój tata tylko się roześmiał, pokręcił głową i powtórzył, że przyjdzie na mnie pora. Patrzyłem, jak wchodzi do domu, i zastanawiałem się, co tam się dzieje. Co na to twoja mama. Co myślisz ty.

— Babcia Summerfield mówiła, że już po nas, że już zupełnie po nas — powiedział Alfie.

— I niewiele się pomyliła, prawda? Warto słuchać babci, Alfie. Niektórzy starsi ludzie naprawdę wiedzą, o co w tym wszystkim chodzi. Z niejednego pieca chleb jedli.

— Ona niezbyt cię lubi — stwierdził cicho Alfie.

— Kiedyś było inaczej. Po prostu mnie nie rozumie. Ale to dobra kobieta, Alfie. Dużo dla mnie zrobiła, gdy byłem mały. Doprowadziła mnie do porządku, kiedy... to znaczy opiekowała się mną po tym...

— Po czym?

— Mój stary okropnie mną poniewierał — mówił Joe, spuszczać głowę i wolno przestępując z nogi na nogę. — Nad mamą też się znęcał. Od razu leciał z pięściami. Naturalnie się go bałem. Wiesz, kto się go nie bał?

— Kto?

— Twoja Babcia Summerfield. Chowiała mnie u siebie do szafy, kiedy ojciec wkraczał na wojenną ścieżkę. Kiedyś mało nie wyłamał jej drzwi, bo szukał mnie dlatego, że zapomniałem wyrzucić nieczystości z wychodka. Wzięła wałek do ciasta, stanęła przed nim i bez drgnięcia powieką zapowiedziała: „Jeśli nie wyjdiesz zaraz z tego domu, Samie Patience, rozwalę ci głowę na pół, słyszysz mnie?”. Musiała go wystraszyć, bo sobie poszedł. Twarda z niej sztuka, trzeba jej to oddać.

Alfie próbował sobie wyobrazić, jak Babcia Summerfield stawia czoła łobuzowi!

— Gdy byłem już z twoim wieku — ciągnął Joe — zmusiła go, żeby w ogóle przestał nas bić.

— Jakim sposobem?

— Zwołała kilku mężczyzn z Damley Road i kazała im złożyć mojemu staremu wizyte, by wyjaśnić mu parę spraw. Dojść z nim do ładu. Nie wiem, co mu powiedzieli, ale od tego czasu nie tknął mnie ani mamy. A kiedy umarł — przejechał go wóz z węglem, gdy wracał do domu pijany jak bela — twoja babcia dopilnowała, by nie zabrakło nam opieki. Wiem, co o mnie teraz myśli, Alfie — widzę to na jej twarzy, gdy mijamy się na ulicy — ale zawdzięczam tej kobiecie bardzo dużo. Żałuję tylko, że nie umie mnie zrozumieć, to wszystko.

— Nie lubi obdzektorów — stwierdził Alfie. — Ale nie chciała też, żeby tata zgłaszał się do wojska. To nie ma sensu.

— Posłuchaj, Alfie. — Joe zgasił papierosa i zapalił kolejnego. — Ja też nie zgadzałem się z tym, co on robił. Uważałem go za szaleńca. Ale podziwiałem go za to. Nie myślał tylko o sobie. Przy okazji nie myślał też oczywiście o rodzinie, ale tę sprawę na razie zostawmy. Ruszył w drogę, tak jak wielu innych z naszej okolicy. W 1914 była taka gorączka zaciągania się do wojska, Alfie, gorączka. Wszystkim zdawało się chyba, że to niezła heca. Ale przynajmniej on przeżył. Pomyśl o Charliem Sliptonie spod dwudziestego pierwszego. Niedługo wytrzymał, prawda?

— Bez powodu rzucił mi w głowę kamieniem — zauważył Alfie, który jakoś nie mógł o tym zapomnieć.

— Może celował w coś innego i nie trafił. Uderzył cię przypadkiem. W każdym razie kiedy w 1916 wprowadzili pobór przymusowy, każdy zdrowy mężczyzna pomiędzy osiemnastym a czterdziestym pierwszym rokiem życia musiał się zgłosić, chyba że był wdowcem i musiał opiekować się dziećmi. Bez żadnych wyjątków! Bez prawa do własnego zdania! Ale tu pojawili się obdzektorzy. Bo wiesz, było nas bardzo dużo. Sprzeciwialiśmy się i nie chcieliśmy walczyć.

— Bałeś się? — spytał Alfie.

— Tak! — Joe nachylił się i spojrzał chłopcu prosto w oczy. — Pewnie, że się bałem. Jaki idiota nie bałby się jechać do jakiegoś obcego kraju, kopać okopów i zabijać tylu obcych, ilu się da, zanim jakiś obcy zabije ciebie? Tylko wariat by się nie bał. Ale to nie strach powstrzymywał mnie przed wojną, Alfie. Nie świadomość, że zostanę ranny albo zginę. Wręcz przeciwnie: to, że nie chciałem nikogo zabić. Nie znalazłem się na tej ziemi, żeby zabijać bliźnich. W dzieciństwie poznałem przemoc — rozumiesz to? Nie znoszę jej. To, co zrobił mi ojciec... rozbiło coś w mojej głowie, to wszystko. Ale gdybym teraz zdzielił kogoś na ulicy młotkiem

i posłał go do Stwórcy, zamknęliby mnie za to do więzienia. Może nawet by mnie powiesili. Ale za to, że nie chcę jechać do Francji i robić tego samego, też wsadzają mnie do więzienia. Gdzie jest w tym wszystkim sprawiedliwość, możesz mi powiedzieć? Gdzie sens?

Alfie przypomniał sobie długi okres, prawie dwa lata, kiedy nie widział Joego Patience. A gdy z powrotem pojawił się na Damley Road, wyglądał inaczej. Jak gdyby starszy i smutniejszy. I miał wszystkie te blizny.

— To co się z tobą stało? — zapytał Alfie.

— Aresztowali mnie. — Joe wzruszył ramionami. — Postawili przed sądem. Orzekli, że jestem tchórzem. Wsadzili do więzienia. W ten sposób moje życie zaczęło być usłane białymi piórami.

— Białymi piórami? — Alfie zmarszczył czoło.

— Tak robią. Przeważnie kobiety. Mężczyźni po prostu atakują. Kobiety rozdają białe pióra. Każdemu młodemu mężczyźnie, który nie jest w mundurze. Oznacza to, że jesteś tchórzem. To okropne, Alfie, naprawdę. Podchodzą na ulicy, całe uśmiechnięte; zachowują się, jakby były przyjaciółkami sprzed lat czy kuzynkami, koleżankami ze szkoły albo tak, jakbyś im się spodobał, a kiedy stajesz, sięgają do torebki, nic nie mówią, wyjmują białe pióro i wciskają ci do ręki. A potem po prostu bezczelnie odchodzą. Nie zająkną się nawet słowem. I wszyscy widzą, co się dzieje, cała ulica. Każdy patrzy. Równie dobrze mogłyby wziąć rozżarzony pręt i napiętnować człowieka jako tchórza. To straszne, Alfie, to jest straszne.

Alfie przypomniał sobie młodego klienta, który wybierał się na pogrzeb brata. Coś o tym wspominał. „Pewna kobieta podeszła do mnie na środku Piccadilly Circus, być może nie zauważyła laski, wzięła torebkę i na oczach wszystkich...”

— A więzienie? — odezwał się po chwili Alfie. — Jak tam było?

— A jak ci się zdaje? Wsadzili mnie, bo nie chciałem się bić, a tam biłem się więcej niż kiedykolwiek przedtem. Więźniowie uwzięli się na mnie za moje przekonania. Oczywiście nie wszyscy. Siedzieli też inni obdżektorzy i wszyscy byliśmy na zmianę bici. Widzisz tę bliznę? — Joe wskazał głęboką bruzdę na policzku i Alfie kiwnął głową. — Pamiątka z więzienia. A to... — Pokazał oparzenie na głowie. — Lepiej, żebyś nie wiedział, jak do tego doszło ani co mi zrobili. W każdym razie kiedy wyszedłem, nie wiedziałem, co z sobą zrobić. Więc wróciłem do domu. Tak się dziwnie składa, że nie jest już tak źle. Zauważyłeś może, że kuśtykam. — Alfie przytaknął; zauważył. — Stało się to, kiedy podpadłem jednemu

współwięźniowi. Tak że teraz kuleję, mam blizny i mogę przebyć cały Londyn i nie dostanę ani jednego białego pióra, bo ludziom się wydaje, że byłem ranny. Wiesz, jak się to nazywa, Alfie?

Alfie pokręcił głową.

— Ironia — wypalił Joe, uśmiechając się blado, ale bez wielkiej radości. — To się nazywa ironia. Przeczytasz coś więcej niż *Przypadki Robinsona Kruzoa*, to natkniesz się czasami na to słowo.

— A siniaki na twarzy? — spytał Alfie. — Te świeże?

— Moja wina — odparł Joe z gorzkim uśmiechem. — Nie powinienem otwierać drzwi po ciemku. Pijacy. Przychodzą po zamknięciu pubów.

Alfie zastanawiał się nad tym długo i usilnie. Dyszał przez nos, gdy namyślał się nad wszystkim, co usłyszał od Joego, a tamten nie mówił nic, czekał tylko na jego słowa.

— Nie masz ochoty stąd wyjechać? — zapytał w końcu Alfie. — Ludzie byli dla ciebie tacy podli. Nie chcesz zamieszkać gdzie indziej?

— A gdzie? To jest mój dom.

— Gdzieś, gdzie mógłbyś zacząć od nowa. Ożenić się, mieć dzieci.

Joe uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Wątpię, żeby jakaś kobieta ze mną wytrzymała.

— Czemu nie? Czytałem w gazetach, że teraz wszystkie dziewczyny szukają mężów. W Londynie jest niepobór młodych mężczyzn, tak piszą.

— Niedobór — poprawił Joe.

— I Helena Morris się w tobie durzyła, każdy to wie. Mógłbyś się z nią ożenić.

— Wolałbym przebić językiem dziurę aż do samego środka Ziemi — powiedział Joe, klepiąc się po kolanie i robiąc wrażenie niespokojnego. — Niektórzy mężczyźni są stworzeni do miłości, Alfie. Na przykład twój tata. Pamiętam, jak poznał twoją mamę. Nigdy nie widziałem nikogo tak zakochanego! I ona też go pokochała. Wszystko poszło jak z płatka. To takie niesprawiedliwe. Niektórzy... tak, nie mamy takiego szczęścia.

— Uważasz, że tata zrobił źle? — zapytał Alfie, nie bardzo wiedząc, o czym mówi Joe, ale pewny, że ma to coś wspólnego z poglądami, przez które napisał sobie tyle biedy.

Joe Patience pokręcił głową.

— Ja nie nakazuję ludziom, co mają robić. Co mają myśleć i czego nie myśleć. Po prostu żyję swoim życiem. Twój tata jest dzielnym człowiekiem i zrobił, co uważał za słuszne. Ale ja też jestem odważny. Być może w to

nie uwierzysz, Alfie, tak samo jak te kobiety na Trafalgar Square i Piccadilly Circus, i przechadzające się po Regent Street tak, jakby miały pojęcie o odwadze. Ale jestem.

— Chcę przywieźć go do domu — oznajmił Alfie.

— Kogo?

— Tatę.

— Ale on jest w szpitalu. — Joe zmarszczył brwi.

— Wcale mu się tam nie polepsza. To jest okropne miejsce. Śmierdzi, wszędzie jest krew, a wszyscy pacjenci krzyczą albo wariują. Nie mogę go tam zostawić. Jeśli przywiozę go do domu, razem z mamą pomożemy mu wyzdrowieć. To my go wyleczymy.

Joe zmarszczył czoło, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Przechodziła pani Milchlin spod numeru siódmego, spluwając na jego drzwi.

— Musisz pomówić o tym z mamą — stwierdził nareszcie Joe.

— Nie.

— Czemu?

— Gdy go znalazłem, wróciłem prosto do domu opowiedzieć mamie. Wydawało mi się, że może ona rzeczywiście wierzy, że tata jest na tajnej misji na zlecenie rządu. Ale poszła do szpitala na nocną zmianę, a gdy wróciła, już spałem. Nazajutrz poszła do pracy, a ja na King's Cross czyścić buty...

— Że co?

— Czyścić buty — powtórzył. — W ten sposób pomagam mamie. Mimo wojny sporo ludzi chce chodzić w czystych butach. Spełniam swój obowiązek, prawda? I widziałem, jak wsiada do pociągu do Ipswich. Więc wie, że on tam leży, ale postanowiła go tam zostawić. Nie rozumie, że lepiej byłoby przywieźć go do domu.

Joe zrobił kilka rund po pokoju, wzburzony.

— Ona ma prawdopodobnie rację, Alfie. Szpital to dla niego najlepsze miejsce. Wiem, że jest tam okropnie, ale musimy wierzyć, że lekarze wiedzą, co robią. Zaopiekują się nim. Podlecą go.

— Ale on ledwie mnie poznał! — krzyknął Alfie, prostując się. — Nie polepsza mu się. Tam go nie wyleczą. Ja go wyleczę. Jak wróci tutaj, gdzie jest jego miejsce.

— Alfie, po co tu jesteś? — zapytał Joe, podnosząc ręce do góry. — Po co z tym do mnie przyszedłeś?

— Bo Stary Bill Hemperton mówił, że chodzisz własnymi ścieżkami,

a tata jest twoim najlepszym przyjacielem, więc przyszedłem poprosić cię o pomoc.

— Pomoc w czym?

— W wykradzeniu go.

Joe wytrzeszczył oczy.

— Wykradzeniu go? Chcesz wykraść ojca ze szpitala?

— I przywieźć go do domu. Sam nie dam rady. Pomyślałem sobie, że mógłbyś mi pomóc.

Joe pokręcił głową.

— Tego nie mogę zrobić, Alfie. Zdaje ci się, że mu pomagasz, a tak naprawdę możesz mu zaszkodzić.

— Nie! — zawołał Alfie.

— Musisz porozmawiać z mamą. Albo babcią! Powiedzieć im, co wiesz. Może pojedziecie tam wszyscy. Mogą spodobać mu się odwiedziny trzech osób, które kocha najbardziej na...

— Nie — uparł się Alfie. — Musisz mi pomóc. Nie mogę zaufać nikomu innemu.

— No, to przykro mi. — Joe potrząsnął głową. — Nie mogę.

Alfie zacisnął pięści i w złości walił w wersalkę. Jeden z jaśków pękł i wyleciało z niego całe wypełnienie. Gapił się na latające w powietrzu białe pióra, po czym chwycił jedno z nich, podbiegł do Joego i przycisnął mu je do piersi.

Joe patrzył na nie bez wyrazu.

— Och, Alfie — powiedział z głębokim westchnieniem bólu, takiego bólu, jakiego Alfie nie słyszał jeszcze nigdy w głosie mężczyzny; a gdy wypowiedział jego imię, Alfie wypadł na korytarz, otworzył drzwi wyjściowe i rzucił się na ulicę, biegnąc Damley Road ile sił w nogach, chcąc znaleźć się jak najdalej od wszystkich jej mieszkańców.

Spakuj zmartwienia do starej torby

Alfie chciał pojechać do szpitala wczesnym pociągiem, więc znalazł się na dworcu King's Cross tuż po dziesiątej rano. Był poniedziałek — dzień historii — czyli zazwyczaj poszedłby do szkoły, ale na dzisiaj miał inne plany, bo zamierzał uratować ojca, wykradając go ze szpitala.

Z workiem marynarskim na ramieniu kupił jeden bilet do Ipswich i z powrotem i jeden z Ipswich do Londynu (przecież Georgie nie będzie tam wracał). Tym razem bez trudu znalazł peron i usadowił się w kącie przedziału, nie odzywając się do nikogo i usiłując czytać *Przypadki Robinsona Kruzoa*.

Gdy dojeżdżali do miejsca, gdzie tydzień temu wysiadali z Marian, rozejrzał się, czy przypadkiem nikt inny nie ma zamiaru tutaj wysiąść, a gdy okazało się, że nie, zmartwił się, że pociąg wcale nie stanie. Ale po kilku chwilach z ulgą poczuł, jak zwalnia obroty i ze zgrzytem hamuje. Wskoczył z niego i skierował się wąską drogą w stronę rozwidlenia, a stamtąd ścieżką do szpitala Wschodniego Suffolk i Ipswich.

Postał trochę przed bramą główną, sprawdzając, czy nikt nie wyjdzie i nie będzie pytał, co tutaj robi. Pobiegł za drzewo załatwić potrzebę i czując, że lepszy moment nie nadejdzie, co sił w nogach popędził podjazdem. Z drzwi szpitala wyszedł pies, który zaczął na niego warczeć, i Alfie znieruchomiał. Bał się psów od czasu, gdy miał trzy lata i terrier Jacka Tamorina spod numeru dwudziestego ugryzł go w rękę, kiedy dawał mu kość. Patrzył i czekał, co się stanie, ale pies przestał się chyba nim interesować i w końcu potruchtał z powrotem do środka.

Kto przyprowadza do szpitala psa? — dziwił się Alfie. To chyba niezbyt

higieniczne.

Za jego plecami otworzyło się jakieś okno i przylgnął mocniej do ściany, kiedy głowa młodej kobiety wyjrzała na podjazd. Byli tak blisko, że mógłby podnieść rękę i ją dotknąć, ale ona nie spojrzała w dół, pod parapet, tylko cały czas patrzyła w stronę bramy.

— Nie ma nikogo, Bessie — powiedziała, odwracając się. — Chyba masz przywidzenia. Odbiło ci. Po prostu potrzeba ci Henry’ego, nic więcej.

— Marzenia ściętej głowy — odpowiedziała niewidoczna osoba ze środka. — Ostatnio był gdzieś pod Antwerpią. Będzie dobrze, jak zobaczę się z nim przed świętami.

— Do tego czasu wszystko się skończy — stwierdziła pierwsza, zamykając okno, tak że Alfie nie usłyszał już odpowiedzi. Miał tylko nadzieję, że nie była entuzjastyczna.

Przemknął za wąż budynku i dalej ścieżką w stronę luki w żywopłocie, gdzie w zeszłym tygodniu pacjenci siedzieli sobie na słońcu, mając nadzieję, że nie będzie tam młodzieńca z rzadkimi ciemnymi włosami, który go złapał za rękę, ale w tej części ogrodu było pusto; na pewno wszyscy mężczyźni siedzą w środku. Stół, na którym leżały jabłka i gazety, wciąż tam stał, na nim usadowił się kos, przekrzywiając na wszystkie strony główkę w poszukiwaniu okruchów. Alfie przeszedł dalej, na polanę, i zastał tam dwóch mężczyzn na krzesłach kąpielowych, opatulonych w ciężkie płaszcze i z pledami na kolanach. Sprawiali wrażenie całkowicie spokojnych, ale nie odzywali się do siebie. Drugi był odwrócony tyłem, tak jak przed tygodniem Georgie, i Alfie nie widział jego twarzy.

— Dzień dobry — odezwał się mężczyzna bliżej niego, odkładając książkę na kolana i zdejmując okulary. — Kogo my tutaj mamy?

Alfie spojrzał na niego i zawahał się; dzisiaj nie miał ochoty wdawać się w rozmowy, ale wołał nie wzbudzać podejrzeń, żeby przypadkiem nie wezwali lekarza albo pielęgniarki.

— Alfie Summerfield — przedstawił się.

— Miałem brata imieniem Alfie — oświadczył mężczyzna, uśmiechając się. — Kostucha przysłała po niego pod Ypres. Cholernie trudne słowo do wymówienia, Ypres, nie uważasz? Długo trwało, zanim się go nauczyłem.

— Tak, proszę pana — przytwierdził Alfie, mijając go, żeby dotrzeć do drugiego mężczyzny.

— Nie odchodź — powiedział mężczyzna i coś w jego głosie, jakieś błaganie, kazało Alfiemu przystanąć i na niego spojrzeć. Nie był zbyt stary.

Mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Nie wyglądało na to, żeby odniósł jakiegokolwiek rany, i chyba niedawno się mył, bo pachniał mydłem i miał miękkie włosy. — Co ty w ogóle tutaj robisz? Rzadko widzujemy tu chłopców w twoim wieku. Właściwie wcale.

— Szukam taty — oświadczył Alfie.

— Czy jest lekarzem?

Alfie miał już zaprzeczyć, powiedzieć, że jest pacjentem, ale rozmyślił się.

— Tak. Myślałem, że go tu znajdę.

— Z lekarzami widzujemy się tylko w środku. Tu opiekują się nami pielęgniarki. To dobrze — są o wiele ładniejsze. Ale powiedz mi, gdzie byłeś?

Alfie wpatrywał się w niego, nie bardzo wiedząc, co znaczy to pytanie.

— Gdzie byłem? — powtórzył.

— Tak, gdzie byłeś? We Francji czy w Belgii? Alfie zmarszczył czoło.

— Ani tu, ani tu.

Mężczyzna nachylił się i zmarszczył brwi.

— Ale nie jesteś obdżektorem, co?

— Nie, proszę pana.

— No, to dobrze. — Westchnął i oparł się wygodniej. — Boli, prawda?

— Co?

— Nie słyszysz tego w głowie? Bo ja tak. Chociaż w ogrodzie jest spokój. Proszę, żeby mnie tu wyprowadzali, niezależnie od pogody. W środku nie mogę wytrzymać. Cały ten płacz i zgrzytanie zębów. Człowiek czasami czuje się jak w czasach biblijnych.

Jakby na dany sygnał od strony budynku rozległ się łoskot, jak gdyby drzwi zatraskujących się od przeciągu w korytarzu. Alfie obrócił się w tamtą stronę, a gdy popatrzył z powrotem na mężczyznę, tamten miał zamknięte oczy i wyglądał, jak gdyby powoli liczył w myślach.

— Doktor Ridgewell tak mi każe — odezwał się po chwili, rozwierając oczy i siląc się na uśmiech. W sumie jestem zupełnie zdrowy. Wracam do domu w poniedziałek. Jaki dziś mamy dzień?

— Poniedziałek.

— Aha. — Mężczyzna zaczął się zastanawiać. — Na pewno coś im się pomyliło. To trudne słowo, prawda? Ypres. Ale tacy już są Francuzi. Nie lubią ułatwiać życia. Wiesz, znałem jedną dziewczynę w Paryżu. Drobną perełką. Pracowała w bistro przy Avenue de la Motte-Picquet. Myślałem,

czy by się z nią nie ożenić, ale wiedziałem, co powiedziała by ojciec, gdybym ją przywiózł do domu. Bo wiesz, on nie znosi ludzi z kontynentu. I ma pieniądze, więc zakłada, że wszyscy mają na nie chrapkę. Mnie tam nigdy nie zależało na pieniądzach. Łatwo się mówi, gdy ma się ich dużo.

Alfie spoglądał w kierunku mężczyzny w głębi ogrodu, który odwrócił się, jak gdyby poczuł na sobie wzrok chłopca. Nie był to jego tata.

— Muszę iść — oznajmił Alfie.

— Obchód, tak? Jesteś dość młody jak na lekarza, ale w dzisiejszych czasach każdy musi spełniać swój obowiązek.

Alfie przytaknął i odszedł. Nie cierpiał tego miejsca i tych ludzi. Wizyta w szpitalu to jak znalezienie się w koszmarze, gdzie nic z tego, co ktoś mówi, nie ma sensu. Mężczyźni mieli w głowach mętlik, żyli po części w teraźniejszości, trochę w przeszłości, a trochę na jakiejś ziemi niczyjej, którą przemierzali, uchylając się przed kulami, nie patrząc, w rozpacz, w rozpadzie. Dobrze robił, że zabierał stąd tatę, tego był pewien. Podniósł marynarski worek, przeszedł żywopłot i skierował się do szpitala.

Stał przed wejściem, bojąc się myśli, że trzeba tam wrócić, ale nie było innej drogi. Miał nadzieję znaleźć Georgiego gdzieś na zewnątrz i uciec razem z nim, ale nic z tego nie wyszło i musiał ruszyć na poszukiwanie.

W jednym z tych strasznych oddziałów.

Rzucił worek z rzeczami za doniczkę z kwiatkiem i otworzył drzwi, zaglądając do środka. Cisza na horyzoncie. W środku korytarza zaczynała się klatka schodowa, spojrzał w górę: budynek miał co najmniej trzy kondygnacje, na obwodzie każdego piętra znajdowały się sale. Jakim cudem odnajdzie tatę w tak wielkim miejscu?

Przed sobą miał dyżurkę pielęgniarek, gdzie został odkryty poprzednim razem. Ruszył szybko w jej stronę, ciesząc się, że akurat nikogo tam nie ma. Gdyby zdenerwowany lekarz znów go znalazł, nigdy w życiu nie uwierzyłby w historyjkę o synu mleczarza. Rozejrzał się i przeszedł za biurko, w tej samej chwili dostrzegając doktora Ridgewella, któremu już dwa razy czyścił buty, wychodzącego z jednego z oddziałów z innym lekarzem, młodym i robiącym wrażenie podenerwowanego. Schylił się i ukrył za kontuarem, licząc, że nie przejdą na tę stronę.

— ...może chyba wyjść na początku przyszłego tygodnia — mówił doktor Ridgewell. — Umów go na wizyty u Davisa na Harley Street. Rozmawiałem już z jego sekretarką, ona zna sprawę. Raz w tygodniu powinno wystarczyć. Ale to daje nadzieję, prawda? Patrząc, jak ktoś tak

szybko zdrowieje. Widać szansę dla innych.

— Czy odezwali się z Ministerstwa Wojny, panie doktorze? — zapytał młodszy mężczyzna.

— W jakiej sprawie?

— Uznania problemu.

Milczenie trwało kilka chwil.

— Nie, jeszcze nie. Żaden z tych zasranych polityków nie chce powiedzieć oczywistej prawdy, wyjaśnić społeczeństwu, że ta choroba naprawdę istnieje i że wszyscy musimy się nią zająć, i to przez wiele najbliższych lat, jak się obawiam. Sęk w tym, że ludzie ciągle uważają to za tchórzostwo i wszystkim w parlamencie brak odwagi, żeby wyprowadzić ich z błędu.

— Myślałem sobie... — mówił młodszy. — To znaczy zastanawiałem się, czy...

— No, wyrzuc to z siebie, Chartwell. Nie będę tu stał do wieczora.

— No bo możemy mówić o pewnych sukcesach, prawda? I porażkach. Może warto byłoby tu zaprosić panów dziennikarzy? Mogliby o tym napisać. Przybliżyć społeczeństwu sytuację. W ten sposób można by uzyskać niejaki poparcie.

Ton odpowiedzi doktora Ridgewella, która padła po dłuższej chwili, wskazywał na niebotyczne zdumienie.

— Panów dziennikarzy? — powtórzył, wolno wypowiadając każde słowo. — Czy odjęło ci rozum, Chartwell? Zaprosić tu pismaków? Do Wschodniego Suffolk? Czy naprawdę wydaje ci się, że właśnie tego potrzebują pacjenci — kupy wścibskich dziennikarzy, żeby przeprowadzali z nimi wywiady i robili im zdjęcia, które zwiększą sprzedaż gazet?

— Chodziło mi tylko o to, że gdybyśmy mogli opowiedzieć światu, co tu się dzieje, może zachęcilibyśmy ludzi do porozmawiania z posłami ze swoich okręgów. Moglibyśmy pokazać im ludzi takich jak Boyars, który wychodzi praktycznie zdrowy. Opowiedzieć o dobrej robocie, jaką tu wykonujemy.

— A co z tymi, którym się wcale nie polepsza, Chartwell? O nich pomyślałeś? O Levinsonie na pierwszym piętrze? Hobbsie na oddziale obok? Summerfieldzie na drugim? Czy ich też powinniśmy wystawić na pokaz światu i okolicom? Czy mam zostać P.T. Barnumem, a ci nieszczęśnicy wybrykami natury w moim cyrku?

Alfie nastawił uszu na dźwięk własnego nazwiska. *Summerfield na drugim.*

— Przepraszam, panie doktorze — sumitował się młody człowiek. — To był zły pomysł.

— Musiałby być o wiele lepszy, Chartwell, żeby go można było nazwać złym. Musiałby pokonać wiele stopni głupoty, żeby zasłużyć sobie na takie wzniosłe określenie. Nie, róbmy to, co najlepiej nam wychodzi — uprawiamy medycynę — a świat niech sobie myśli, co chce. No dobrze, nie mogę tu stać cały dzień i mleć ozorem. Mam swoich pacjentów i jestem pewien, że ty także ich masz.

I ku uldze Alfiego zaczęli się oddalać, w ogóle go nie dostrzegając.

Wyskoczył zza kontuaru i wszedł na kamienne schody, najpierw na pierwsze, potem na drugie piętro. Teraz przynajmniej wiedział, na którym leży ojciec. Tu słyhać było cichy pomruk głosów — pacjentów w salach, zajmujących się nimi pielęgniarek — a on szedł na paluszkach, zaglądając na pierwszy oddział tak cicho, by nikt go nie zauważył.

Jednak trudno było rozpoznać ojca, tak wielu pacjentów albo leżało zwiniętych w kłębek z kocami naciągniętymi pod brody, albo siedziało na krzesłach odwróconych tyłem, wpatrując się w okno. Tracił nadzieję, nie wiedział, co począć — ale wtedy go ujrzał, na sali ze słowami „ODDZIAŁ ŚW. MAŁGORZATY” wypisanymi nad drzwiami, siedzącego przy oknie, tasującego karty, wyciągającego przypadkowe, przyglądającego im się przez chwilę i odkładającego je z powrotem.

Alfie wszedł do środka i rozejrzał się. Na sali leżało jeszcze trzech innych mężczyzn. Pierwszy, na łóżku po lewej ręce Alfiego, spał mocno pod kocem naciągniętym pod szyję, który trzymał kurczowo jak dziecko. Naprzeciwko siedział inny mężczyzna, czytający książkę. Na widok Alfiego odłożył ją i szeroko się uśmiechnął. Był bez zębów. Alfie uniósł dłoń i chwilę trzymał ją w powietrzu, na co mężczyzna potrząsnął głową i odwrócił się. Bardzo młody mężczyzna na trzecim łóżku — nie wyglądał na więcej niż osiemnaście lat — leżał z zaciśniętymi pięściami, które trzymał przy głowie. Co kilka sekund mocno zamykał oczy i wydawał z siebie dziwny odgłos, coś podobnego do westchnienia grozy; gdy to mijało, ręce rozluźniały się aż do kolejnego nawrotu. I wreszcie przy oknie siedział Georgie Summerfield.

— Tato — zaczął Alfie, podchodząc i klękając przed nim. — Tato, to ja, Alfie.

Georgie wbił w niego wzrok, a na twarzy zaczęły się pojawiać znaki, że go poznaje. W ogóle wyglądało na to, że jest w lepszym stanie niż przed

tygodniem.

— Alfie. Nigdy cię nie ma.

— Jestem. Obiecałem, że wrócę.

— Kiedy mi obiecałeś, Alfie? Chyba mi się nie śnisz, co? Podejź do mnie, synu.

Alfie przesunął się, a Georgie wyciągnął obie ręce i dotknął jego twarzy. Przesuwał palcami po policzkach i brodzie jak ślepiec, który chce się o nim czegoś dowiedzieć.

— To rzeczywiście ty — stwierdził cicho, a w jego głosie zdumienie mieszało się ze wzruszeniem. — Ale wyrosłeś. Nie masz już pięciu lat, prawda?

— Mam dziewięć — oznajmił Alfie, zdezorientowany, bo ojciec widział się z nim zaledwie kilka dni temu, ale jakby całkowicie o tym zapomniał. Zerknął na szafkę przy łóżku, gdzie na blaszanej tacy obok szklanki z wodą leżały trzy tabletki różnego koloru, i pomyślał, ile lekarstw dają co dzień Georgiemu i czy to przez nie zapomina.

— Dziewięć — powtórzył ojciec, kiwając w zdumieniu głową. — Ale ciebie tu nie ma, prawda? — zapytał nagle, na twarzy odmalowała mu się groza, pokręcił głową. — Oczywiście, że nie. Wszystko mi się miesza. Jesteś po prostu jakimś chłopcem, prawda? To byłoby niemożliwe. Ale co ty tutaj robisz? Kto cię wpuścił?

— Przyjechałem po ciebie, tato.

— Po mnie?

— Zabrać cię do domu.

Georgie przełknął ślinę i potrząsnął głową.

— Nie mogę wrócić do domu. Nie jestem zdrowy, Alfie.

— Nie jesteś zdrowy dlatego, że tu leżysz. Ale jak pojedziesz ze mną do domu, polepszy ci się, obiecuję! Musisz wrócić na wóz z mlekiem. Wiesz, Pan Asquith ciągle nim jeździ. Usycha z tęsknoty za tobą.

— Kto?

— Pan Asquith — powtórzył Alfie. — Przecież wiesz! Pan Asquith!

— A, tak — powiedział Georgie, powoli kręcąc głową, jakby nie miał pojęcia, o czym Alfie mówi.

— Mogę pracować z tobą — ciągnął Alfie. — Mówiłeś, że będę mógł, gdy będę starszy.

— Pięć lat to za mało. Twoja matka przerobiłaby moje flaki na podwiązki.

— Ale ja mam już dziewięć lat, tato! Dziewięć!

Chłopak z łóżka po drugiej stronie wydał jakiś odgłos i Alfie na niego spojrzał. Oczy miał otwarte, ale zdawały się niczego nie widzieć.

— Od tygodnia nie powiedział niczego sensownego, biedaczyna. — Georgie pokręcił głową. — Wszystko mu się pomieszało.

— Tato, musisz ze mną pojechać. — Alfie pociągnął ojca za rękę. — Możemy wyjechać, obydwaj. Jest taki pociąg. Mam dwa bilety. Zabiorę cię do domu. Polepszy ci się, jak tylko wrócisz do domu.

— Dobrze, Alfie. — Georgie wzruszył ramionami, jak gdyby nie miał nic do powiedzenia w tej sprawie. — Doktor Ridgewell się zgodził, tak?

Alfie zawahał się, po czym szybko pokiwał głową.

— Tak. Mówi, że już ci lepiej i że wystarczy, jak wrócisz do rodziny. Kazał mi po ciebie przyjechać.

— Mnie o tym nie wspominał. Oj! — zawołał raptem, krzywiąc się i przykładając dłoń do skroni. — Proszki, proszki — stęknął, wskazując naczynie przy łóżku, i Alfie podbiegł po nie i po szklanę z wodą. Georgie szybko je przełknął i oparł się wygodniej, dysząc ciężko, jak gdyby samo to go znużyło. — Te bóle głowy — wyszeptał. — Przychodzą co jakiś czas. Coś okropnego. Trudno uwierzyć, że taki ból istnieje. Choruję od nich. Ja potrzebuję proszków, Alfie. Zązywam je co trzy godziny.

— Dobrze, tato — powiedział Alfie, który wiedział, że w domu w łazience jest apteczka, a w niej, obok bandaży, zielona buteleczka z zawieszistym płynem na kaszel i parę buteleczek z proszkami; nie wiedział na co. — W domu jest mnóstwo proszków. Możesz je brać.

— O, to dobrze, Alfie. — Georgie znów wzruszył ramionami i Alfie dopiero teraz uświadomił sobie, że tata nie zachowuje się już jak tata. Było tak, jak gdyby zamienili się rolami i Georgie po prostu wierzył we wszystko, co mówił mu Alfie; jak gdyby Alfie był dorosłym, a Georgie dzieckiem. Ta myśl bardzo mu się nie spodobała, a nawet nieco go wystraszyła. To tata miał opiekować się nim, a nie na odwrót.

— To chodź! — zakomenderował, znów ciągnąc ojca i wyprowadzając go z sali. — Musimy cicho zejść na dół.

— Cześć, chłopcy! — zawołał wesoło Georgie, machając pacjentom na łóżkach, ale Alfie musiał go uciszyć. Zeszli na parter tak, że nikt ich nie zauważył, a stamtąd na dziedziniec, gdzie Alfie odnalazł swój worek. Wyjął z niego spodnie, koszulę i marynarkę, które rano wziął z szafy ojca.

— Załóż to — powiedział Alfie. — Dzięki temu nie będziesz wyglądał

podejrzanie w pociągu.

— Dobrze, Alfie. — Georgie posłusznie nałożył ubrania na pidżamę, a potem buty, które podał mu Alfie. — Ale masz pewność, że dobrze robimy? Doktor Ridgewell pozwala?

— Kazał mi po ciebie przyjechać. Chodźmy już, tato.

Gdy skręcili za węgiel, Alfie ujrzał maszerującego w ich stronę mężczyznę w galowym mundurze i poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Mężczyzna przyglądał im się i nadchodził coraz szybciej.

— Nic nie mów, tato — szepnął Alfie. — Zostaw to mnie, w porządku?

— W porządku, Alfie.

— Chłopcze — zaczął mężczyzna, przystając przed nimi. Miał bardzo czerwone policzki i śnieżnobiałe wąsy, a w rękach trzymał coś podobnego do laski. — Gdzie ja jestem?

— W szpitalu Wschodniego Suffolk i Ipswich — oznajmił Alfie.

— Tak, to wiem — burknął rozdrażniony mężczyzna. — Bo wiesz, nie jestem skończonym idiotą. Szukam wejścia do skrzydła B. Przy drzwiach głównych waruje strasznie wielki pies, który warczy za każdym razem, kiedy próbuję wejść. Zastrzeliłbym go, ale zostawiłem broń w sztabie.

Alfie patrzył na niego przerażony. Przez chwilę pomyślał nawet, że to kolejny z pacjentów, chociaż mundur wskazywał na coś innego.

— Kim ty w ogóle jesteś? — ciągnął mężczyzna. — Co robi tutaj mały chłopiec? I kim jest ten człowiek?

— Georgie Summerfield — odezwał się Georgie, uśmiechnięty, jakby brał udział w świetnym żarcie. — W dzieciństwie też miałem psa. Małego spaniela king charles. Miał skłonność do melancholii. Ale był kochany.

— Przeciekawe — stwierdził mężczyzna. — Pracujesz tutaj, Georgie?

— *Doktorze Summerfield* — wtrącił się szybko Alfie.

— Aha. — Mężczyzna zlustrował go wzrokiem i odrobinę się cofnął. — Kieruje pan tą placówką, tak?

— Nie, ja nie, proszę pana — powiedział Georgie.

— Doktor Summerfield skończył właśnie dniówkę — oświadczył Alfie.

— O tej porze? — zdziwił się mężczyzna, patrząc na zegarek. — Trochę wcześniej na zwijanie interesu, co?

— Pracował na nocnej zmianie — odparł Alfie.

— A ty co znowu, jesteś pomocnikiem brzuchomówcy? Czy doktor Summerfield nie umie mówić? Kim ty w ogóle jesteś?

— Jego ojciec tu leży — włączył się Georgie, prostując się i mówiąc

wyraźnie.

— W jakim jest stanie?

— Nienajlepszym. Syn przyjechał go odwiedzić, ale chłopców tu nie wpuszczamy. Skończyłem i po drodze odprowadzam go na stację.

— Hmm — mruknął mężczyzna. — Bardzo dobrze. Wytargał go pan za uszy, co?

— Nie, proszę pana.

— Ja bym tak zrobił. Szczerze mówiąc, nie znoszę chłopców. Ani dziewczynek. W ogóle dzieci. Obojga płci. Nie rozróżniam. Obu odmian nie cierpię po równo. No dobrze... Skrzydło B, proszę mi pomóc.

— Proszę wejść tymi drzwiami — odezwał się Alfie — potem korytarzem, pierwszy zakręt na lewo i dojdzie pan do schodów, jedno piętro do góry, w prawo aż do oddziału św. Hildy, wejdzie pan w drzwi z zakazem wstępu i długi korytarz za nimi doprowadzi pana do skrzydła B.

— Dziękuję. — Mężczyzna kiwał głową z radością. — Chyba się nie pomylę.

— Proszę bardzo — powiedział Alfie, który zmyślił każde słowo. Ale po prostu chciał, żeby tamten sobie poszedł i najlepiej zabłądził na korytarzach Wschodniego Suffolk.

— Świetnie się spisałeś, tato — stwierdził Alfie, kiedy mężczyzna zniknął, ale Georgie wpadł z powrotem w poprzedni stan roztargnienia i bardzo długo trwało, zanim odwrócił głowę.

— Co mówisz, Alfie?

— Byłeś taki, jak dawniej. Niczego nie podejrzewał.

Georgie nic nie powiedział, zmarszczył tylko czoło i zamknął oczy, z ust wydobył mu się cichy jęk i przycisnął ręce do skroni.

— Tato, tato, czy nic ci nie jest?

— Nic, synu — odparł cicho Georgie. — Możemy już wrócić? Zdaje się, że powinienem się położyć.

— Nie! Zabieram cię do domu, pamiętasz?

— A, tak. No dobrze. Skoro uważasz, że tak będzie najlepiej.

W połowie podjazdu Alfie zauważył idące nim trzy pielęgniarzki i pchnął ojca za kępę drzew.

— Co się dzieje? — zapytał Georgie, rozglądając się, jak gdyby dopiero co się zbudził.

— Cii! — upomniał go Alfie. — Nie odzywaj się.

— Grasuje sierżant Clayton, tak?

— Tato! Cii! — powtórzył Alfie, obserwując przechodzące siostry.

— Tylko pytałem.

— Tato! — Alfie czuł, że oblewa się potem. Wystarczyłoby, żeby jedna z pielęgniarek odwróciła głowę, a z pewnością dostrzegłaby ich, chowających się wśród zieleni. Wstrzymał oddech, który wypuścił dopiero, gdy się oddaliły. — Dobrze — stwierdził. — Chodźmy, musimy się stąd jak najszybciej wydostać.

Zerwał się do biegu, a Georgie przyglądał mu się zdezorientowany, żeby w końcu za nim podążyć. Już za szpitalną bramą zatrzymali się dla odsapnięcia.

— Stacja kolejowa jest tam — oznajmił Alfie. — Po prostu chodź za mną.

— Alfie — powiedział kilka minut później Georgie, gdy siedzieli na trawie, czekając na pociąg. — Nie zapomniałeś moich proszków, prawda?

— Mówiłem ci, że w domu jest mnóstwo lekarstw. Możesz je brać. Ale obiecuję, że nie będziesz ich potrzebował. Gdy tylko wrócisz na Damley Road, będziesz zdrowy jak ryba.

— To dobrze, Alfie. — Georgie kiwnął głową, zadowolony.

— To dobrze, tato.

12

Ja chcę do domu

W drodze powrotnej do Londynu Georgie zachowywał się bardzo spokojnie. Siedział w kącie przedziału, zapatrzony w mijany krajobraz, rękami obejmując klatkę piersiową, jak gdyby chciał powstrzymać się od kołysania. Gdy pociąg stawał na stacji — albo w pobliżu stacji — zamykał oczy. Kiedy konduktor gwizdał i na jednym szczególnie ruchliwym przystanku, gdy trzaskały drzwi w całym pociągu, Alfie był pewien, że słyszy cichy jęk dobywający się z jego ust. W takich chwilach usiłował do niego przemówić, lecz tata odpowiadał tylko przypadkowymi pojedynczymi słowami: *tak, nie, Clayton, jutro, proszki, czasami, pomocy*.

W Manningtree jakiś młody żołnierz wsiadł do ich przedziału, zapalił papierosa i zaczął przyglądać się to jednemu z nich, to drugiemu, z zarozumiałym, beczelnym uśmiechem. Mundur miał czysty i świeżo odprasowany, jak gdyby założył go pierwszy raz. Georgie przez chwilę mierzył go wzrokiem z wyrazem niepokoju na twarzy, ale gdy ich spojrzenia się spotkały, odwrócił głowę.

— Na co pan patrzy? — spytał mężczyzna. — Nigdy nie widział pan żołnierza?

Georgie milczał, a Alfie próbował skupić się na książce, żeby tamtemu nie wpadło do głowy go zagadnąć.

— Nie ma pan języka w gębie? Pytałem, czy nigdy nie widział pan żołnierza.

— Widziałem paru — wymamrotał Georgie, wpatrując się w okno.

— Co tam czytasz? — Żołnierz zręcznym ruchem wytrącił książkę z rąk Alfiego i obrócił ją tak, żeby przeczytać tytuł. — *Przypadki Robinsona*

Kruzo. Mój tata ma to w domu. Wygląda nieciekawie.

— To najlepsza książka na świecie — oświadczył Alfie.

— Ha! — zawołał żołnierz, kręcąc głową. — Skąd możesz to wiedzieć? Co to za dowcipniś pod oknem?

— Mój tata.

— Brakuje mu piątej klepki, tak? Hej, ty! Brakuje ci piątej klepki?

Georgie odwrócił się i wpatrywał się w tamtego, przechylając głowę, jak gdyby chciał zrozumieć, o co właściwie tutaj chodzi, po czym na powrót popatrzył przez okno.

— Co ty na to? — ciągnął młody żołnierz, pokazując na mundur. — Fajnie wygląda, prawda? To mój pierwszy dzień. W Londynie spotykam się z nowymi kolegami, a stamtąd jedziemy na szkolenie do Aldershot. Cztery lata czekałem na ten dzień. Mówili, że skończy się przed świętami, no nie? Na całe szczęście się mylili. A ty dlaczego nie na wojnie, kolego? — zawołał do Georgiego, który natychmiast wstał i wyszedł z przedziału, z wściekłością zamykając za sobą drzwi. — Piórkowy, tak? — spytał ze śmiechem, a Alfie poczuł, jak ręce zaciskają mu się w pięści, żałując, że nie może zamknąć gęby temu durniowi. — Są po prostu wszędzie. Wojnę wygrywają tylko prawdziwi mężczyźni. Załatwię fryców, już ty się nie bój. Razem z nowymi kolegami.

Alfie wstał i bez słowa wyszedł z przedziału. Przemierzał pociąg, aż wreszcie znalazł ojca siedzącego samotnie.

— Tato? — zagadnął, siadając obok niego. Miał straszną ochotę objąć go ramieniem, ale nie wiedział, jak to zrobić. Było mu głupio. — Tato, nic ci nie jest?

— Nic, Alfie — powiedział cicho Georgie. — Jestem tylko zmęczony, to wszystko. Nie masz przy sobie proszków, co?

— Przykro mi, nie.

— No, to nic.

Nie powiedzieli już ani słowa przez resztę drogi na King's Cross, gdzie Georgie nie bardzo chciał wysiąść. Wyraźnie drżał, słysząc zgrzyt lokomotyw i gwizdki konduktorów. Gdy Alfie w końcu przekonał go do zejścia na peron, przejawiał jeszcze mniejszą ochotę, by ruszyć w stronę Damley Road. Gdy dochodzili do ulicy, Alfie zerknął za róg w nadziei, że nie będzie tam nikogo, ale pani Scutworth spod numeru piętnastego i pani Candlemas spod trzynastego stały obok siebie i myły okna.

— Zaczekamy, aż skończą — powiedział Alfie, na co Georgie pokiwał

głową.

Czekali, a minuty mijały. Alfie chciał powiedzieć coś tacie, ale Georgie marszczył czoło, nieco się skulił, zacisnął pięści i kołysał się w tył i przód. Alfiemu nie przychodziły do głowy żadne słowa, które nie pogorszyłyby jego stanu.

— Chodź, tato — powiedział, kiedy obie kobiety wróciły nareszcie do domów. Wziął ojca za rękę i poprowadził go do jego własnych drzwi, tak samo jak Georgie postępował z nim, kiedy był małym chłopcem. Włożył do zamka klucz, przekręcił go szybko i weszli do środka.

Georgie rozglądał się, niepewnie stojąc na nogach. Niewiele zmieniło się przez cztery lata, kiedy go tu nie było, ale może wspomnienie numeru dwunastego go przerastało, bo gdy tylko znalazł się w pokoju stołowym, padł na zepsuty fotel przed kominkiem i ukrył twarz w dłoniach.

— Kiedy nas zobaczyli, coś się w nich zmieniło, prawda? — mamrotał pod nosem. — Nie mogę znowu znosić trupów — trzy noce pod rząd to za dużo, nikt tego nie wytrzyma... Zostań, a potem walcz — tak mi powiedział. To przecież nie ma sensu. Gdzie Unsworth? Gdzie się podział?

— Tato! — zawołał Alfie, klękając przy nim. — Tato, co się dzieje? Nie wiem, o co ci chodzi.

Georgie uniósł wzrok i potrząsnął głową. Przez chwilę zdawało się, że jest dawnym sobą.

— Co jest, synu? — spytał wesoło. — Nie, mną się nie przejmuj, błędziłem myślami, to wszystko. Bądź tak dobry i poproś mamę, żeby zrobiła nam herbaty. Muszę położyć się wcześniej, żeby jutro wcześniej wstać.

Alfie kiwnął głową i poszedł do kuchni, nastawiając wodę. Zajrzał do puszki z herbatą; trochę zostało, więc wsypał łyżeczkę do imbryka, zalał gorącą wodą i zostawił na kilka minut, żeby naciągnęła, sam zaś wyjął ze spiżarki chleb i ser. Gdy herbata się zaparzyła, ustawił wszystko na tacy i zaniósł do stołowego. Georgie stał przy kominku i trzymał fotografię ich trójki — siebie, Margie i Alfiego — zrobioną kilka tygodni przed rozpoczęciem wojny.

— Sympatyczna rodzina — stwierdził Georgie, jakby ich nie poznawał.

— Tato, to my — powiedział Alfie, podając herbatę. — Masz, napij się. Poprawi ci się, obiecuję.

Georgie kiwnął głową i usiadł z filiżanką, ostrożnie popijając łyk.

— Zapomniałeś o cukrze. Ale to nic, prawdopodobnie się skończył.

Pomyśl tylko, gdybyśmy wrócili do Londynu, moja Margie nigdy nie zapomniałaby o cukrze.

Alfie wpatrywał się w niego.

— Tato, jesteśmy...

Rozległo się stukanie do drzwi i Alfie aż podskoczył. Tylko jedna osoba pukała w ten sposób.

— Zostań tutaj — nakazał ojcu. — Nie ruszaj się, dobrze?

— Tak jest! — Georgie zasalutował i oparł się wygodnie na krześle.

Alfie wyszedł do sieni i odrobinę uchylił drzwi, wyglądając na ulicę, ale trzymając prawą nogę tak, żeby nikt nie mógł tak po prostu sobie wejść.

— Cześć, Alfie.

— Cześć, Bill. — Uśmiechnął się do sąsiada, który zaglądał mu przez ramię do korytarza. Za nim Alfie widział na środku drogi Pana Asquitha i Henry'ego Lyonsa na siedzeniu za nim, na wozie zastawionym pustymi bańkami. Ze wszystkich sił starał się skłonić konia do dalszego marszu, ale Pan Asquith bacznie przypatrywał się numerowi dwunastemu i za żadne skarby świata nie chciał ruszyć.

— Wszystko w porządku? — zapytał Stary Bill.

— Tak. Ale mama jest w pracy, jeśli chodzi ci o nią.

— Nie, nie w tym rzecz. Alfie, być może zwariowałem, ale przed chwilą wszedłem do swojego pokoju stołowego i mógłbym przysiąc, że widziałem za oknem znajomą twarz.

Alfie przełknął ślinę z nadzieją, że nie zdradza go wyraz twarzy. Udawał, że nie rozumie.

— Znajomą twarz? — powtórzył. — Czyją?

— Jesteś sam, Alfie? — zapytał Stary Bill.

— Rusz się, stary! — zawołał co sił w płucach Henry Lyons.

— Przecież mówię: mama jest w pracy.

Stary Bill drapał się po brodzie, niepewny, czy powinien pytać dalej.

— Zdawało mi się, że widzę... No, wiem, że to brzmi jak szaleństwo, ale zdawało mi się, że widzę, jak twój tata idzie Damley Road. We własnej osobie, tylko dwa razy brzydszej. — Odwrócił się i wbił wzrok w Pana Asquitha. — Co się, u diabła, dzieje z tym koniem?

— Mojego tatę? — Alfie zaśmiał się głośno i nawet w jego własnych uszach wypadło to sztucznie.

— Tak, twojego tatę. Wiesz, takiego dryblasa. Poszedł na wojnę. Twojego tatę, Alfie.

— Mój tata jest na tajnej misji — oznajmił Alfie.

— Czyli wzrok mnie omylił.

— Chyba tak.

— Przyśniło mi się.

— Tu nie ma nikogo innego.

— Mogę wejść, Alfie? — zapytał Stary Bill.

— Muszę iść do szkoły.

Stary Bill popatrzył na zegarek.

— O tej porze?

— To znaczy na zakupy. Obiecałem mamie, że kupię coś na podwieczorek.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie, mężczyzna i chłopiec, czekając, który pęknie pierwszy. Nareszcie Pan Asquith donośnie zarżał i szarpnął wozem, stukając kopytami w ulicę, oglądając się jeszcze kilka razy i pełnym wyrzutu wzrokiem patrząc na Alfiego.

— Niech ci będzie — powiedział w końcu Stary Bill, głęboko wzdychając. — No, to do zobaczenia wkrótce.

— Do widzenia, Bill.

Zamknął drzwi i przez chwilę stał do nich plecami, kręcąc głową. Ledwie się udało. W stołowym zobaczył filiżankę Georgiego na podłodze i herbatę sącząca się na dywan. Ojciec popatrzył na Alfiego jak małe dziecko przyłapanie na czymś, czego nie powinno było robić.

— Upuściłem.

— To nic — stwierdził Alfie. — Wyschnie.

— Nie, lepiej to wytrę. — Wziął jeden z jaśków z wersalki i zamierzał przycisnąć go do mokrej plamy.

— Nie, nie rób tego. — Alfie wyrwał mu poduszkę. Mama by się wściekła, gdyby pobrudził ją herbatą. — To nic. Po prostu zostaw.

— Tak jest, panie sierżancie — odparł Georgie, siadając z powrotem.

— Nie jestem sierżantem! — zawołał rozdrażniony Alfie. — Jestem Alfie!

— To oczywiste, synu — odparł Georgie, wzruszając ramionami. — Nie poznałbym własnego syna?

Alfie rzucił okiem na zegar na kredensie. Zdał sobie sprawę, że nie zastanawiał się, co zrobi po przywiezieniu ojca; chciał tylko wydostać go z tego okropnego szpitala, żeby był z dala od krwi, odoru i nieustających jęków chorych. Za to teraz uświadomił sobie, że siedzenie w ciasnym domu nie jest może teraz najlepsze dla Georgiego, i wpadł na pewien pomysł.

Pobiegł do siebie, otworzył szafę, wyjął pudełko do czyszczenia butów i wrócił na dół.

— Wychodzimy — oznajmił, patrząc na ojca.

— Dokąd? Akurat zaczynałem się czuć jak u siebie w domu.

— Muszę iść do pracy.

— Do pracy? — Georgie zmarszczył brwi. — Mleczarnia będzie teraz zamknięta. Nie wpuszczą nas.

— Ja nie pracuję w mleczarni, tylko na King's Cross.

— Zostałeś maszynistą? To jedna stara klika, ci maszyniści.

— Jestem pucybutem — odparł zniecierpliwiony Alfie.

— No, to uczciwa praca. — Tata rozejrzał się i raptem zrobił taką minę, jakby nie wiedział, gdzie jest. — Muszę się stąd wydostać — oznajmił z nagłym przerażeniem w głosie.

— To dobrze, bo właśnie tym się teraz zajmiemy. Chodź.

Wyszli i tym razem Alfie poprowadził Georgiego okreśną drogą, tak żeby nie minąć okna Starego Billa Hempertona. Na końcu ulicy odwrócił się i ujrzał Joego Patience, stojącego na progu swego domu, palącego papierosa i obserwującego otoczenie. Od jak dawna tam stał? Czy widział Georgiego? Ich spojrzenia spotkały się na chwilę, ale Joe z niczym się nie zdradził, po prostu sobie palił, a Alfie skręcił za róg, gdzie czekał ojciec, gapiący się na niebo.

— Ale świat jest wielki — powiedział Georgie. — Czy myślisz, że na innych planetach też się nienawidzą?

— To moje miejsce — oznajmił Alfie, gdy dotarli do jego stanowiska na King's Cross, w równej odległości od peronów, kasy i herbaciarni. — A na tym krześle sadzam klientów. Chcesz na nim usiąść?

Georgie wzruszył ramionami, więc Alfie przyciągnął krzesło i tata po chwili na nim usiadł. Alfie wyjął z pudełka szczotki oraz ściereczki do kurzu i polerowania i zamontował na pudełku podnózek. Ojciec przyglądał mu się bez słowa.

— Wziąłem to z domu pana Janácka — tłumaczył — po tym, jak zabrali jego i Kalenę. Żołnierzom wydawało się, że są Niemcami, ale nie są, bo przyjechali z Pragi. Wiem, że nie powinienem, ale pan Janáček nie miałby nic przeciwko. Nie jesteś na mnie zły, tato?

Georgie pokręcił głową. Patrzył na chłopca nieruchomo i uśmiechał się. Alfie nie rozumiał zmian nastrojów taty.

— Nie, synu, nie jestem na ciebie zły. Pan Janáček ucieszyłby się, że dobrze to wykorzystujesz.

— Przychodzę tutaj cztery dni w tygodniu. Większość zarobku oddaję mamie. Bo wiesz, ona pracuje jako pielęgniarka i bierze rzeczy do prania. I szyje dla jakiejś paniusi. Ale zatrzymuję trochę dla siebie na czarną godzinę. Za to kupiłem bilety na pociąg.

Georgie pokiwał głową i sięgnął do kieszeni marynarki. Niczego tam nie znalazł, włożył więc rękę do drugiej. Także nic. Alfie wiedział, czego szuka. Wszyscy mężczyźni, którzy tu siadali, tak robili. Brali fajkę lub papierosa. Każdy lubił zapalić, gdy czyszczono mu buty. Z premierem włącznie.

— Wyczyścić ci buty, tato? — zapytał Alfie, patrząc na nogi ojca, na co Georgie kiwnął głową i postawił lewą stopę na podnóżku. Przez czas, jaki przestały w szafie na górze, zebrało się na nich sporo kurzu. Musiał zacząć od solidnego odkurzenia, żeby móc przejść do pastowania.

— Możesz wrócić do domu, tato? — spytał cicho Alfie, nie unosząc głowy i przesuwając palcami po bucie.

— Chyba jestem w domu, prawda? W Londynie? Czy też zwariowałem?

— To znaczy tak na dobre. Na Damley Road. Do mleczarni i Pana Asquitha. Do starych czasów.

Kropla wody spadła na czubek lewego buta ojca i Alfie starł ją, marszcząc czoło. Na pewno dach przecieka. Rozejrzał się po tłumach przemierzających King's Cross i przez chwilę zdawało mu się, że przy trafice widzi znajomą twarz, obserwującą go. Pobitą. Z bliznami i poparzeniami. Zamrugał i usiłował skupić wzrok, ale idący tam i siam ludzie zasłaniali widok, a gdy nadarzyła się luka, nie zobaczył tam już nikogo.

— Nie cierpię wojny — westchnął Alfie.

— Tak jak wszyscy — podchwycił Georgie. — Nie ma w niej nic dobrego.

— Mówili, że skończy się do świąt, ale się nie skończyła.

— Nawet jak ta się skończy, niedługo będzie nowa. One są jak autobusy, no nie? Spóźnisz się na jedną, to zdążysz na następną. Musisz stąd uciec, Alfie, słyszysz? Żeby cię nie wzięli. Potrzeba trzydziestu lat pokoju, żebyś nie dostał powołania.

Na but spadła kolejna kropla i Alfie podniósł głowę. Dach nie przeciekał; to jego tata płakał. Nigdy wcześniej nie widział go takiego i był przerażony.

— Tato, co się dzieje?

— Nic, synu, nic — odparł, wycierając twarz chusteczką. — Mną się nie przejmuj. Tylko żeby buty się lśniły, dobrze? Może potem pójdziemy z mamą na tańce. O której wraca z pracy?

Alfie wzruszył ramionami.

— Możliwe, że ma nocną zmianę. Ale na pewno to odwoła, skoro wróciłeś do domu. Chociaż czasami, kiedy wróci...

Za ich plecami rozległ się straszny łoskot — odgłos zatrzaskiwanych kolejno po sobie dwudziestu drzwi pociągu. Alfie podniósł głowę — słyszał to wiele razy co dzień, odkąd zaczął tutaj pracować, i wcale mu się nie podobało; przypominało palbę, echo szybkich serii karabinowych, które nie chcą ucichnąć. Gdy spojrzał na ojca, Georgie zakrywał uszy rękami i kulił się ze spuszczoną głową.

— Tato, tato, co się dzieje? — Alfie siadł prosto.

Z ust ojca dobywał się okropny krzyk, coś pomiędzy jękiem i łkaniem. Alfie spojrzał w stronę pociągu: zostało jeszcze co najmniej dziesięć drzwi.

Bum! Bum! Bum! Bum!

— Tato!

— Alfie, pomóż mi — błagał. — Niech już przestaną...

Bum! Bum! Bum!

— Alfie, padnij! Zasłoń głowę.

Bum!

— Kiedy doliczę do trzech, wyskakujemy, dobrze? Trzy!

Bum!

— Dwa!

Bum!

— Jeden!

Odłonił twarz i zerwał się z krzesła, lecz Alfie był szybszy i uchwycił go w pasie, powstrzymując go od ucieczki.

— Tato, już dobrze, to ja, Alfie. To tylko zamykały się drzwi pociągu, nic więcej.

Georgie spojrzał na peron i wolno, bardzo wolno zaczął kiwać głową, rozumiejąc. Twarz miał bladą. Po czole ściekał mu pot. Nogi ugięły się pod nim i padł na krzesło.

— Proszki, Alfie. Potrzebuję proszków. Głowa mi pęka.

Alfie ze złości na samego siebie poczuł skurcz żołądka. Zapomniał tabletek z apteczki. Trzeba będzie poczekać, aż wrócą do domu.

— Nie mam. Przepraszam, tato. Zostały w domu. Możemy po nie wrócić, jeśli chcesz.

— Nie da rady — jęknął Georgie, znowu sięgając do kieszeni. — Ale chociaż zapalić. Dempster w następnym okopie ma paczkę. Powiedz, że oddam dwa we wtorek, jak teraz da mi jeden. To chyba dobry układ?

Alfie pokiwał głową. Wziął z leżącej na ziemi czapki kilka pensów, które zawsze zostawiał tam w celu zachęcenia klientów. Trafika znajdowała się na drugim końcu dworca, przy peronie szóstym.

— Przyniosę.

— Dempster — powtórzył Georgie.

— Tak, poproszę go. Za jednego teraz dwa we wtorek. Jasne. — Patrzył chwilę na tatę, nie wiedząc, czy może zostawić go samego, ale skłonienie go do wstania i przejścia na drugi koniec dworca byłoby jeszcze bardziej uciążliwe. Jeśli poleci sam, będzie mógł wrócić w niecałe dwie minuty.

— Zostań tutaj! — polecił zdeterminowany Alfie. — Słyszysz, tato? Zostań.

— A potem walcz — mruknął Georgie (znowu to zdanie, które wielokrotnie powtarzał).

— O co chodzi? — zapytał Alfie, przyklękając na chwilę przed ojcem. — Co to znaczy?

— Sierżant — opowiadał Georgie, siedząc ze wzrokiem wbitym w ziemię — powtarzał nam to co dzień przed wyruszeniem. Kazał ustawiać się na drabinach. Rząd żołnierzy z głowami prawie równo z poziomem gruntu. Kolejna linia kilka szczebli niżej, gotowa pójść za tamtymi. Następna na dnie okopu, szykująca się do wejścia na drabiny. Mieliśmy czekać, aż każdy szereg wyjdzie na ziemię, i wtedy przychodziła nasza kolej. Mieliśmy się nie ruszać, dopóki żołnierze przed nami nie znikną w dymie i kanonadzie. Zostać, a potem walczyć — tak nam mówił. Zostać, a potem walczyć. Co dzień. Co dzień, Alfie.

Znów przycisnął ręce do skroni i cicho jęknął z bólu, jak zwierzę schwyte w pułapkę, na co Alfie obrócił się na pięcie i pognał w kierunku trafiki. To ułagodzi ból, był pewien. Ktoś w kolejce przed nim strasznie powoli odliczał monety i chłopiec oglądał się, by sprawdzić, czy ojciec ciągle siedzi na miejscu, ale na stacji zrobił się wczesnowieczorny tłok i nic nie było widać.

— Dziesięć papierosów — powiedział, rzucając na ladę monety, gdy wreszcie przyszła jego kolej.

— Jakie? — zapytał sprzedawca.

— Wszystko jedno! To nie ma znaczenia. Najtańsze.

Mężczyzna kiwnął głową i wyjął z szuflady za sobą puste pudełko, do którego włożył papierosy z półki. Konduktor gwizdnął przenikliwie, po czym zapowiedział, że pociąg do Liverpoolu odjedzie z peronu trzeciego, najbliższego stanowisku Alfiego.

— Szybko poproszę! — zawołał Alfie i zobaczył go znowu — postać przedzierającą się przez tłumy. Ktoś znajomy, ale zniknął za szybko, by Alfie mógł go poznać. Wokół panował rozgardiasz. Rwetes. Poruszenie.

— Gdzie się człowiek spieszy, tam się diabeł cieszy — oświadczył sprzedawca. — Przecież nie chcę się pomylić w wyliczeniu.

Ludzie biegli w stronę pociągu, rozległ się świst lokomotywy. Widział nadchodzącego konduktora, a przed nim długi rząd otwartych drzwi.

— Dziesięć papierosów — stwierdził sprzedawca. — Poproszę trzy pensy.
Bum!

Zatraskiwanie pierwszych drzwi pociągu do Liverpoolu.

Bum! Bum! Bum!

— Brakuje ćwierć pensa — oznajmił mężczyzna, na co Alfie z krzykiem rozpaczy sięgnął do kieszeni, na której dnie znalazł jedną monetę.

— Proszę. — Złapał paczkę i cisnął ćwierćpensówkę na ladę.

Bum! Bum! Bum! Bum! Bum!

Przedzierał się przez tłum, mało się nie przewracając w drodze powrotnej do ojca.

— Odjazd!

Bum! Bum! Bum!

— Uważaj, chłopcze!

— Przepraszam.

Bum! Bum! Bum! Bum!

Nareszcie przebił się na swoje zwyczajowe miejsce i westchnął z ulgą. Schylił się, kłuło go w boku, ale ulżyło mu, że krzesło przed stanowiskiem pucybuta jest cały czas zajęte. Wyprostował się i podał siedzącemu paczkę.

— Papierosy? — spytał pan Podgett, mężczyzna z banku. — Dziękuję, ale wolę fajkę. Czyżby to była nowa usługa? Czyszczenie butów i do tego papieros? Bardzo z siebie przedsiębiorczy młodzieniec, ale nie wiem, czy to dobry pomysł. Zmniejszy ci zyski.

Alfie wpatrywał się w niego wytrzeszczonymi oczami, po czym odwrócił się, rozglądając się po dworcu. Nigdzie nie widział ojca.

Zniknął.

Jest taki długi, długi, kręty szlak

Alfie wbiegł do mieszkania pod numerem dwunastym i opadł na pierwszy stopień schodów, chowając głowę w rękach. Przypominał sobie zdarzenia całego dnia i nie mógł uwierzyć, że zachował się tak głupio. Nie powinien był zabierać Georgiego ze szpitala — to oczywiste! Jak mógł być takim durniem? Ale przecież chciał tylko pomóc tacie, sprowadzić go do domu i do rodziny. A teraz go zgubił. Co pocnie, jeżeli się nie znajdzie?

Usłyszał głosy ze stołowego i z nadzieją uniósł głowę. Może Georgie sam trafił z powrotem? Zerwał się i popędził do stołowego, gdzie Margie siedziała w zepsutym fotelu przed kominkiem i rozmawiała z kimś siedzącym na wersalce. Szybko odwrócił głowę, licząc, że ujrzy tam ojca — ale nic z tego, była to Babcia Summerfield.

— Alfie — zapytała — co z tobą? Masz wyrzuty sumienia, a ja nie mogę znieść widoku chłopca z wyrzutami sumienia.

Spojrzał na matkę, która zmrużyła oczy i popatrzyła podejrzliwie.

— Jesteś blady — stwierdziła — i masz zaczerwienione oczy. Płakałeś?

Alfie pokręcił głową. Tak się złożyło, że nie płakał, ale ścisnął rękami głowę i to mogło tłumaczyć zaczerwienienie.

— Nie — powiedział.

— Gdzie byłeś, Alfie? — Babcia Summerfield pochyliła się i zdjęła okulary. — Masz minę chłopca, który coś przeszkobał.

— Nic nie zrobiłem! — krzyknął, pierwszy raz w życiu podnosząc głos na babkę.

— Alfie! — zawołała Margie.

— Co? — zapytał, po czym uniósł ręce do góry. — Idę do siebie —

dodał. Wybiegł do sieni i popędził na górę do swojego pokoju, gdzie zatrzasnął drzwi i rzucił się na łóżko, żeby przemyśleć wypadki ostatnich kilku godzin.

Georgie przepadł, kiedy on poszedł po papierosy, i Alfie domyślał się, że zaniepokoił go odgłos zamykania tych wszystkich drzwi pociągu. Już wcześniej źle na niego reagował. W dodatku tak dziwnie mówił, zdaniami, które nie wiązały się z sobą. Chłopiec przypomniał sobie, co doktor Ridgewell opowiadał mu o nerwicy frontowej: o żołnierzach, którzy wrócili z frontu i pod względem fizycznym wyglądali normalnie, za to w środku, w głowie, byli bardzo chorzy. Takie wrażenie wywarło na nim wielu pacjentów we Wschodnim Suffolk. Nawet ci po amputacji, z oparzeniami, z rękami na temblakach czy nogami na podciągach, gapili się w dal, kołysali albo siedzieli i płakali tak, jakby strasznie ich bolało, bardziej nawet niż jego w dzień, kiedy Charlie Slipton spod dwudziestego pierwszego zupełnie bez powodu rzucił w niego na ulicy kamieniem.

Na pewno wybiegł z dworca, rozumował Alfie, kiedy trzaskały drzwi pociągu. Wpadł w popłoch. Ale dokąd poszedł? Mógł wsiąść do pociągu i pojechać w dowolnym kierunku i w pewnym punkcie podróży konduktor spytałby go o bilet, którego by nie miał, i zostałby wyrzucony na najbliższym przystanku. I co stałoby się potem? Mężczyzna w samej piżamie pod parą starych spodni i marynarką. Jakim sposobem zdoła wrócić do domu?

Ktoś zapukał do drzwi wejściowych i Alfie aż podskoczył. Usłyszał, jak otwierają się drzwi pokoju stołowego i Margie idzie do sieni, a głosy niosą się po schodach i wślizgują pod drzwiami do jego pokoju. Wyszedł na korytarz i nasłuchiwał.

— Bill — powiedziała Margie.

— Przepraszam, że przeszkadzam, Margie — zaczął Stary Bill Hemperton. — Nie wiem, czy warto o tym wspominać, ale pomyślałem, że powinienem ci o tym opowiedzieć.

— Chodź do stołowego. Jest Babcia Summerfield.

Wtedy zamknęli za sobą drzwi stołowego i Alfie już nic więcej nie słyszał. Stał, zagryzając wargi, nie wiedząc, czy powinien zejść na dół. Była tylko jedna sprawa, z którą mógł przyjść Stary Bill: ta sama, o którą pytał wcześniej.

Przez chwilę Alfie zastanawiał się, czy nie powinien spakować trochę ubrań, pudełka do czyszczenia butów, pieniędzy, które zostały w szufladzie

ze skarpetami, *Przypadków Robinsona Kruzoe* — i wziąć nogi za pas. Mógł wrócić na King's Cross i wsiąść do pierwszego lepszego pociągu, rozpocząć nowe życie. Bo w sumie czego potrzebował poza pudełkiem z przyborami? „No, to uczciwa praca” — jak powiedział Georgie.

— Alfie!

Margie stanęła przy schodach i ryknęła na niego. Szybko cofnął się do siebie i zamknął drzwi.

— Alfie! — zawołała ponownie. — Zejdź natychmiast.

Nie było innej rady. Otworzył drzwi i zszedł powoli do pokoju stołowego, gdzie siedziała blada z przerażenia Margie. Stary Bill robił wrażenie skruszonego, a Babcia Summerfield szlochała w chusteczkę i powtarzała:

— Co teraz? Co teraz z nami będzie?

— Przepraszam, chłopie — Stary Bill wzruszył ramionami — ale mus to mus i takie tam. Nie gniewasz się?

Alfie nic nie powiedział, patrzył tylko na matkę i czekał, co się stanie.

— Powiedz, że Bill się pomylił — odezwała się w końcu lekko drżącym głosem.

— W jakiej sprawie?

— Alfie, zapytam cię o to tylko raz. Kogo przyprowadziłeś do domu dzisiaj po południu?

Alfie zawahał się.

— *Dzisiaj* po południu? — powtórzył, jakby często sprowadzał tutaj rozmaitych ludzi, ale nie miał pewności, kto był dzisiaj.

— Alfie!

— Nikogo — powiedział szybko. — Nikogo tu nie było. Tylko ja.

— Bill twierdzi inaczej.

— Bill ma sto lat. Brakuje mu piątej klepki.

— No nie mogę! — zawołał Stary Bill, kręcąc głową ze śmiechem.

— Alfie, czy był tu twój ojciec? Mów prawdę.

Alfie przełknął ślinę i poczuł, że zaraz się rozplacze. Mruknął coś pod nosem, na co Margie tak szybko zrobiła krok do przodu, że cofnął się wystraszony.

— Co powiedziałaś?! — spytała podniesionym głosem.

— Mówiłaś, że jest na tajnej misji dla rządu! — wybuchnął Alfie. — Tak mi mówiłaś! A to nieprawda! Leżał w szpitalu! I nie pozwoliłaś mi go odwiedzić.

— Och, Alfie — wyszeptała Margie, opadając na zepsuty fotel przed kominkiem. — Co ty zrobiłeś?

— Nic.

— Czyli to był *on* — stwierdził Stary Bill. — Wiedziałem. Może i jestem stary, Alfie Summerfieldzie, ale znam twojego ojca, odkąd sięgał do pięt konikom polnym, i wiedziałem, że to on przechodzi za moim oknem.

— Jak wyglądał? — zapytała Margie.

— No, nie wiem. — Bill wzruszył ramionami. — Widziałem go tylko przez firankę. Skąd mam wiedzieć?

— Gdzie on jest, Alfie? — zapytała Margie. — Powiedz! Zaraz, na górze? Tak? Chowasz go u siebie w pokoju! Georgie! — zawołała, zrywając się z fotela i wybiegając do sieni. Przeskakiwała co drugi stopień schodów, czego Alfie jeszcze nigdy u niej nie widział. — Georgie, jesteś tutaj?!

Wbiegła do pokoju Alfiego i słyszała, jak otwiera szafę i zagląda pod łóżko. Dokładnie w tej samej chwili rozległo się kolejne pukanie do drzwi. Alfie odwrócił się w tamtą stronę i poczuł ulgę. To on — na pewno. Był bezpieczny. Wrócił do domu. Odsunął zasuwę i przez chwilę nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Nie stał tam Georgie Summerfield.

To był doktor Ridgewell.

— Pan — wykrztusił zdumiony Alfie.

Lekarz zmrużył oczy i zmarszczył brwi, jak gdyby znał tego chłopca, tylko nie mógł sobie przypomnieć skąd.

— To jest numer dwunasty, prawda? — spytał. — Dom państwa Summerfieldów?

— Tak — wydusił z siebie Alfie.

— Czy matka jest w domu?

— Alfie, kto przyszedł?

Margie zeszła na dół i szerzej otworzyła drzwi, patrząc z niedowierzaniem na gościa.

— Pani Summerfield? — zapytał doktor Ridgewell.

— Zgadza się.

— Mogę wejść? Nazywam się Max Ridgewell. Jestem lekarzem we Wschodnim Suffolk.

— My się znamy — powiedziała Margie. — Widzieliśmy się ładnych parę razy.

— Naprawdę?

— Tak.

Doktor Ridgewell potrząsał głową i miał na tyle przyzwoitości, że okazał zakłopotanie.

— Przykro mi, pani Summerfield. Tylu widuje się ludzi, sama pani rozumie. Żony, matki. Nie zawsze wszystkich pamiętam.

— Proszę wejść. — Margie otworzyła drzwi i zaprosiła go do stołowego. — To moja teściowa, a to sąsiad, pan Hemperton.

— Dzień dobry — zagadnął doktor Ridgewell. — Może powinniśmy porozmawiać na osobności, pani Summerfield? Pewne sprawy...

— Wszystko, co ma mi pan do powiedzenia, może powiedzieć pan przy tych ludziach — weszła mu w słowo Margie, machając ręką, jednym gestem ogarniając ich i odpędzając. — Znaleźliście go?

Doktor Ridgewell wahał się, wyglądał na zaskoczonego.

— To pani wie, że zaginął?

— Domyśliłam się. Billowi zdawało się, że go dziś widział. A Alfie... — skinęła głową w stronę syna — ma z tym coś wspólnego. Tylko nie chce się przyznać. Prawda, Alfie?

Doktor Ridgewell poruszył długim, kościstym palcem.

— Ja cię chyba znam, prawda?

— Nie.

— Tak, znam. Ale skąd? Twoja twarz zdaje mi się znajoma. — Pokręcił głową i zastanowił się. — Zaraz... — podjął po chwili. — Jesteś chłopcem czyszczącym buty.

— Że co? — zdziwiła się Margie.

— Na King's Cross. To ty, prawda?

— Nie. — Alfie odwrócił głowę.

— Ależ tak!

— Alfie, o czym on mówi? — zapytała Margie. — Pucybut? Nie masz... Ten zapach pasty! — Zorientowała się, kręcąc głową. — U ciebie w pokoju. Bez przerwy o tym mówię.

— No dobrze, czyszczę buty na dworcu — przyznał Alfie. — Ale tylko po to, żeby nam pomóc. Żeby pomóc *tobie*. Wkładam pieniądze do twojej portmonetki. Robisz dla ludzi pranie! Cerujesz! Spełniam swój obowiązek, jak każdy.

— Pucybut — odezwała się Babcia Summerfield, zasłaniając twarz rękami i robiąc wrażenie wstrząśniętej. — Na to nam przyszło? Tak nisko upadliśmy?

— Dobrze, możemy teraz o tym nie mówić? — włączył się doktor Ridgewell. — Jestem tu w sprawie pani męża, pani Summerfield. Wie pani, że zaginął. Nie ma go już w szpitalu, na którego terenie widziano kręcącego się chłopca.

— Alfie, gdzie on jest? — zawołała Margie, ujmując go za ramiona. — Mów! On jest chory. Nie rozumiesz tego? Twój ojciec jest chory! Gdzie go...

— Nie wiem! — krzyknął Alfie, wybuchając płaczem. — Zgubiłem go.

— Zgubiłeś go?

— Był ze mną na dworcu. Poszedłem kupić mu papierosy i wtedy zniknął. Bo widzisz, tyle było hałasu. Zatrząskiwanie drzwi. Chyba się wystraszył i...

— Źle znosi hałas — wtrącił doktor Ridgewell. — Tak jak większość z nich. Przez ostrzał, pod którym walczyli. Mają stargane nerwy. To dlatego staramy się utrzymać w szpitalu spokojną i pogodną atmosferę. I nie zezwalamy na odwiedziny dzieci.

— Przecież nie wiedziałam, że tam jeździ — warknęła Margie. — Gdybym wiedziała, nigdy bym na to nie pozwoliła. Ale teraz musimy go poszukać. Musi gdzieś być. Kto wie, co może mu się stać? Bill, może razem...

I wtedy usłyszeli jeszcze jedno pukanie do drzwi. Obrócili się w ich stronę.

— Pójdę otworzyć — powiedziała Babcia Summerfield, wstając i idąc do sieni. Otworzyła drzwi i natychmiast z powrotem je zatrzasnęła, po czym szybko wróciła do stołowego.

— No, kto to był? — zapytała Margie.

— Nikt — odparła Babcia Summerfield. — Mówił pan, panie doktorze...

— To nie mógł być nikt! — zawołała Margie i zanim doktor Ridgewell zdolał odpowiedzieć, znów zapukano do drzwi.

— Nie zwracajcie na to uwagi! — krzyknęła Babcia Summerfield.

— Nic z tego! — wypaliła Margie, wychodząc z pokoju czerwona na twarzy. Otworzyła drzwi, za którymi stał Joe Patience, obdżektor spod numeru szesnastego.

— Joe — westchnęła Margie. — To nie jest dobry moment.

— On siedzi u mnie w stołowym — oznajmił Joe.

— Nie wpuszczajcie tego człowieka! — krzyknęła Babcia Summerfield, wypadając do sieni i wbijając wzrok w Joego Patience jakby był diabłem

wcielonym. — Zamknij mu drzwi przed nosem, Margie!

— Pani Summerfield... — zaczął Joe.

— Tylko bez żadnych pań Summerfield! — zagrzmiała Babcia Summerfield. — Tyle dla ciebie zrobiłam, Joe Patience! Tyle zrobiłam! I jak mi odpłaciłeś? Mój syn idzie na wojnę, a ty...

— Nie mogłem!

— Bo jesteś tchórzem!

— Bo nie chcę krzywdzić innych! Tak jak skrzywdzili mnie!

— Tchórz!

— Cisza! — ryknęła Margie, patrząc na teściową, jak gdyby miała rozerwać ją na strzępy. — Joe, co ty powiedziałaś?

— On siedzi u mnie w stołowym — powtórzył Joe.

— Kto? — spytała Babcia Summerfield.

— Pani syn. Twój mąż — dodał, spoglądając na Margie. — Twój tata — zwrócił się do Alfiego, który stał za matką i babką. — Siedzi u mnie w stołowym.

Najpierw nikt się nie ruszył. Potem Margie zerwała się do biegu. Minęła Joego, pognęła pod numer szesnasty, gdzie drzwi stały otworem, i zniknęła w środku.

— Co ty zrobiłeś? — spytała Babcia Summerfield, zbita z pantałyku, niepewnym głosem.

— Ja nic. Alfie przywiózł go do domu, prawda, Alfie?

Babcia Summerfield patrzyła na wnuka, gdy Stary Bill Hemperton i doktor Ridgewell wyszli do sieni.

— Chciałem go uratować — tłumaczył Alfie. — To wszystko. Nie masz pojęcia, jak tam jest.

— Alfie przyszedł do mnie — opowiadał Joe, patrząc na Babcie Summerfield. — Powiedział mi, co zamierza. Pewnie powinienem był przekazać to pani. Albo Margie. Ale nie sądziłem, że mu się uda. I wtedy ich zobaczyłem. Nie za bardzo wiedziałem, jak postąpić. Nie mogłem podejść. Georgie wyglądał jakoś dziwnie — rozumie pani, prawda? Pomyślałem sobie, że jak do niego podejść, może wyniknąć z tego więcej szkody niż pożytku. Więc czekałem. Szedłem za nimi. Alfie zabrał go na King's Cross. Obserwowałem ich. A gdy uciekł, pobiegłem za nim. Dogoniłem go. Zabrałem go na drinka i pogadaliśmy. Jak za starych czasów. A potem przyprowadziłem go do domu. — Westchnął. — Wydaje mi się, że dojdzie do siebie. Jeśli wszyscy mu pomożemy.

Po długiej chwili ciszy mina Babci Summerfield złagodniała.

— Pobiegłeś za nim — wyszeptwała.

— Oczywiście — odpowiedział cicho Joe. — Po wszystkim, co dla mnie zrobiłaś? To mój najlepszy przyjaciel. Oczywiście, że za nim pobiegłem.

Babcia Summerfield odwróciła wzrok. Po kilku chwilach wyciągnęła lewą rękę w stronę twarzy Joego, dotykając gładkich blizn po oparzeniach, które oddzielały włosy od czoła.

— Joe — powiedziała. Tylko tyle.

— Przepraszam — wtrącił się doktor Ridgewell. — Ale pani syn... muszę go zobaczyć.

— Oczywiście — odparł Joe Patience, odsuwając się, na co Babcia Summerfield zrobiła krok do przodu i wzięła go pod rękę. — Jest tutaj. Chodźcie wszyscy.

Joe, doktor Ridgewell, Babcia Summerfield, Alfie i Stary Bill Hemperton szybko przeszli pod numer szesnasty, gdzie zastali Margie i Georgiego siedzących na wersalce, objętych, tulących się do siebie.

— Georgie! — zawołała Babcia Summerfield, podbiegając i zarzucając obojgu ręce na szyje.

— Pomocy — wyszeptał Georgie, patrząc na mamę i żonę. — Pomocy. Proszę. Niech ktoś mi pomoże. Moja głowa...

— Nic ci nie jest, Georgie? — zapytał Stary Bill Hemperton, pochylając się nad nim.

— Panie Summerfield, to ja, doktor Ridgewell.

— Tato!

Alfie przepchnął się do przodu i przylgnął do ojca, obejmując go w pasie, odpychając pozostałych. Chwilę później na ulicy zaczęła narastać jakaś wrzawa i wszyscy z wyjątkiem Alfiego i Georgiego odwrócili się w stronę okna.

— Co znowu...? — zaczął Stary Bill Hemperton, widząc, jak wszystkie drzwi się otwierają, ludzie wychodzą z domów po drugiej stronie, zaczynają krzyczeć i obejmować się. — Co się tam wyprawia?

— Zostańcie tutaj — nakazała Margie, otwierając drzwi wejściowe, przed którymi przebiegły właśnie Helena Morris spod numeru osiemnastego i pani Tamorin spod dwudziestego.

— Co się dzieje?! — krzyknęła Margie. — Co się tutaj wyprawia?! O co to całe zamieszanie?

— Koniec! — zawołała pani Tamorin. — Nie słyszałaś? Wojna się

skończyła. Wygraliśmy.

Na wersalce Georgie zacisnął powieki i po twarzy zaczęły płynąć mu łzy.
Mocniej przytulił syna.

Nareszcie skończyła się wojna.

A do świąt zostało jeszcze sześć tygodni.

Weź mnie z powrotem do starej, dobrej Anglii

Kalena Janácek zajrzała do pokoju stołowego swojego domu przy Damley Road pod numerem szóstym i zobaczyła ojca siedzącego w fotelu z gazetą rozłożoną przed nim na podłodze. Na lewo stało otwarte pudełko do czyszczenia butów, wykonane z ciemnobrązowego mahoni, podłużne, ze złotym zatrzaskiem do otwierania wieka. Na boku wyryto słowo „*Holz knecht*” i herb przedstawiający orła, groźnego i o dzikim spojrzeniu, unoszącego się nad górą.

Pan Janácek pastował buty.

— Masz prezent? — spytała, na co ojciec kiwnął głową i wskazał stół, gdzie leżały *Wielkie nadzieje* Karola Dickensa. Był lipiec 1922 roku, niemal cztery lata od zakończenia wojny, i Alfie Summerfield obchodził trzynaste urodziny.

— Już czas — stwierdził pan Janácek, zakładając buty i wstając. Sięgnął po laskę, którą kupił zaraz po powrocie z wyspy Man. Pomagał nią sobie w drodze spod numeru szóstego do sklepu ze słodyczami i z powrotem. Rzecz jasna przed wyjazdem nogę miał zdrową; coś stało się w obozie. — Opowiemy o naszych planach dzisiaj czy poczekamy? — spytał. *Opowiem o naszych planach dzyszej czy poczekami?*

— Dzisiaj nie. — Kalena pokręciła głową. — Są urodziny Alfiego. Powiemy im jutro.

— Dobrze. Ale powinienem chyba zdjąć ogłoszenie — mówił, gdy wychodzili. Popatrzył w stronę sklepu ze słodyczami, gdzie napis NA SPRZEDAŻ wisiał od czasu, gdy razem z córką odesłano ich jak pocztowe przesyłki do Londynu w roku 1919. Sąsiedzi uważali, że to tylko na pokaz,

że Janáckowie nie wyjadą, ale oni po zakończeniu internowania ustalili, że wyjadą z Anglii i już nigdy tu nie wrócą. Po prostu tyle trwała sprzedaż sklepu.

— A kiedy pojedziemy? — zapytała Kalena.

— Formalności prawne zajmą kilka tygodni. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, do końca miesiąca powinniśmy znaleźć się w Pradze. Ja sam nie mogę się doczekać.

— W ogóle nie będziesz tęsknił za Londynem? — Ujęła go pod rękę, a on potrząsnął głową.

— Nie mam powodu. To nie mój dom. Zawsze byłem tu obcy. Myślałem, że jestem u siebie, lecz myliłem się. W ogóle się nie zmartwię, jak już nigdy nie będę oglądał Anglii. Ty chyba też tak czujesz, co?

Kalena zawahała się. Oczywiście, że chciała wyjechać. Urodziła się tutaj, a potem została potraktowana jak ktoś obcy, i tego nie mogła im wybaczyć. Ale pamiętała szczęśliwe czasy przed wojną, wielu przyjaciół, z których najlepszym był Alfie.

— Mieści ci się w głowie, że osiem lat temu staliśmy w tym domu i narzekaliśmy na wybuch wojny? — zapytał pan Janáček, stukając do drzwi Summerfieldów. — Wydaje się, jakby to było przed stu laty, prawda? Od tego czasu wszystko się zmieniło. — *Od tego czasu wszystko się zmieniło.* — Wydaje mi się, że to był sen. Nie zrobiłem nic złego, a ci ludzie mnie zniszczyli. Nie, wrócimy oboje do Pragi. Tam będziemy bezpieczni.

Babcia Summerfield stała w kuchni w mieszkaniu pod numerem jedenastym i uciskała palcami wierzch biszkoptu, który upiekła rano. Był chłodny w dotyku. Otworzyła lodówkę i wyjęła przygotowany wcześniej lukier. Mąka, cukier, mleko; ciągle nie mogła oswoić się z taką dostępnością tych artykułów po latach, kiedy nie można było ich dostać. Oczywiście nie było łatwo. Trzeba było wiedzieć, gdzie szukać, i mieć znajomości w sklepach. Mimo wszystko sytuacja była znacznie lepsza niż przed wojną. Życie wracało do normy i wszyscy mówili, że to była ostatnia wojna, że już nigdy nie będą świadkami niczego podobnego.

Zawsze lubiła piec i jedną z największych uciążliwości tamtych czasów była niemożność przyrządzania ulubionych potraw i dzielenia się nimi z ludźmi, których kocha. Pamiętała, jak w dzieciństwie uczyła się gotować — jaka to była przygoda! Teraz gotowała o wiele więcej, niż kiedykolwiek przedtem, mimo że z wiekiem zaczynało brakować sił. Margie nie miała za

dużo czasu po wszystkich tych zmianach, które zaszły w domu naprzeciwko, ale babci to nie przeszkadzało — lubiła dopomagać.

Usiadła, pewna, że wszystko na przyjęcie jest już gotowe, i usadowiła się na fotelu, żeby uciąć sobie drzemkę akurat w chwili, gdy Stary Bill Hemperton z naprzeciwka nastawił gramofon i ulicą popłynęły pierwsze melancholijne takty nowej płyty, którą zakupił. Rzecz jasna za dawnych czasów Babcia Summerfield jak strzała przeleciałaby przez ulicę, zaczęła walić do jego drzwi i kazała mu ściszyć to wariactwo, ale przestała już tak robić. Życie było za krótkie.

Poza tym ta piosenka całkiem jej się podobała.

Margie sprawdziła godzinę i sapnęła pod nosem. Liczyła, że skończy pracę w szpitalu w południe i wróci do domu przygotować wszystko na przyjęcie Alfiego, a tu dochodziła już pierwsza i nie zanosilo się, żeby miała wyjść.

— Siostró Summerfield!

Odwróciła się i zobaczyła zmierzającą w jej stronę przełożoną, wymachującą rękami w marszu.

— Tak, siostró przełożona?

— Wiem, że chciałaś dzisiaj wyjść wcześniej, ale może mogłabyś zostać trochę dłużej?

Margie zaprzeczyła.

— Nie mogę. Chętnie bym została, gdybym mogła, ale dzisiaj są urodziny syna. Obiecałam, że będę w domu.

— Oczywiście, oczywiście. — Przez twarz przełożonej przebiegł grymas. — Nie pytałabym, tylko...

Margie westchnęła. Pracowała w szpitalu od pięciu lat i czasami sama nie mogła się nadziwić, dlaczego nie rzuciła tej pracy po zakończeniu wojny. Chociaż właściwie nigdy nie zamierzała odchodzić. Praca ją interesowała i lubiła pomagać ludziom. Zresztą sytuacja się zmieniła. Nie było już jak za starych czasów, gdy krytykowano mężatkę, która chodzi do pracy. Wszystko zmieniało się na lepsze.

— Co się stało? — spytała.

— Właśnie przywieźli takiego młodego człowieka — tłumaczyła przełożona. — Jest w strasznym stanie, biedactwo. Zdaje się, że wczoraj wieczorem coś go naszło i popełnił głupstwo. Na pewno przeżyje, ale czekamy, aż zjawią się jego rodzice. Tak sobie pomyślałam, że mogłabyś posiedzieć z nim przez jakiś czas.

— Ile ma lat? — zapytała cicho Margie.

— Zdaje się, że dwadzieścia siedem.

Margie kiwnęła głową. Wiedziała, co to oznacza.

— Gdzie jest?

— Na oddziale św. Agaty. Łóżko numer trzy. Rozmawiałam z jego ojcem. Będzie tutaj za pół godziny i wtedy będziesz mogła sobie pójść. Nie masz mi za złe, prawda?

Margie uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Nie, nie mam.

Poszła na oddział św. Agaty. Nietrudno było poznać pacjenta, o którym mówiła przełożona. Mężczyzna leżał na boku, po twarzy spływały mu łzy. Na widok podchodzącej Margie schował ręce pod koc, ale zdążyła zauważyć bandaże mocno owinięte wokół nadgarstków. Przysunęła krzesło i rzuciła okiem na imię i nazwisko ponad łóżkiem — Cecil Cratchley — po czym uśmiechnęła się do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

— Dzień dobry, Cecilu — zagadnęła.

Młodzieniec zamrugał, ale nic nie powiedział.

— Jestem siostra Summerfield — ciągnęła. — Posiedzę z tobą trochę, jeśli ci to nie przeszkadza. O ile wiem, twoi rodzice jadą cię odwiedzić. A potem się tobą zaopiekujemy, my wszyscy tutaj w szpitalu, twoja mama i tata, i wszystko się ułoży. I zanim się obejrzysz, będziesz zdrów jak ryba. Słyszysz mnie, Cecilu? Będziesz zdrów jak ryba i w przyszłości będziesz wspominał te czasy i dziwił się, o co ci chodziło. Wszystko, Cecilu, będzie w porządku.

I młody człowiek chyba jej uwierzył, bo uniósł wzrok i blado się uśmiechnął, a Margie z miejsca odwzajemniła uśmiech. Była w tym dobra. Rzecz w tym, że nareszcie znalazła coś, w czym była dobra.

Pan Asquith szedł zadowolony Damley Close, co jakiś czas wymachując ogonem, aby przegonić muchy. Przywiązanie do wozu na mleko nigdy nie było dla niego źródłem zachwyty, ale w życiu trzeba przecież coś robić. Przynajmniej tego głupka, Henry'ego Lyonsa, posłano do innych zajęć i za sterem stanął jego kolega, jego prawdziwy kolega — gdzie podziewał się przedtem? Na pewno istnieją gorsze sposoby zarabiania na życie.

Ostatnie bańki z mlekiem dostarczano na Damley Close zaraz po pierwszej po południu i po opróżnieniu wozu Georgie Summerfield ruszał z powrotem do mleczarni, ze skupionym wyrazem twarzy zapalając

papierosa.

— Wiesz co? — odezwał się. — Myślę, czy tego nie rzucić. To chyba nic dobrego, prawda?

Alfie wzruszył ramionami. Ostatnio często tak robił. Margie mówiła, że to taki wiek. Georgiemu to nie przeszkadzało. Wiedział, że syn dorasta. Jeśli najgorszym tego znakiem będzie wzruszanie ramionami, będzie można mówić o szczęściu.

— Pamiętasz, jak mnie błagałeś, żebym pozwolił ci jeździć ze mną po mleko, synu? — zapytał, na co Alfie uśmiechnął się, bo było to dobre wspomnienie.

— A ty nie chciałeś się zgodzić.

— No, bo byłeś za mały — stwierdził Georgie. — Ale nawarzyłbym sobie piwa! W mleczarni by się wściekli, gdyby się dowiedzieli, ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, co zrobiłaby twoja matka. Nie miałem odwagi, Alfie! Nie śmiałem!

Alfie pokręcił głową i popatrzył na ojca.

— Odwagi ci nie brakowało — powiedział cicho. — Tego jestem pewien.

Georgie kiwnął głową i zwolnił, bo z biblioteki po prawej stronie ulicy wynurzył się Joe Patience. Zatrąbił i zaskoczony Joe uniósł głowę, ale pomachał ręką, widząc Georgiego i Alfiego siedzących obok siebie na wozie z mlekiem.

— Dobrze mu się ostatnio wiedzie, prawda? — powiedział Georgie, pozdrawiając tamtego. — W każdej księgarni, jaką mijam, widzę na wystawie tę jego książkę. Miałem zamiar ją kupić, ale nie wiem, czy dałbym radę na tak długo się skupić.

— Jak chcesz, możesz pożyczyć moją.

— A co, przeczytałeś?

— Tak.

— I jaka jest?

Alfie uśmiechnął się.

— Nieprzyzwoita — odpowiedział, co strasznie rozbawiło Georgiego.

— To może jednak przeczytam. — Pokręcił głową. — Tylko ani słowa matce, słyszysz? Tak w ogóle, to która jest godzina?

Alfie zerknął na zegarek.

— Dochodzi wpół do drugiej.

— Świetnie. Odprowadzimy wóz, obmyjemy Pana Asquitha, a potem wrócimy do domu przebrać się, zanim przyjdą goście. — Zaświstał przez

zęby. — Trzyście lat — zadumał się. — Czuję się przy tym staro. Trudno uwierzyć, jak szybko wyrosłeś. Cieszysz się z tego przyjęcia?

Alfie nic nie powiedział, na co Georgie spojrział na niego zaskoczony.

— Nie cieszysz się? Widać po twojej minie.

— Nie w tym rzecz — zaprzeczył Alfie. — Szczerze mówiąc, niezbyt przepadam za urodzinami.

— Co? Przecież każdy lubi urodziny!

— Ja nie. Przypominają mi o czasach, kiedy miałem pięć lat. A potem sześć, siedem, osiem i dziewięć.

Georgie pokiwał głową i skierował Pana Asquitha w lewo.

— To wszystko było i minęło, synu. Czekają nas szczęśliwe czasy. Ostatnie kilka lat było dobre, prawda? Wiem, że, hm... wyzdrowienie zajęło mi parę lat. Ale już nic mi nie jest, dobrze mi się zdaje? Śpię. Jem. Pracuję.

— Ciągle śnią ci się koszmary — zauważył cicho Alfie.

— Ale rzadziej. Naprawdę, Alfie, czuję się dobrze. Nie musisz się niczym przejmować. Zresztą zobacz, jest ładny letni dzień, syn z ojcem jadą razem wozem na mleko, tak jak zawsze chciałeś. Nie żyje nam się źle, prawda?

Alfie uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Nie, w sumie to całkiem dobre życie.

Kilka minut jechali w milczeniu i Georgie odezwał się znowu, dopiero gdy zobaczyli mleczarnię.

— Zdaje się... zdaje się, że nigdy ci tak naprawdę nie podziękowałem, prawda, Alfie?

— Za co?

— Za powodzenie twojej tajnej misji — oświadczył z uśmiechem Georgie. — Za to, że odnalazłeś mnie w szpitalu. Że mnie wykradłeś.

— Teraz widzę, że nie było to zbyt rozsądne.

— To prawda, ale wszystko skończyło się dobrze. A zobaczenie się z tobą było dla mnie strasznie ważne. Przekonałem się, do czego jesteś zdolny, byleby tylko sprowadzić mnie do domu. Bo wiesz, dzięki temu jakoś wytrzymaaliśmy w okopach. Żyliśmy myślą, że kiedyś wrócimy do domu. Zobaczymy żony i dzieci. Dzięki tobie przeżyłem nawet najtrudniejsze chwile.

Alfie odwrócił się i patrzył na mijane z lewej strony domy. Nie bardzo lubił rozmowy o starych czasach; po prostu cieszył się, że mają je już za sobą i życie wróciło do normalności. Przynajmniej do jakiegoś innego

rodzaju normalności.

— Nie miałem pojęcia, co zamyślasz — podjął Georgie. — Opały, w jakich mogłeś się znaleźć, całe ryzyko, ciężka praca z przyborami do czyszczenia od pana Janácka. Takie poświęcenie. Podróż pociągiem, chociaż nigdy przedtem nie jechałeś pociągiem. Znalazłeś mnie, przywiozłeś do domu, uratowałeś. Nie potrafię zrozumieć, co kazało ci to wszystko robić.

Skręcił do mleczarni i zatrzymał Pana Asquitha. Było tu ciemno, a on odwrócił się w stronę syna, swojego Alfiego, który zastanawiał się, czy jutro też pojedzie z tatą wozić mleko.

— Powiedz mi, synu — powiedział Georgie. — Dlaczego to wszystko zrobiłeś?

Alfie odwrócił się w stronę ojca. Otworzył usta, ale słowa ugrzęzły mu w gardle. W głowie kłębiło się tyle wspomnień — przez które czasem nie mógł w nocy spać, od których śniły mu się koszmary, tak jak Georgiemu. Lęk, kiedy ojciec przepadł. Odór szpitala. Jęki i konwulsje pacjentów. Ich słowa, ich nedorzecznosc. Nigdy tego nie zapomni i wpłynie to na mężczyznę, na którego kiedyś wyrośnie.

— Dlaczego, synu? — powtórzył Georgie.

Alfie pokręcił głową i odwrócił się, wzruszając ramionami po raz setny owego dnia. Nie mógł wyjawic ojcu powodu. Na razie. Może kiedy dorosnie, zdoła wypowiedziec te słowa. Przecież je znał. Dawno temu usłyszał je od pana Janácka.

Zrobił to z najlepszego powodu na świecie. Z miłości.